



Andrzej Bogusławski

ZEMSTA WAMPIRA



Andrzej K. Bogusławski

**ZEMSTA
WAMPIRA**



**Wydawnictwo
Ministerstwa Obrony Narodowej**

Okładkę projektował
ANDRZEJ O. DĄBROWSKI

Redaktor
EUGENIUSZ STANCZYKIEWICZ

Redaktor techniczny
JADWIGA JEGOROW

Korektor
ALINA SAWICKA

Pięć tysięcy dziewięćset siedemdziesiąta trzecim publikacja
Wydawnictwa MON

Printed in Poland

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej

Warszawa 1977 r.

Wydanie I

Nakład 120.000+350 egz.

Objętość 8,40 ark, wyd, 7.0 ark druk.

Papier druk, sat. VII kl. SC g rola 63 cm
z Głucholaskich Zakładów Papierniczych.

Oddano do składu w styczniu 1977 r.

Druk ukończono w czerwcu
w Wojskowych Zakładach Graficznych

w Warszawie.

Zarm, nr 1329.

Cena zł 13 –

ROZDZIAŁ I

„Letnia noc, parna i duszna. Powietrze nieruchome, aż gęste, dławiące. Nieboskłon szczelnie zakryty ciężkimi burzowymi chmurami. Cisza, cisza pełna lęku, zapowiedź nieprzeczuwalnego. Nagła błyskawica, dziwnie długotrwała, bezgłośna. Jej niebieskawe światło wydobywa z mroku ruiny ponurego zamczyska wzniesionego na skalistej górze. Powietrzem przeciąga głuchy poszum, lecz liście drzew stoją nieporuszone. Znów błysk, oświetlający ocalałą narożną basztę. U jej stóp niewielki otwór w grubym murze, skrywającym podziemną kryptę. W owej krypcie nisko sklepionej, na wpół przysypane odwiecznym pyłem, tkwią rzędami masywne dębowe trumny.

Pod jedną ze ścian stoi młoda dziewczyna. Jedyne jej strój stanowią żelazne obręcze na szyi, przegubach i kostkach nóg; jej ciało rozkrzyżowane, głowa zwisa, długie puszyste włosy opadają na twarz. Wokół ruin zamku szum przechodzi w świst wichury, kolejnej błyskawicy towarzyszy

bliski grzmot. Dziewczyna, do tej pory pogrążona w letargu, powoli otwiera oczy. Nie wie, gdzie jest, skąd się tu wzięła, przez chwilę krótką jak lśnienie błyskawicy sądzi, że to sen, usiłuje poruszyć ramieniem, oderwać ciało od zimnych cegieł. Na próżno. Żelazne obręcze przykute są do wbitych w ścianę grubych haków. Już wie, że to jawa, lęk dławi gardło.

Nagle wieko środkowej, najokazalszej trumny drga lekko, w zaległej znów ciszy słychać jęśliwy skrzyp starego drewna. Wieko unosi się powoli, nieubłagane. Z otworu bardziej czarnego niż ciemność krypty wysuwa się biała dłoń o długich zakrzywionych paznokciach. Wreszcie wieko zostaje odsunięte, postać w obszernej pelerynie wstaje, martwe źrenice są białe w oczy dziewczyny. Wampir z wolna, przybliży się da niej, wyciąga zakrzywione szpony, obnaża długie białe kły...”

– Co to za straszliwe bzdury? – śmieje się Marta, odkładając na biurko przeczytaną kartkę.

– Jak widzisz, moja droga, traktuję je z należytymi szacunkiem – ironizuje Emilia. – Jako podstawkę pod szklankę z herbatą. A jest to fragment pierwszej wersji pewnego scenariusza filmowego.

– Wersji oczywiście odrzuconej, prawda? – Marta, jako pracownica ledwie przed trzema miesiącami zaangażowana, usiłuje na wszystkie sposoby zasłużyć sobie na przychylność starszej i wiekiem, i stażem koleżanki. Niby teoretycznie są sobie równe, ale właściwie od Emilii zależy,

kto i kiedy wyjedzie w teren, do jakiejś ekipy realizującej film.

– Oczywiście – potakuje tamta – ale zgadnij, czy to był scenariusz?

Teraz ostrożnie. Marta zna odpowiedź, lecz nie może od razu jej podać. Po co budzić niepotrzebną czujność. Skoro ma nadal uchodzić za nowicjuską, nie powinna być za mądra. A już z pewnością nie mądrzejsza od Emilii. I tak jest jeszcze traktowana z odrobiną rezerwy, choć niedawno przeszły na „ty”. A więc nadal musi grać pierwszą naiwną, ale bez przesady, byle nie przeszarżować. W końcu nie spadła tu z księżycy, ma za sobą studia uniwersyteckie i dziesięć lat pracy w znanej instytucji kulturalnej na innym wprawdzie stanowisku, niż wynika to z jej nieco zmienionego – stosownie do zleconego zadania – życiorysu. Ranga owej instytucji nie ma oczywiście porównania z samodzielnym referatem, do którego ją skierowano, ale jaka taka legitymacja do tego zamkniętego kręgu jest.

– Nie mam pojęcia – wzrusza ramionami. – Wygląda, jakby to splodził Jakiś zaściankowy grafoman – zboczeniec.

– Hi, hi, ale trafiłaś... – Emilia wydaje z siebie cienki rechocik, pełen wyższości. – No, ale istotnie, na podstawie takiego małego fragmentu nie mogłaś się zorientować – dodaje z miną księżny udzielającej łaski. – To przesłał znany reżyser. Bardzo znany i sławny. Między innymi chodziło tam o dramat starego aktora, który wyspecjalizował się w rolach upiórów albo raczej, którego

zaszufladkowano, wepchnięto w ten gatunek, gdy tymczasem on sam od lat marzy o wielkiej prawdziwej kreacji. Staje się to jego obsesją do tego stopnia, że gdy pewien producent i reżyser w jednej osobie chce go obsadzić tradycyjnie, pogardliwie traktując jego aspiracje, aktor zaczyna myśleć o zemście za wszelką cenę. Rozumiesz?

– Nie bardzo. Nie mógł grać u kogo innego?

– Och, nie wiesz, jak to jest w zawodzie? – Zostało to powiedziane tonem osoby absolutnie wtajemniczonej. – Zwłaszcza na Zachodzie... – urywa nagle. – Masz ci los, odpowiedziałam rozwiązanie.

– Czyżby akcja miała przebiegać nie u nas? – domyśla się Marta. – Albo ten tekst to przekład?

– Nie, nie przekład. Teraz już wiesz.

– Niezupełnie. Może to jakiś reżyser polskiego pochodzenia?

– Ciepło, ciepło – skwitowała Emilia. – Ale to dlatego, że się wygadałam.

– Tylko co wobec tego ten scenariusz robił u nas? – Mówiąc to Marta uważnie śledzi wymowną mimikę koleżanki. Jednak to równające je „u nas” przełknęła gładko, nawet jakby z pewną aprobatą. – O ile wiem, oceniamy propozycje zespołów krajowych. Chyba że to nie był tekst zarejestrowany jako służbowy...

Ta zbędna uwaga spowodowała, natychmiastowe ochłodzenie stosunków. Jak mogła tak pomyśleć? W pracy niesłużbowe sprawy? Nie zlecone przez kierownika? I tak dalej, w tym stylu, głosem pełnym świętego oburzenia

tak szczerego, że ktoś mniej zorientowany spaliłby się ze wstydu. Gdyby nie główny cel, dla którego Marta musiała znosić nieustannie agresywną obecność „kochanej Emilki”, chyba by nie wytrzymała i wygarnęła, co wie i co o tym myśli, po czym bezpowrotnie trzasnęła drzwiami. A tak to trzeba przepraszać, od niechcenia podarować francuskie perfumy za siedemset złotych i udawać, że nie dostrzega tłuczonych na biurowej maszynie całkiem prywatnych i intratnych chałtur. Dopiero po paru dniach i wielu kluczeniach można wrócić do punktu wyjścia.

– Wiesz, mam taką ogromną prośbę...

– Jaką znowu?

– Bo wspominałaś, że to jest – wskazuje na złożoną we czworo kartkę pod szklanką – pierwotna, odrzucona wersja. Więc jeśli była druga, to bardzo bym cię prosiła...

– Ale o co?

– No, żebyś mi pozwoliła przeczytać. Strasznie mnie kiedyś pasjonowały takie historie, zaliczyłam parę...

W ostatniej chwili ugryzła się w język. O mało się nie sypnęła, że widziała w „Iluzjonie” i na pokazach zamkniętych całe serie przedwojennych filmów z Belą Lugosim oraz współczesnych horrorów. A do takiego wykształcenia nie może się przyznać, za bardzo wypadłaby z roli. Cała akcja spaliłaby na panewce. Na szczęście jakoś tym razem wybrnęła. Starsza pani certoliła się jeszcze pro forma, po czym w głębokiej konspiracji, „żeby się tylko kierownik nie dowiedział”, wręczyła oprawny w tekturę maszynopis,

a właściwie jego powielaczową kopię. Marta zerknęła na kartę tytułową.

– Ach, to już teraz rozumiem! – wykrzyknęła z emfazą. – On przyjeżdża do nas to kręcić, prawda?

– No, częściowo – gasi jej zachwyty Emilia. – Właściwie plenery, trochę wnętrz. Kędzior mu wynalazł jakieś rewelacyjne ruiny, wiesz, te koło Krzyżowic, tylko trzeba je trochę podretuszować.

Puścić paplaninę mimo uszu? Nie reagować, jakby wszystko było jasne? Błąd. Naiwna gąska (raczej potężna gęś pod względem wagi) nie ma prawa znać przezwisk, choćby sławnych ludzi.

– Przepraszam, ale się pogubiłam. Kto to jest Kędzior? – Zamek w Krzyżówkach jest znany nawet podręcznikom szkolnym, widnieje w nich zdjęcie masywnej baszty z podpisem „ruiny wczesnogotyckiego zamku u stóp Gór Świętokrzyskich”.

– Jak to, nie wiesz? – To krótkie zdanie słyszała najczęściej, podczas ich niezbyt długiej znajomości padło w tym pokoju setki razy i zawsze tak samo: mieszanina kpiny, pogardy i wyższości. Rzekomej zresztą, bo w gruncie rzeczy pani Emilia cierpi z powodu zdecydowanego bojkotu „środowiska”, do którego bezskutecznie usiłuje się wcisnąć od lat co najmniej dwudziestu. No, ale przed jakąś tam Martą Bednarz, która o filmie wie tyle, co przeciętny profan, można błysnąć. I wziąć odwet za te wszystkie chichoty

za plecami, nie dostrzegające spojrzenia i rozumowy w jej obecności, jakby była powietrzem, a nie osobą dość obfitych kształtów, a przede wszystkim ważną panią urzędniczką z samej góry. – No, możesz nie wiedzieć – zezwała uprzejmie – w końcu pod tym mianem jest znany tylko w ścisłym gronie...

– Ale kto?

– Norbert Wysoczyński.

Chwila ciszy.

– Aha. To zdaje się jakiś plastik, tak?

– Wielkie nieba! „Jakiś plastik”. Nasz najlepszy scenograf i kostiumolog! Właśnie siedzi z całą ekipą na miejscu i przygotowuje dekoracje.

– Kiedy pierwszy klaps? – Marta pozwala sobie na mały rewanż. Jednakże jej koleżanka zbyt przeżywa jej gafą, by zwrócić uwagę na zwrot wprowadzie fachowy, lecz znany już nawet przedszkolakom.

– Jeśli pogoda dopisze, to niedługo. Za dwa tygodnie.

ROZDZIAŁ II

– Coś tu się nie zgadza. – Kapitan Marian Pruszek Wskazuje końcem ołówka podkreśloną datę w swoim notatniku. Są oboje z Martą w zakonspirowanym lokalu, który pełni funkcję ich „małżeńskiego gniazodka” W rzeczywistości każde z nich mieszka zupełnie gdzie indziej, a

łączą ich związki czysto służbowe, jako że porucznik Bednarz została na czas akcji podporządkowana Pruszkowi. – Za dwa tygodnie będzie dopiero dwudziesty czwarty czerwca...

– Czwartek, imieniny Danuty i Jana, noc Kupały, zachód słońca dwudziesta zero dwie, wschód księżycy pierwsza zero dziesięć – recytuje Marta jednym tchem. Liczyła na poczucie humoru kapitana i nie zawiodła się. W ich pracy najważniejsze były konkrety, a nie takie czy inne formy. Marian był teraz szefem ich grupy operacyjnej, ale to nie przeszkadzało czuć się swobodnie, żartować w chwilach odprężenia i rzucać zdania specyficznym żargonem, oficjalnie ganionym przez surowego szefa wydziału, pułkownika Leona Bromskiego.

– Czekaj – spoważniał kapitan – nie popisuj się znajomością kalendarza. Pomyślmy chwilę, czy to ma znaczenie. Tej twojej Emilii mogło się tak powiedzieć, ale z drugiej strony jest to termin zbyt bliski i konkretny jak na fantazję starszej pani. Gdyby to była prawda...

– ...to skąd taka biuralistka mogłaby wiedzieć – wpadła mu w słowo zbyt pochopnie i zaraz sama się skontrolowała: – Oczywiście mogłaby, przy założeniu, że ma jakieś powiązania.

– Z kim? Z przeciwnikiem zewnętrznym, z obcym wywiadem? Nie przesadzaj. Po prostu coś usłyszała, coś sobie skojarzyła przypuszczalnie na podstawie tego, co powiedział jej uwielbiany Norbert. Jeśli tak istotnie było,

Leśniewski wtajemniczył go w prawdziwy termin przyjazdu; a oficjalnie podał tamten, lipcowy.

Kapitan wstaje od zarzuconego notatkami stołu, prostuje całą swą niemal dwumetrową postać. Spacerując po pokoju klnie pod nosem.

– Nie dość, że sprawa nietypowa, to jeszcze takie niedociągnięcia. Kto miał zbadać aktualne powiązania Leśniewskiego i pomysł kręcenia akurat w Polsce tego idiotycznego filmu?

– Dlaczego idiotycznego? – oburza się Marta z wyżyn dawnej i świeżo nabytej wiedzy. – Że coś tam, może jedna jedyna scena, ma być o wampirach? A o pastiszu obywatel kapitan nie słyszał? O autoparodii, o odmiennym funkcjonowaniu zużytej konwencji ujętej w groteskowy cudzy-słów?

– Dobrze, dobrze, poddaję się – Marian obronnym ruchem unosi rękę. – Oczywiście, że słyszałem, choć wcale nie podzielałam zachwyków czy raczej pseudozachwyków niektórych krytyków, preparujących swoje recenzje w zadymionych kawiarniach dokładnie pod gust sezonowych koneserów, tworzących na jednorazowy użytek własną wizję świata i jego konfliktów. Życie, moim zdaniem, samo pisze o wiele ciekawsze scenariusze, pełnokrwiste i przemawiające autentykiem bez sztucznego dorabiania wydumanych wampirów czy innych dziwadeł w tym stylu. Skoro Leśniewski płynie na tej fali, to czort z nim. W końcu nie z tego powodu sprawił nam tyle kłopotu. Zaraz – kapitan zatrzymał się na środku pokoju – chyba nie o tym chciałem mówić...

– Powiązania – odpowiada Marta, nieco speszona rzeczowością Prusaka w spojrzeniu na twórczość filmowców specjalizujących się w obrazach grozy.

– No tak, masz rację. Powiązania tu i tam. Dokumentację zaoceaniczną przejął Rafał, ale na razie nie możemy liczyć na jego pomoc. Sam na pewno łamie głowę nad tym rebusem.

I tak istotnie było. Inaczej przygotowuje się, rozległą operację mając przed sobą co najmniej trzy miesiące, a inaczej w morderczym tempie dwóch tygodni z, wyliczeniem każdej godziny. A sprawa była istotnie nietypowa, delikatna, pełna tylu niedomówień i domysłów, że podobnej nie przypominał sobie nikt z najstarszych pracowników służby bezpieczeństwa.

Oto przed trzema miesiącami, w początkach marca, pułkownik Bromski wezwał do swojego gabinetu na naradę kilkoro współpracowników i podwładnych. Zebrani popatrywali na siebie z lekkim zdumieniem. Wtedy jeszcze nie znali się wzajemnie. Niski, lekko tyjący pułkownik, z wąsem á la Hercule Poirot, dokonywał prezentacji.

– A to nasza nowa towarzyszka, doktor filmologii, Marta Bednarz – powiedział na zakończenie. Była w tym gronie jedyną kobietą. Pozostali dopiero teraz spojrzeli na nią z pewnym zainteresowaniem, jakby chcieli odgadnąć, co robi wśród nich, starych wyjadaczy, człowiek o dość rzadkiej w ich zawodzie specjalności.

Marta wodziła wzrokiem po przedstawionych jej przed chwilą mężczyznach. Ten wysoki chudzielec o ascetycznej twarzy i szpakowatych włosach, to kapitan Pruszek. Minę ma dosyć ponurą, ciekawe, jak się będzie z nim pracowało, bo wygląda na pryncypialnego faceta, wypranego z poczucia humoru. Inaczej niż żywy jak Skra przystojny brunet, porucznik Rafał Żywult, z wesołym błyskiem w oku; lub siedzący obok niego postawny dobrodusznik z pyzată facjată, major Adam Budzisz. Major milicji? Pracowała tu już na tyle długo, żeby wiedzieć, iż często dochodzi do wzajemnej współpracy z MO, ale nie przypuszczała, że następuje to tak wcześnie.

Bo chodziło właśnie o nową skomplikowaną i delikatną zarazem akcję, mówił tymczasem pułkownik Bromski.

– Jeden ze znanych nam ośrodków wywiadu zachodnoniemieckiego i CIA, a zwłaszcza ta ostatnia organizacja – kontynuował szef – chcą po ostatnio doznanych niepowodzeniach zmontować pewną akcję, która według ich przewidywań będzie argumentem w prowadzonej przeciwko nam wojnie psychologicznej. W grę wchodzi morderstwo...

Zebrani poruszyli się niespokojnie.

– Jeszcze nic się nie wydarzyło, a już wiadomo, że tamci zaplanowali mokrą robotę? – kapitan Pruszek skrzywił się sceptycznie. – O ile wiem, to zawsze była ostateczność, a nie zamierzony cel.

– Tak – powiedział Bromski z naciskiem – Zamierzone, zaplanowane na zimno morderstwo. Na byłym obywatelu naszego kraju.

– Obywatelu, który będzie naszym gościem? – wtrącił domyślnie porucznik Żywult.

Marta zamrugała oczami na widok potakującego gestu przełożonego. Tempo kojarzenia było dla niej trochę za szybkie. Jak on na to wpadł? No tak, to logiczne, w przeciwnym razie nie oni zajmowaliby się tą sprawą

– A konkretnie, o kogo chodzi? – zapytał poważnie chudy kapitan.

– O kogoś, komu niestety nie możemy powiedzieć, że jest obiektem niebezpiecznej gry – odparł pułkownik podkreślając wąsa. – A nasza „opieka” musi być tak dyskretna, że ani on, ani ewentualni wykonawcy wyroku CIA nie mogą mieć o niej pojęcia.

Nawet na pogodnej poprzeczni twarzy majora Budziszsa odbiło się napięcie, z jakim wszyscy czekali na bliższe szczegóły.

– Otóż swego czasu – przystąpił do rzeczy szef – do odpowiedniej komórki resortu kultury wpłynęło pismo, w którym znany reżyser Robert Leśniewski prosi o umożliwienie mu nakręcenia w naszym kraju części scen plenerowych do swojego nowego filmu.

– Kto? – zdziwił się Pruszek. – Leśniewski? O ile wiem, nigdy nie pałał chęcią nawiązywania jakichkolwiek kontaktów z krajem.

– Nie jest to takie ścisłe – nieśmiało odezwała się Marta, niepewna, czy wolno jej zabrać głos. Lecz szef nie

tylko nie przerywał, ale przeciwnie, zachęcił ją spojrzeniem. – Leśniewski w moim przekonaniu nigdy nie zrywał kontaktów z krajem – ciągnęła. – Nie wypowiedział oficjalnie nic, co pozwalałoby przypuszczać...

– O, przepraszam – przerwał ostro Pruszek. – A ten głośny wywiad sprzed ośmiu lat?

– W tym wywiadzie, który zresztą analizowaliśmy na seminarium – odparowała – naraził się mocno niektórym ludziom ze swego byłego środowiska, jednych chwalił, innych ganił, wywołując w tym gronie sporo wzajemnych pretensji natury zawodowej...

– Chwileczkę, trzymajmy się faktów – wkroczył w tę dyskusję pułkownik Bromski. – Już sam wyjazd z kraju, który go wykształcił i dał możliwości awansu, nie przemawia na korzyść Leśniewskiego. Swoje uwagi czy zastrzeżenia mógł zgłaszać tutaj, na naradach czy nawet w prasie fachowej, a nie w obcym środowisku, kreując się na nieomylną wyrocznię. To nie jest uczciwa gra i w tym punkcie nikt z nas nie może mieć wątpliwości – spojrzał Marcie w oczy. – Ale nie te sprawy stanowią obecnie przedmiot naszej uwagi. Leśniewski przyjeżdża oficjalnie na podstawie porozumienia między wytwórniami filmowymi. Mamy tu do czynienia z czymś w rodzaju kooperacji. Nasza strona załatwia wszystkie sprawy techniczne, organizację planu i całą ekipę filmową. On, oprócz pomysłu, chce tylko przywieźć ze sobą scenarzystę i wykonawcę głównej roli.

- Jakiej roli? – zapytał Żywult.
- Wampira... – uśmiechnął się pułkownik.

Mężczyzn ogarnęła lekka konsternacja, natomiast Marta uznała to za coś oczywistego. W końcu to była popisowa specjalność „mistrza grozy”, jak nazywała reżysera zachodnia prasa.

– No dobrze, ale co my mamy z tym wspólnego? – oburzył się kapitan Pruszek i zacisnął wąskie wargi. – Są jakieś zastrzeżenia do scenariusza?

- Raczej nie...
- Więc?

Zamiast odpowiedzieć, Bromski zdjął pokrywę ze stojącego przed nim dużego półprofesjonalnego magnetofonu o przyspieszonym przesuwie taśmy.

– Od tej pory – zaczął szef tajemniczo – żadne szczegóły nie mogą wyjść poza ten pokój.

Trzej oficerowie popatrzyli na Martę, jakby to do niej była skierowana ta uwaga.

– To chyba oczywiste – nachmurzyła się lekko pod ciężarem tych spojrzeń.

– Otrzymaliśmy pewne nagranie – mówił pułkownik nie zwracając uwagi na jej słowa – dokonane w szczególnie niekorzystnych warunkach.

Nacisnął klawisz odtwarzania. Istotnie, niewyraźnie brzmiące głosy, jakie wyłoniły się z powodzi szumów i zakłóceń, nie sposób było zrozumieć.

- To po angielsku? – upewnił się Pruszek.
- W amerykańskiej wersji – dodał Żywult.

– Tak, ale przyznam się, że przy całej swojej znajomości języka... – kapitan urwał i rozłożył ręce.

Bromski zdjął ze szpul krążki taśmy i nałożył nowe doiskając głowicę.

– To był oryginał – wyjaśnił – a teraz usłyszycie samą rozmowę, wypreparowaną przez naszych elektroakustyków, z tych zakłóceń, zresztą celowo zastosowanych.

Głosy tym razem brzmiały o wiele wyraźniej, choć bardziej głucho i nieco sztucznie. Można było rozróżnić trzech rozmówców.

– No i? – szef potoczył wzrokiem po zebranych. – Wszyscy jak tu siedzicie – uśmiechnął się pod wąsem – macie w aktach wpisaną biegłą znajomość języka angielskiego w mowie i w piśmie

– Języka, ale nie tego bełkotu! – zaprotestował Vapitan – Co to jest? Jakiś slang, żargon?

– Mniej więcej – odezwał się Rafał. – Zajmowałem się tym kiedyś bliżej – dodał tonem wyjaśnienia. – Wygląda mi to na dialekt Murzynów ze stanów południowych, takich jak Alabama czy Arkansas.

– Bardzo dobrze – pokiwał głową zazwyczaj nieskory do pochwał przełożony – Tylko że to kamuflaż dla zamydlenia oczu. Celowo podjęte środki ostrożności.

– A jednak... – zaczęła Marta.

– A jednak, mówiąc ogólnie, jesteśmy w posiadaniu tego nagrania – Po raz trzeci zmienił taśmę na magnetofonie.

– Żeby nie przedłużać naszego posiedzenia, przedstawię

polskie tłumaczenie. Na tyle wierne i dosłowne, na ile jest to w ogóle możliwe, bo ci ludzie w dodatku przerzucali się półsłówkami, mówili jakby szyfrem.

– Szyfrem? – zdziwiła się Marta, ale nic więcej nie powiedziała, łapiąc się sama na chwilowej naiwności. Przecież dla ludzi tej służby to żadna rewelacja. Cóż z tego, że szyfrem, skoro można go złamać i przełożyć na zrozumiały język... Unikając wzroku kapitana Prusaka, wsłuchiwała się uważnie w płynące z głośnika słowa.

„– Robota koronkowa. Jeden fałszywy krok i...

– Jasne, po co ta mowa. Macie kogoś konkretnego?

– Tak jakby. Facet przebąkiwał o powrocie, można go stuknąć z czystym sumieniem..

– Tam na miejscu, tak?

– No chyba, inaczej cała heca nie ma sensu,

– Więc w czym problem?

– Trzeba go załatwić po cichu. Sprawcy nieznani, rozumiecie. I to tak, żeby potem rozdmuchać sprawę u nas.

– Tym się zajmie David.

– Zamknij się, idioto. Mówiłem, żadnych nazwisk.

– Dobra, a wykonawca?

– Jest. Podobno spec wysokiej klasy. Zamrożony od lat. Czysty jak lęzka. Tylko musicie to zgrać w czasie. Najpóźniej do sierpnia.

– W porządku, zrobi się.”

Taśma jeszcze chwilę przesuwała się z cichym szelestem,

po czym pułkownik wyłączył aparaturę i popatrzył po siedzących przy stole.

– Skąd wiadomo, że chodzi o Leśniewskiego? – wyraził wątpliwość Pruszek.

– Nie wiadomo – odparł szef.

– Jak to?

– Właśnie dlatego sprawa jest skomplikowana. Mamy potwierdzenie z innych źródeł, że CIA istotnie szykuje tego rodzaju pasztet, ale jak dotąd nie wiemy, o jakie kręgi chodzi. Przy obecnej częstotliwości przyjazdów obcokrajowców do Polski, biorąc chociażby pod uwagę ruch turystyczny, możliwości jest wiele. Musimy więc przeciwdziałać na różnych kierunkach. Nam, jak tu jesteśmy, przypałało w udziale środowisko filmowców, tylko ten jeden wycinek, który przypuszczalnie może mieć związek z innymi. Od dziś powołujemy grupę operacyjną, wy wchodzić w jej skład. Zadania indywidualne przedstawię osobno. Ponieważ reżyser zażyczył, sobie kręcenie scen w plenerze na tle czy w ruinach autentycznego średniowiecznego zamczyska, musicie od zaraz zapoznać się z odpowiednimi przewodnikami turystycznymi. Takich obiektów w Polsce jest mnóstwo, trudno w tej chwili powiedzieć, który przypadnie mu do gustu. W terenie udzieli nani pomocy milicja, kontakt z jej placówkami poprzez majora Budziszka. Pytania?

Minutową ciszę przerwał Pruszek.

– Czy to – wskazał na taśmy z nagraniami – nie jest przypadkiem celowo podrzucone dla odwrócenia uwagi? Wiemy z doświadczenia...

– Słuszne spostrzeżenie – zgodził się Bromski. – Nasi przełożeni i tego wariantu nie negują, ale dopóki nie wyjaśnimy, co i jak, trzeba zachować stan alarmu. Zapewniam was, że taśmy z tekstem rozmowy nie mogą wzbudzać żadnych wątpliwości. Dotarły do nas z pewnego źródła, mamy ponadto świeższe informacje w pełni potwierdzające to, co już powiedziałem. W grę wchodzi tylko nasz teren i tych sygnałów lekceważyć nie wolno!

– Jeśli tak... – ustąpił Pruszek, do końca nie wyzbyty własnych wątpliwości.

– Przepraszam – w Marcie obudziło się profesjonalne zaciekawienie – a jaki ma być tytuł tego filmu?

– „Zemsta wampira” – odpowiedział pułkownik,

Zaczęło się bardziej szczegółowe opracowywanie zadań dla każdego z uczestników owej pamiętnej narady Dla Marty oznaczało to czasową zmianę miejsca pracy Nie wiedziała jeszcze wówczas, że zostanie biurową koleżanką Emilii.

ROZDZIAŁ III

Emilia tymczasem była w rozterce. Gdzie jechać? Do Krzyżowic na plan, gdzie mogłaby być w pobliżu przyszłego scenografa, czy za granicę? Gdziekolwiek zwróci swe kroki, w drugim miejscu będzie ją zastępować niedoświadczona i świeża Marta. Że też trzeci pracownik ich

komórki, nieoceniony pan Szymon, akurat musiał iść na dłużej do szpitala. Niby do Szwajcarii miała jechać służbowo, ale przecież i do ekipy filmowej nie prywatnie. Zawsze coś by skręciła. Ostatnia, być może, okazja, by usidlić szałowego bruneta. Ale i pięknego Locarno szkoda! Trudno, trzeba jechać.

Tak więc pułkownik Bromski nie musiał dzięki temu uruchomić swoich kontaktów. Zaplanowany od początku operacji pobyt Marty w Krzyżowicach doszedł do skutku. Po prostu kierownik ich samodzielnego referatu nie miał kogo wysłać. Nie był jeszcze do tej pory wtajemniczony w prawdziwą rolę nowej pracownicy, ale rekomendacje, wniesione przez Bednarzównę niejako w posagu, były tego typu, że ograniczył swoje uwagi do kilku zdań. Za to samowolny acz żywiołowy instruktaż pani Emilii trwał ładnych parę dni.

– Pamiętaj – mówiła podekscytowana w przeddzień odlotu do Genewy – nie daj się wziąć na ich słodkie słówka. Nic na gębę, na wszystko musisz mieć podkładkę. Co dzień bij się o ten fragment opracowanego na czysto scenopisu, który ma być aktualnie kręcony. Oni ci będą truć, że improwizują na planie i dlatego odbiegli od zatwierdzonej wersji, ale ty sobie nie dawaj wciskać kitu. – Starsza pani w chwilach napięcia niezauważalnie dla samej siebie używała języka swojej córki, pannicy w nieokreślonym wieku, na statusie wiecznej studentki. – Uważaj, Marto, masz tekst, który przeszedł przez komisję i został uzgodniony, rozumiesz, co mam na myśli, a tymczasem oni będą to traktowali jako biurokratyczną formalność.

A potem bomba wybucha podczas kolaudacji. I kto jest winien? Oczywiście my.

Marta ostatkiem woli powstrzymywała się, by nie wybuchnąć śmiechem na to dziwne rozdwojenie jaźni swojej biurowej koleżanki. Nie tak dawno przecież, podkreślała z dumą „my z branży” i „nasze wąskie grono”, a teraz raptem grono zmieniło się w groźne „oni”. Do incydentu jednak nie doszło.

Bednarzówna po wyjściu Emilii odczekała pół godziny i zamknęła pusty pokój na klucz. Służbowa wołga zawiozła ją na lotnisko. W restauracji odszukała przedstawiciela zespołu filmowego, który miał oficjalnie sprawować opiekę nad produkcją znanego twórcy. Przedstawicielem tym był kierownik literacki zespołu, Witold Zmorski, pisarz znany nie tyle z nielicznych książek, ile raczej z ekstrawaganckiego sposobu bycia. Siedział przy stoliku w towarzystwie obwieszonych aparatami fotograficznymi dżentelmena, w którym Marta rozpoznała wskazanego jej swego czasu korespondenta i fotoreportera wielkonakładowego dziennika nowojorskiego.

– Dzień dobry. Pan mnie nie poznaje? – zagadnęła pozującego na młodzieźowca byłego czterdziestolatka.

Pisarz zamrugał zaczerwienionymi oczyma, a zaoceaniczny żurnalista, który po polsku nie umiał ani w ząb, na wszelki wypadek uśmiechnął się szeroko. Nazwisko ani urzędnicza funkcja Marty również nie kojarzyły się Zmorskiemu z niczym, pomogło dopiero powołanie się na przełożonych z resortu.

– A, to pani stamtąd – bąknął bez entuzjazmu.

Marta ogarnęła spojrzeniem stolik, zastawiony pustymi butelkami po eksportowym „żywcu”. Postanowiła działać. Zmorski trzeźwy bywał niebezpieczny. Miał cięty język i na wszystko gotowe riposty. Ale teraz, po tych piwach w upalny dzień, obciążniętych niemal samotnie? Bo Amerykanin, sądząc po sprzęcie, wybrał się na lotnisko służbowo. Tylko kto go poinformował? Reżyser specjalnie nalegał: żadnych powitań, przylatuje niemal incognito.

– Ja mu nic nie mówiłem – bronił się zapytany o to pisarz.

– Musiał pan go tutaj przywozić?

– Kiedy tak mnie podszedł... – zmieszał się Witold.

– Jak?

– Wpadłem do Związku na kawę. A on prosto do mnie. Pan Zmorski, pyta. Tak, mówię, a o co chodzi? Przedstawia się, pokazuje legitymację prasową. Słyszałem o facecie niejedno, więc rąbię twardo, że wywiadów nie udzielam. On na to, że tym razem nie po wywiad, ale po prostu dla towarzystwa. Wie, że zaraz jadę na lotnisko, wie również po co, więc możemy skorzystać z jego wozu. To ja dęba. Za nic na świecie. Gdzie jadę, tam jadę, nie jego interes, ale wolę wziąć taksówkę. Rozumie się, na koszt zespołu – poklepał się po zamszowej kurtce – ale

tego mu już nie mówiłem.

Marta spojrzała na sprzęt reportera. Poręczna ósemka ze stuprocentowym dźwiękiem, składany statyw od super-czułego mikrofonu, japoński asahi-pentax do slajdów i polaroid do kompletu... No tak. David Fishman nie był tu przypadkowo. Jutro świat ujrzy wielkie nagłówki: popularny mistrz grozy kręci w kraju ojców.

– Cześć, Witek – zabrzmiało nad stolikiem. – Hi, David.

– Hi, Norbert – uniósł dłoń korespondent.

– Witam piękną panią, my się chyba nie znamy, prawda?

Ujrzała utkwiony w jej twarzy wzrok łagodny i czujny zarazem i w tej samej chwili wybaczyła Emilii jej niefortunne zadurzenie. Ze zdziwieniem stwierdziła, że pieką ją policzki. Za sam wygląd tego niewątpliwie udanego egzemplarza płci brzydkiej była gotowa zapomnieć jego prostacką odzywkę. Autentyczny brunet o błękitnych oczach. Wzrost dobrze powyżej metr osiemdziesiąt, wysportowana sylwetka, gładka ciemnoopalona cera, kilka dodających uroku nitek siwizny na skroniach. To był mężczyzna jej życia. I prawdopodobnie wszystkich kobiet, które go kiedykolwiek poznały, westchnęła w duchu. Zresztą i gdy usłyszał, z kim ma do czynienia, wspiął się na wyżyny intelektualnej konwersacji. Przy tym patrzył na nią tak, że po raz pierwszy od wielu lat poczuła się kobietą, a nie tylko obywatelką, pracownikiem naukowym czy

funkcjonariuszem ważnej instytucji. Kapitan Pruszek nie spojrział tak na nią nigdy, mimo że od trzech miesięcy grał rolę jej męża, którego dotąd nie miała i nawet już o tym nie myślała.

Tymczasem zapowiedziano lądowanie caravelle z Paryża. Pierwszy poderwał się Fishman. Walczący od dłuższego czasu z sennością Zmorski przetarł oczy.

– To on z Paryża przylatuje? – zapytał zaskoczony. – Myślałem, że bezpośrednio tym naszym „Kopernikiem”...

– Robert od miesiąca kręci we Francji – rzucił plastik od niechcenia. – Trudno żeby specjalnie dla ciebie wsiadał w Nowym Jorku.

– Ale chyba już skończył, skoro... – zaczęła Marta

– Oczywiście. I to wcześniej niż planował, dlatego mógł się urwać. Dobrze, że zdążyłem mu podszkować te ruiny.

– Bo zdaje się u nas miał zacząć pod koniec lipca? – chciała do końca wyjaśnić przyczyny niezrozumiałego przyspieszenia terminu.

– Owszem. Ale producent „Krwawej bestii” przesunął realizację na sierpień – wrzesień. Robert tak się wściekł, a wie pani, jak on się wścieka, że chciał w ogóle wyskoczyć z interesu, ale wtedy musiałyby pauzować co najmniej do przyszłego roku. Nie jest to odpowiedni czas na unoszenie się honorem.

Stali na tarasie widokowym. Marcie nie wypadało pytać, czy „Krwawa bestia” to inna wersja zamierzonego uprzednio tytułu „Legenda mórz południowych”, czy

zupełnie nowy pomysł. Widocznie Wysoczyński miał świeższe informacje, co odczuła dość boleśnie.

Smukła caravelle podkołowała bliżej, już podjechał trap i ukazali się pierwsi podróżni.

– Jest! Jest! – wywija dłońmi nad głową plastik. – Poznacie go? O, tam za tym siwym.

Marta wyteńczyła wzrok. Serce zabiło jej niespokojnie. To już? Zaczyna się? Tylko dlaczego Marian nie uprzedził? A może powinna wiedzieć? W końcu tyle w ciągu poprzednich dni przeszło przez jej ręce notatek, wyciągów, wycinków prasowych, raportów. To chyba jej błąd, pierwszy poważniejszy w tej pierwszej akcji w jej służbie, ale czy ostatni? Dobrze, że jest przynajmniej na tyle zorientowana, by wiedzieć nie tylko, kim jest „ten siwy”, jak to, określił scenograf, ale i idący tuż obok zwalisty mężczyzna o posturze ciężarowca i krągłej jak antyczna kula armatnia, krótko ostrzyżonej głowie. W jej pamięci pojawiają się informacje z odpowiednich materiałów, gromadzonych skrupulatnie od dłuższego czasu.

Ów starszy, o białych włosach, to Melvin Price, Anglik, aktor od czternastego roku życia, od dwudziestu lat wyglądający tak samo jak dzisiaj: prosty jak trzcina, chudy, o wyrazistych ostrych rysach twarzy. Jedyń obecnie na Zachodzie tej klasy specjalista od ról charakterystycznych w filmach grozy, ostatni chyba spadkobierca Borysa Karloffa, Beli Lugosi i Lona Channeya. Współpracował już z Leśniewskim dziewięć lat temu przy najgłośniejszym jego obrazie tego gatunku, obcmokanym przez krytykę,

ale niezbyt kasowym. O wiele mniej niż późniejsza o rok „Córka diabła”, w której Price grał – na wiele lat przed Friedkinem – rolę egzorcysty-szarlatana, przemieniającego się na oczach widzów w odrażającego upiora.

Scena ta, swego rodzaju popis wirtuozerii, nakręcona w jednym długim ujęciu, była ukłonem realizatorów pod adresem dawnych mistrzów, a jednocześnie ironicznym pastiszem, pewnego fragmentu z późnej wersji. „Dr Jekyll i Mr. Hyde'a” z przechodzącym podobną metamorfozę Spencerem Tracy. Tracy jeszcze wtedy żył i nadesłał telegram z gratulacjami, co było w jego stylu, a Leśniewski zaczął być nagle cytowany przez kilku najpoważniejszych krytyków za Oceanem, którzy poprzednio nie raczyli nawet zauważyć jego dzieł w rodzaju „Pułapki” czy „Obrzydzenia”, kwitowanych przez publiczność okrzykami zdumienia lub eksplozjami śmiechu w zależności od wieku i temperamentu. Moda na takie filmy miała bowiem ciągle swoje wznoszenia i upadki. Ze zdaniem krytyków, zresztą także zmiennym, widowiska jak zwykle niezbyt się liczyła, kierując się własnym gustem.

Sam Price nie był oczywiście „aktorem Leśniewskiego”, występował średnio w dwóch, trzech filmach rocznie, ale od kilku lat były to niemal nic nie znaczące epizody. Dlatego też główna rola, w dodatku u reżysera, który w światku ostro konkurujących wytwórni zdołał ustawić zagle pod wiatr i zdobyć uznanie fachowców czasowo

znajdujących się na pomniku, była darem losu. W interesie starzejącego się aktora leżało więc, by Leśniewski dotrwał żywy i cały do fazy montażu i udźwiękowania, co miało nastąpić późną jesienią.

Marta kontynuowała swe rozważania. To było jej główne zadanie, wyznaczone przez Bromskiego: dopomóc w eliminacji tych osób z kręgu reżysera, które z dużą dozą prawdopodobieństwa nie mogą z tych czy innych względów wchodzić w grę jako narzędzia w rękach inspiratorów ewentualnego zamachu na życie filmowca.

W podobnej jak Anglik sytuacji był ten krągłogłowy atleta, czyli scenarzysta James Vilsky, którego ojciec, Stanisław Wasilewski wylądował w Nowym Świecie niedługo po pierwszej wojnie światowej. Do niczego właściwie nie doszedł, chyba że liczyć wykształcenie, które zapewnił swoim trojgu dzieciom, w tym urodzonemu w 1926 roku Jakubowi. Studia uniwersyteckie były tak kosztowne, że pochłonęły cały z trudem uciulany kapitał. Syn początkowo zaczął się gwałtownie amerykanizować, trafił nawet w oddziałach US Army na sam koniec wojny do Europy, już jako James Vilsky, private. Kilka lat później młodego wybijającego się scenarzystę przychwyciła nieświatłej pamięci Komisja do Badania Działalności Antyamerykańskiej. James nie załamał się jak wielu innych, którzy poszli na współpracę z FBI i McCarthym, nie opuścił też swojej naturalnej ojczyzny, jak inni emigranci, ale po prostu zmienił zawód, jeden, drugi, trzeci, byle z czegoś żyć,

jakoś przetrwać, aż po dziesięciu latach znowu wypłynął w Hollywood, wyróżniony za scenariusz „Dziesiątej plagi”, filmu ukazującego groźną wizję zagłady świata spowodowanej inwazją jaszczurów. Takie obrazy zaczęły pojawiać się coraz częściej w Stanach w latach pięćdziesiątych, kiedy zbrojenia jądrowe wkroczyły na ryzykowną spiralę, wywołując pogłębiający się lęk w społeczeństwie amerykańskim.

Ożeniony z Polką Vilsky zachęcał dzieci do nauki języka dziadka i matki, a i sam od biedy umiał się porozumieć polszczyzną dość kulawą i zniekształconą przez kalifornijską intonację. Z Leśniewskim zetknął się na planie dopiero niedawno, właśnie w Paryżu, gdzie świeżo ukończono „Tajemniczego sublokatora” według scenariusza Vilsky'ego, ale na gruncie towarzysko-środowiskowym znali się o wiele wcześniej i to chyba nieźle, skoro nie kto inny, lecz właśnie Fat James, jak go nazywali przyjaciele, pomógł twórcom „Pułapki” zacząć się w Los Angeles, a później w San Francisco i trochę go wspierał finansowo, w każdym razie dopóki po „Uczcie upiorów” Leśniewski nie stanął na nogach. „Zemsta wampira” miała być ich drugim wspólnym filmem, a debiutem Vilsky'ego w gatunku, któremu pewne kręgi krytyków, zafascynowanych szukaniem nowych form wyrazu, przypisują wiele ambicji, choć ten punkt widzenia wywołuje nader często żywy protest. „Jeśli to nam wyjdzie – miał podobno rzec w jednym z wywiadów – zakasujemy nie tylko Mela Brooksa i tę całą bandę”.

Wypowiedź ta włożona w jego usta uległa się przypuszczalnie w wyobraźni brukowego żurnalisty, zadziałało tu zewnętrzne podobieństwo scenarzysty do Muhammada Ali, mistrza świata wszechwag chełpiącego się odzywkami w tym stylu przed każdym ważniejszym występem, Za Oceanem taka szorstkość jest zawsze w cenie, znamionuje ponoć ludzi silnych i pewnych sukcesu.

Wniosek, jaki Marta była skłonna wyciągnąć na podstawie zebranych materiałów, był następujący: jeżeli istotnie Vilsky'emu zależy na sukcesie, musi na przyjaciela chuchać i dmuchać, bo żaden zawodowy scenarzysta nie doprowadzi do końca nie swojego filmu.

Obaj cudzoziemcy w swoim czasie zgłosili chęć przybycia do naszego kraju, formalnie na pewno byli w porządku, tyle że mieli przylecieć parę tygodni później. No, ale przyczynę wyjaśnił już Norbert Wysoczyński, pozostaje sprawdzić poprzez Rafała, co to za producent, który komuś takiemu jak Leśniewski przesuwa realizację filmu na termin wcześniejszy niż to było uzgodnione. Opóźnienie z tego czy innego względu nie wzbudziłoby podejrzeń, zahamowania bywają pod każdą szerokością geograficzną. Ale wywracać cały terminarz reżyserowi zaliczanemu od niedawna, lecz nie wiadomo, na jak długo do najbardziej kasowych za Oceanem? Czyżby ten godny uwagi ewenement miał związek z ich sprawą? Mogłoby to oznaczać, że komuś jest potrzebna obecność Leśniewskiego

w Polsce właśnie w lipcu, i to w jego pierwszej połowie, nie później. Z czym to łączyć? Bo tylko ktoś tak mało zorientowany w prawdziwych kulisach zachodniego biznesu jak scenograf Wysoczyński mógł się zadowolić bajeczką o rzekomej decyzji jakiegoś mitycznego producenta.

Marta uśmiechnęła się kątem ust obserwując podekscytowanego plastyka. Wiadomo przecież, powróciła do toku rozważań, że przy superprodukcjach, a taką miała być założenia „Legenda mórz południowych” trudno obecnie wskazać palcem producenta – człowieka. Pojedynczego człowieka. Do zamierzchłej przeszłości należy postać zażywnego biznesmena z nieodłącznym grubym cygarem po chamsku odgryzonym zębami, spluwającego na podłogę i nie zdejmującego kapelusza w towarzystwie dam, ale za to z wielce obiecującą książeczką czekową i pokaznym kontem w renomowanym banku. Biznesmena, do którego za protekcją modnej vedetty trafia ubogi reżyser, pełen olśniewających pomysłów, jak ustrzelić krwio pijęcę na okrągłą sumkę. Po komicznych perypetiach chamisko daje się skołować, a bohater pod rękę z cud-dziewicą odchodzi w siną dal w takt właśnie wylansowanego szlagiera.

Już wtedy, gdy stadami chodziły takie łzawe komedyjki z Bingiem Crosbym czy młodym Jamesem Stewartem, było to nieprawdziwe, bo nie tak te sprawy załatwiano. Cóż dopiero dzisiaj, kiedy z wielkich wytwórni filmowych zostały jedynie znaki w czołówce. Wszystkie te lwy, jupitery, gwiazdy wokół szczytu czy posąg hożej dziewczoi

miotającej płomienie, to tylko miły zwyczaj, parę metrów taśmy, pusta nazwa czegoś, co nie istnieje już od lat.

Akcje wytwórni zostały wykupione, a one same wchłonięte przez wielkie koncerny-giganty, które czerpią zyski z łańcuchowych transakcji wiążących na zagadkowych nieco zasadach na przykład sieć supermarketów w środkowych Stanach z nowymi wierceniami na Oceanie Spokojnym lub sprzedaż tanich domów z pełnym zunifikowanym wyposażeniem z najnowszą generacją maszyn cyfrowych. Budżety kilkunastu tak głośnych kilka lat temu i bardzo kosztownych filmów jak „Płonący wieżowiec”, „Trzęsienie ziemi” czy „Szczęki” nawet pomnożone przez dziesięć stanowiłyby w sumie drobny ułamek rocznych obrotów takiego koncernu jak choćby Exxon, dla którego była wytwórnia „Paramount” stanowi niewielką, nic nie znaczącą przybudówkę.

Tak więc osoba figurująca w napisach czołowych jako producent jest tylko wyznaczonym przez podrzędną filię koncernu rewizorem kontrolującym obieg kapitałów, a rzadko dostrzegany przez widzów na filmach brytyjskich, francuskich, włoskich czy zachodnioniemieckich malutki napisik w rodzaju „released for United Artists” oznacza, iż lwia część wpływów trafia prosto za Ocean, z pominięciem firmujących obraz przedsiębiorstw europejskich.

Czyli ktoś, kto podpisze „Krwawą bestię” w rubryce „produced by, na pewno nie podjął osobiście decyzji tak ważkiej, jak przesunięcie terminu realizacji Z wycinków prasowych, które Marta przeglądała niedawno, wynikało, że większość dni zdjęciowych przeznaczono na autentyczne plenery w portach Indonezji, Malajów i wysp na trasach słynnych kliprów herbacianych z XIX wieku. Plenery na drugiej półkuli w sierpniu? W środku tamtejszej zimy? Podczas monsunu? Wybuch gniewu Leśniewskiego był jak najbardziej uzasadniony. Miał prawo poczuć się jak pionek na cudzej szachownicy. Tylko o jaką stawkę toczy się ta gra?

ROZDZIAŁ IV

Gdyby nie jeden z tych przypadków, które mimo wszystko zdarzają się w życiu, grupa operacyjna pułkownika Bromskiego zostałaby zupełnie zaskoczona. A i tak to, co się wydarzyło, zniweczyło plon wielotygodniowej pracy kilkunastu osób. Mianowicie kierownik artystyczny zespołu filmowego „Muza”, ongiś ceniony reżyser Zagrodzki, człowiek już starszy i doświadczony, wolał się na wszelki wypadek zabezpieczyć i zaprosić do udziału w naradzie również kogoś ze swych przełożonych. A zbieg okoliczności polegał na tym, że nie było w biurze nie tylko brylującej nad Lemanem Emilii i chorowitego Szymona, ale i kierownika, który siedział na kolaudacji. Telefon w

jego gabinecie dzwonił i dzwonił, aż wreszcie Marta, nudząca się w dusznym pokoju pełnym spalin i hałasów z ulicy, nie wytrzymała i porwawszy słuchawkę rzuciła ostre „halo!”. Padło nazwisko nie byle kogo. Wysłuchała grzecznie, w czym rzecz, ale Zagrodzki żądał rozmowy z szefem. Tego, niestety, nie było. Sędziwy ulubieniec dziesiątej muzy zagroził, że się jeszcze odezwie za godzinę i słowa dotrzymał. Gdy znów brzęknął dzwonek, Marta nieśmiało zaproponowała swoje usługi. Napomknęła przy tym, że jest wprowadzona odgórnie, jak również przez panów Zmorskiego i Wysoczyńskiego. Rekomendacja zrobiła wrażenie. Starczy głos ponowił zaproszenie. Spotkanie wyznaczono od razu w wytwórni, gdzie przy okazji miały się odbyć próbne zdjęcia.

Przybyła na kwadrans przed oznaczonym czasem. Mimo to w niewielkim pokoju byli już wszyscy, to znaczy scenograf, kierownik literacki, gospodarz zebrania, no i sam mistrz Leśniewski. Spojrzeli na nią tak, jakby się grubo spóźniła, ale widocznie wkroczyła w środek gorącej dyskusji, bo po chwili nikt nie pamiętał o jej istnieniu. Zagrodzki robił wrażenie załamane, wyglądał na jeszcze, starszego niż w rzeczywistości, mówił niewiele. Co chwila nalewał sobie wody sodowej ze stojącego przed nimi syfonu, a czynił to delikatnie, z wyczuciem. Tak jak wszystko w swoim długim życiu, które samo w sobie mogło starczyć na niejeden scenariusz. Treść tej „story” Marta знаła na pamięć. Zresztą nie tylko tej. Musieli przecież dokładniej poznać życiorysy całej ekipy wyznaczonej

przez kierownictwo „Muzy” do współpracy, jak to oficjalnie nazywały dokumenty, z wytwórnią „Columbia”, wchodzącą w skład koncernu Gulf and Western Co. Ltd...

Jak na razie, z drugiej strony stołu siedział samotny twórca horrorów, rozsierdzony nie na żarty. Zmorski widocznie suszył od rana, bo też parskał obficie, natomiast przystojny brunet usiłował godzić obu adwersarzy.

– Ależ panie Robercie, jak tak można – biadał tymczasem Zagrodzki – jak tak można!

– Przepraszam, panie profesorze, ale to jeszcze nie wszystko. – Leśniewski skłonił się dwornie w kierunku swojego byłego sprzed lat dwudziestu wykładowcy ze szkoły filmowej.

– A co znowu pan wymyślił? – wjechał w dyskurs kierownik literacki.

– Witku! Opanuj się! – mitygował Wysoczyński.

– Ja nic nie wymyśliłem, szanowny panie – odciął się reżyser – i nie sądzę, żeby pan czy ktokolwiek z zespołu poważnie odrzucał moje nieśmiałe prośby. Po prostu nie znam tych ludzi. Nie mam czasu na docieranie się z zupełnie mi obcym zespołem.

– Ależ...

– Tak, tak, już to dzisiaj słyszałem sto razy. Że najlepsi fachowcy, jacy byli do dyspozycji. A ja się muszę zmieścić w dwudziestu dniach zdjęciowych. Razem z atelierowymi. Kto jak kto, ale pan profesor chyba wie, co to znaczy.

Starszy pan stropił się nieco i łypnął podejrzliwie na zasłuchaną Martę. W razie czego ma świadka, że chciał jak najlepiej.

– No cóż... – zawiesił głos. – Za moich czasów było nie do pomyślenia, żeby sześćoaktową fabułę skrócić w trzy tygodnie, a zmontować i udźwiękować w pięć dni, bo i takie cuda już się zdarzają, prawda, panie Robercie?

– Jeśli się kręci bez dubli... – wtrącił ostrożnie scenograf.

– Dobrze, ale jeszcze nie usłyszeliśmy, o co właściwie chodzi – zrzędził naburmuszony literat. – Do tej pory była negacja. A propozycje, że tak powiem, konstruktywne?

Twórca „Córki diabła” wzniósł oczy ku górze na znak, że opanowuje się ostatnim wysiłkiem. Po czym najspokojniej w świecie mrugnął szelmowsko do Marty i roześmiał się.

– Ma pan rację, panie Zmorski – poklepał pisarza po ramieniu. – Pożartowaliśmy sobie, a teraz do dzieła. Zresztą z „konstruktywnymi propozycjami” miałem czekać na przybycie pani... przepraszam najmocniej...

– Marta Bednarz – przypomniwała nie speszona.

– Oczywiście, jeszcze raz bardzo...

Tymczasem Zmorski swoją kindersztubę, z której słyszał, chciał widocznie zachować dla lepszego towarzystwa.

– Ta pani jest tu już od dziesięciu minut – warknął stukając palcem w okazałego schafhausena.

– Witoldzie! – jęknął scenograf.

– W porządku. – Leśniewski uniósł obie dłonie i pochylił głowę. – Ja mogę nie kręcić. Ja mogę wyjechać nawet jutro, jeśli pan sobie życzy.

Zapadła cisza. Literat obciągnął mankiet zamszowej kurtki i otarł pot z czoła. Cała buńczuczność nagle z niego wyciekła. Chyba poczuł, że przeholował, bo zaczął bąkać coś przepraszająco. Umowa zerwana z jego winy... nie, tego by nie przeżył. Do tej pory Zmorski był mocny w pysku, bo jedni go tolerowali, inni podbechtywali. Ale wziąć za cokolwiek odpowiedzialność wyłącznie na siebie? A potem dostać po głowie od jednych i od drugich? Stracić ciepłą synekurkę? Co go to w końcu obchodzi, nie raz przecież twierdził, że jeśli nawet kino jest sztuką, to dość jarmarcznią, wtórną, kiczowatą. Najlepiej potakiwać. Pota... Co?!

– Co?! – powtórzył na głos. – Przepraszam – znów spuścił z tonu – ale nie dosłyszałem.

– Och, nic takiego – ironizował przybysz zza Oceanu. – Mówiłem po prostu, że stała ekipa Bartla ma akurat przestój.

– Nie – wychrypiał wstrząśnięty Zagrodzki – nie, tego nam pan nie zrobi.

– Zrobię. Albo oni, albo rzucam wszystko w diabły.

– A tych znasz? – powątpiewał scenograf.

– Żebyś wiedział. Byłem parę lat temu w Kolonii, kiedy Wojtek kręcił „Czwartego jeźdźca”. Jeśli do tej pory

nie zmienił składu, to mogę ci po kolei wymienić wszystkich po nazwisku i funkcji aż do mikrofoniarza włącznie. Widziałem ich przy robocie.

W tej chwili Marta poczuła, że jeśli choć sekundę dłużej zachowa milczenie, wypadnie z roli. Emilia na jej miejscu już miałaby tysiące uwag.

– Przepraszam, że się wtrącam – rzuciła oficjalnie, lecz z uśmiechem – ale zespół filmowy nie jest prywatnym folwarkiem pana Bartla, a ekipa, z którą czasami współpracuje, to pracownicy państwowi, a nie „jego ludzie”.

Brunet prześwidrował ją spojrzeniem pełnym niechęci, natomiast starszerek Zagrodzki przyjął jej wtręt z pewną ulgą. W końcu po to ją tu ściągnął, jako prawomyślnego rzecznika. W ten sposób sam mógł pozostać neutralny.

– Ja to z Wojtkiem załatwię – zbagatelizował jej pryncypialność Leśniewski. – Oficjalnie ma pani rację, ale tak naprawdę to ekipa i tak miała czekać w gotowości na jego powrót z zagranicy. Sądzę, że w tej sytuacji pan profesor nie zgłosi sprzeciwu? – zaakcentował gestem, kogo uważa za głównego dysponenta.

Tak zagadnięty Zagrodzki nie miał wyjścia. Jeszcze rzucił okiem ha Martę, jeszcze próbował uników:

– No cóż, jeśli pani z resortu...

„Pani z resortu” milczała, rozciągając usta w uśmiechu. Starszerek odchrząknął.

– A jeżeli pan Bartel wróci wcześniej, niż zamierzał? – wysuwał ostatnie obiekcje.

– Wszystko będzie dobrze – uspokajał go reżyser. – Do wójta nie pójdziemy. W jakim terminie można ich ściągnąć do Krzyżowic? Z aparaturą oczywiście.

– Aparatura jest przygotowana do transportu – odezwał się Wysoczyński. Robert wyciągnął palec w jego stronę.

– A twoja kandydatka?

– Również – odparł plastik – Czeka w hali.

– Boże, biedna dziewczynka! – Leśniewski zerwał się zza stołu. – Roztopi się nam z tego upału. Tyle czasu kazać czekać. Może pani też pójdzie – spojrzał ku górze, aż ułowił wzrokiem źrenice Marty – mamy właśnie próbne zdjęcia, Norbert twierdzi, że rewelacja, bardzo proszę, to nie potrwa długo, zgadza się pani, świetnie, wobec tego my skoczmy przodem – popychał przed sobą wyższego o głowę przyjaciela – a pan Zmorski wskaże pani drogę.

I już go nie było. Ale tak postępował zawsze. Szybko, z żelazną konsekwencją, elastycznie, lecz wprost do celu. Nim Marta z towarzyszącym jej literatem i drepczącym powoli za nimi starszym panem doszła do wyznaczonego miejsca w wielkiej hali, już światła były zapalone, kamera przygotowana, operator przy wizjerze czekał na sygnał, a Leśniewski kończył wyjaśnianie epizodu wznoszącej się nad nim dziewczynie.

– Rozumiesz? – mówił głośno. – Wracasz do domu, wiesz wszystko, ale nie masz pojęcia, jak zacząć. Chcesz

mężowi wygarnąć, co myślisz o jego zdradzie, tylko ci jakoś głupio: No, idź, masz tam wyrysowane – beczere-monialnie klepnął zaskoczone dziewczę poniżej krzyża. Rozejrzała się wokoło oszołomiona, idąc zawadziła butem o rozwinięte węże kabli i może to ją otrzeźwiło, bo gdy dotarła do białej linii, wyglądała już na uspokojoną.

Marta podeszła do opartego o statyw reflektora Wyso-czyńskiego i wspięła się na palce.

– Kto to jest? – zapytała szeptem, ale plastik najwy-
raźniej stracił do niej serce, bo tylko gestem nakazał mil-
czenie. Dziewczyna wciąż nie mogła przekroczyć pocią-
gniętej kredą kreski.

– Śmiało! – zachęcał reżyser. – Trzy kroki i półobrót.
Tak jak mówiłem. Kamera!

Dziewczyna ruszyła jak w transie. W oślepiających
światłach jej pusta jak u lalki twarz zaczęła się zmieniać,
sztuczne rzęsy zatrzepotały, a o wiele za bujny jak na ak-
torkę biust zafalował niepokojąco. Oczy autentycznie
zwilgotniały, odbiło się w nich zniechęcenie i złość, żal i
rozczarowanie. Potem jakby politowanie. Na koniec po-
gardliwe skinięcie głową, powtórzone kilkakroć; wydęcie
warg. Chusteczka, do tej pory nerwowo skubana palcami,
zwisa z dłoni luźno, służy już tylko do otarcia z nich potu,
wreszcie, zmięta i nieświeża, zostaje rzucona pod nogi
wiarołomnego małżonka. Dziewczyna odwraca się powoli,
lekką zgarbioną, jakby starsza o gorzkie doświadczenie.

– Stop!

Cichnie świergot arriflexa, gasną jupitery, asystent oświetleniowca wyciąga z gniazdka przewód „szczenia-ka”. Leśniewski szybkim krokiem opuszcza halę nie zaszczyciwszy adeptki ni słowem, ni spojrzeniem. Dziewczyna podbiega do jedyne go znanego jej tu człowieka.

– Zawiadomimy panią – rzuca sucho scenograf. – W każdym razie niech pani będzie pod telefonem – dodaje ciepłej, widząc łzy w oczach obramowanych co najmniej półtuzinem różnych mazideł. – Szkoda tuszu – śmieje się. – Do zobaczenia.

Marta z uporem ponawia pytanie, gdy tylko odeszli na kilkanaście kroków.

– Toto? – wygina kciuk Wysoczyński. – Taka naturszczyca. Robert prosił mnie o coś w tym typie. Mam przecież być u niego również czymś w rodzaju drugiego reżysera.

– Wygląda na striptizerkę – mówi Marta bez zastanowienia.

Tamten przystaje na moment i obrzuca ją uważnym spojrzeniem.

– Zna ją pani? Mogła ją pani widzieć w lokalu...

– Nie, nie chodzę po lokalach, a w nocnym w życiu nie byłam...

– Nic straconego – przełamuje lody błękitnooki brunet. – Jeśli pani łaskawie pozwoli się zaprosić...

– Jestem mężatką – przypomina sobie w ostatniej chwili.

– Oczywiście z mężem – plastik umie się znaleźć. – Bardzo prosimy, jutro wieczorem, to taki skromny bankiet zapoznawczo-pożegnalny. Proszę osobiście oraz w imieniu Roberta, zresztą za chwilę on sam to robi. Będzie cała ekipa. Żegnamy na miesiąc ukochaną stolicę, no i niestety chyba panią również?

– Mnie? – Marta wybucha śmiechem. – Dlaczego? Przecież ja też jadę do Krzyżowic.

– Nie? – wtóruje plastik. – Poważnie? To wspaniale. Naprawdę, bardzo się cieszę – z wyraźnym przymusem wraca na płaszczyznę nieszkodliwego flirtu.

– Nie możesz nie iść – stwierdził kapitan Pruszek, gdy skończyła relację i wyłączyła miniaturowy magnetofon z nagraniem rozmowy. – To nawet dobrze, poznasz ich wszystkich od razu, za jednym zamachem.

– A co na to szef?

– Co ma powiedzieć. O tamtej ekipie mieliśmy mnóstwo materiału, byli w niej ludzie lepiej nam znani. Natomiast o tych wiemy niewiele. Jak na nasze potrzeby oczywiście.

– Żadnego punktu zaczepienia?

– Na razie prawie nic, ale, kobieto, przecież przyniosłaś ten pasztet godzinę temu. Daj nam trochę czasu. – Kapitan chował notatnik do kieszeni. – Nieobecność „męża” jakoś wytłumaczysz, ja zresztą będę tam w pobliżu, tylko uważaj...

– No wiesz!

– W porządku. Między innymi przyjrzyj się takiemu młodemu blondynowi w twoim wieku. Oto jego zdjęcie. On nazywa się Jerzy Henke.

Zaafierowana ledwo zauważyła niespodziewany, a być może i mimowolny komplement, jakim została uraczona.

– Już masz zdjęcie? Jakim cudem? – dopytywała się swoim zwyczajem nazbyt natarczywie.

– To po prostu drugi dziś szczęśliwy przypadek. Wiem, że pracował w zespole Bartla jako mistrz oświetlenia, był z nim w RFN, a po powrocie złożył podanie o wyjazd w ramach akcji łączenia rodzin. Ma tam ojca, matkę i starszego brata.

– To wszystko, co o nim wiadomo?

– Oczywiście, że nie, ale chwilowo nie ma podstaw do podejrzeń. Na ogół ktoś, kto ma być u nas uruchomiony, przechodzi tam instruktaż, co razem z przesłuchaniami zajmuje minimum dwa, trzy miesiące. A Henke z nikim poza najbliższą rodziną się nie kontaktował, a i ta wizyta osobista trwała zaledwie jeden dzień.

– Mimo wszystko mam pytanie – rzekła Marta po chwili namysłu.

– Jakie?

– Może nie mam racji, ale patrzę na to z własnego podwórka. W jednodniową wizytę wierzę, bo tempo tam mieli mordercze, i jeżeli Henke wyjechał i wrócił razem ze wszystkimi...

– Owszem.

– ...to nie mógł przejść najkrótszego nawet przeszkolenia. Ale zastanawia mnie co innego. Po co Bartel ciągnął ze sobą oświetleniowca, skoro stroną techniczną zajmowała się tamtejsza wytwórnia, która, jak wiemy, firmowała gotowy film. Na planie musiało więc być ich dwóch, ponieważ zatrudnienie fachowca miejscowego gwarantuje związek zawodowy.

Kapitan Pruszek zajrzał do rozłożonych na stoliku dokumentów.

– Może było ich dwóch, ale człowiek, o którym mówimy, nie oddalał się od sprzętu. To zostało dokładnie sprawdzone.

– Czy to był pierwszy wyjazd Henkego do RFN?

– W ogóle jego pierwszy pobyt za granicą.

– I od razu tak mu się tam po paru dniach spodobało, że chce wyjechać na stałe? Dziwne... Może ojciec go namówił?

– Tak, to historia dziwna i nietypowa, trzeba, żebyś się z nią zapoznała. Z tym że nie możemy się niczym sugerować. Młody Henke swoim zachowaniem nie wzbudza żadnych podejrzeń. Ale póki nie sprawdzimy szczegółów, nie możemy zbyt pochopnie wpisywać go na twoją listę.

– To już jest jakaś „moja lista”? – uśmiechnęła się Marta.

– To nazwa robocza, a pomysł Rafała. Lista osób poza wszelkim podejrzeniem – sparafrazował kapitan tytuł znanego włoskiego filmu. On też ostatnio uzupełniał wiedzę w tym zakresie.

ROZDZIAŁ V

Przez pierwsze dni nic specjalnego się nie działo. Kierownictwo ekipy i aktorzy mieszkali w niewielkim hoteliku PTTK, u stóp zamkowej góry. Był to wprawdzie zaledwie pagórek, ale przyjęło się tak mówić od pierwszego wieczoru, kiedy to czarujący scenograf wszystkim jadącym autokarem kazał wysiąść na skraju lasu, potem poprowadził ich w bok od szosy, dnem łożyska wyschłego potoku, który krętym szlakiem wznosił się lekko pod górę. Panie protestowały, bo na śliskich otoczkach wyginały obcasy, reszta pasażerów autokaru też nie była zachwycona tą niewytłumaczalną wspinaczką po kilku godzinach podróży. Marta zauważyła, że tylko dwie osoby nie zgłosiły żadnego sprzeciwu. Jedną z nich był Leśniewski, prawdopodobnie uprzedzony wcześniej o celu tego spaceru. Natomiast zachowanie owej drugiej osoby mogło zastanawiać. Była nią poznana w wytwórni świeżo upieczona kandydatka na adeptkę dziesiątej muzy. Prawdziwe jej imię i nazwisko brzmiało Krystyna Robaczewska, ale bywalcom niektórych lokali stołecznych była znana jako Marie-Chantal...

Wysoczyński podszedł do prośby przyjaciela z entuzjazmem neofity. Od lat związany z teatrem, z filmem dotychczas niewiele miał styczności. A teraz zostaje drugim reżyserem? I to u Roberta? Swoją drogą ma pamięć. Przypomniał sobie wypowiedziane kiedyś półzartem przy

kieliszku skryte marzenie scenografa. Leśniewski barwnie opisał, o jaki typ dziewczyny mu chodzi: słodka buziunia naiwnego dziecka celowo skonstrastowana z wyzywająco agresywnym ciałem. Niewinność zupełnie nieświadoma własnej potęgi i wpływu na otoczenie. Reżyser szukał takiej postaci przed laty, przy realizacji kręconego we Włoszech filmu „Którędy?”, ale ówczesna debiutantka, a dziś znana gwiazda, nie w pełni odpowiadała powziętemu wyobrażeniu. Słowny wizerunek był oczywiście bardziej szczegółowy, plastyk prawie widział przed oczami poszukiwaną dziewczynę.

Rzecz dziwna: znalezienie odpowiedniej kandydatki okazało się o wiele trudniejsze, niż można było pierwotnie przypuszczać. Scenograf miał masę znajomości, bez trudu rozpowszechnił wieść, że szuka początkującej aktorki-amatorki, nie wyjawiając na razie, do czyjego filmu. Nawet bez prasowego anonsu chętnych jak zwykle zgłaszało się setki. Niestety, żadna z nich nie była tą, o którą chodziło. Jeżeli nawet figura i ogólny wygląd od biedy pasował, to wrażenie psuła twarz – zbyt pospolita lub wręcz martwa, nie wyrażająca żadnych uczuć, albo też pod źle nałożoną maską pozornej naiwności cyniczna i wyrachowana. Wysoczyński z własnego malarskiego doświadczenia wiedział, że model, zwłaszcza w portrecie, musi mieć osobowość, reprezentować jakieś wartości duchowe. A tu zadanie było jeszcze trudniejsze, jako że z modelem można popracować, skłonić do otwarcia się, wydobyć ukrywane

na co dzień i nieraz nawet nieświadomiane cechy. Na to wszystko brakowało czasu.

Do Krystyny podszedł tylko dlatego, że miał na nią ochotę. Striptizerki na ogół unikają przypadkowych znajomości, wystrzegają się jak ognia wszelkiego posądzenia o kontakty z mężczyznami. Ale tym razem istniał wszak znakomity pretekst. Magia filmu powinna zadziałać...

Dziewczyna była dzika i nieufna, potraktowała go jak pierwszego lepszego podrywacza. Nie przekonała ją jego legitymacja ani zaświadczenie z wytwórni. Podobnych frajerów kręca się koło niej tuziny, nie taka ona głupia, żeby dać się nabrać. Ofuknęła go zresztą ostrzej, wręcz niecenzuralnie, a wszystko to w przelocie, w pośpiechu, potem w taksówce, bo występ Marie-Chantal miały w programie każdego dansingowego wieczora co najmniej trzy stołeczne lokale. Występy szły kompletami, mimo uczciwej zapowiedzi w afiszach, że czekająca gości atrakcja będzie jedynie połowiczna...

Norbert zepsuty powodzeniem od lat nie zabiegał o względy jakiegokolwiek istoty odmiennej pici. Narzucały mu się same, w sposób nieraz przyprawiający go o zażenowanie. I tym razem, gdyby chodziło tylko o jeszcze jedną przygodę, dalby za wygraną już po pierwszej wymianie zdań. Ale właśnie w ciągu tych paru minut dostrzegł w oburzonej jego natarczywością dziewczynie coś, czego szukał. Była tak autentycznie zacietrzewiona i rozwścieczona, tak ignorująca go jako mężczyznę, tak wyłączenie pochłonięta swoją „pracą”, że albo, jak orzekł,

musiała być rzeczywiście piramidalnie głupia, albo była materiałem na dobrą aktorkę.

Zostawił ją chwilowo w spokoju, ale za to dotarł do jej rodziców w niewielkiej podwarszawskiej miejscowości, gdzie Krystyna była zameldowana na stałe. Adres udostępniło zatrudniające Robaczewską przedsiębiorstwo gastronomiczne, ponieważ wystąpił jako oficjalny przedstawiciel zespołu. Rodzice też byli początkowo nieufni, ale gdy stopniały pierwsze lody, podjęli się mediacji. A dzikuska z małej miłośnicy dopiero wtedy uwierzyła, że to nie lipa i branie ją na fundusz, gdy jej matka wystąpiła w roli przyzwoitki i przyholowała córunię do wytwórni.

Tymczasem Wysoczyński gratulował sobie wyboru. Bo gdy tylko Krystyna przekonała się, że naprawdę chodzi o film, nastąpiła w niej znamienna metamorfoza. Wyszło wówczas na jaw, że po maturze usiłowała dostać się do szkoły teatralnej na wydział aktorski. Przyszła na egzamin niewprawnie i zbyt grubo umalowana i przesadnie wydekoltowana, ponieważ nikt jej nie powiedział, co jest właściwie wymagane. Przewodnicząca komisji posiniała z irytacji. Po serii pytań powiedziała wprost: „Z taką aparycją może pani występować, ale na dansingu!”. Na drugi rok próbowała znowu, w innym mieście. Tym razem zżarła ją trema. O ten dansing nawet się nie obraziła, nie zamierzała podjąć innych studiów ani żadnej poważnej pracy. Na podstawie tego, co mogła wyczytać o zagranicznych

aktorkach, uznała, że pseudokabaretowe produkcje w restauracjach są takim samym zajęciem jak każde inne, tyle że bardziej intratnym. Zresztą na pieniądzach specjalnie jej nie zależało, w każdej chwili była gotowa rzucić wszystko i grać cokolwiek, gdziekolwiek, choćby niemy epizodzik na trzy sekundy Tymczasem lata mijały i miała ich już aż dwadzieścia cztery, gdy los zesłał jej taką szansę: ekspozowana, niemal pierwszoplanowa rola w fabularnym filmie. Postanowiła tej szansy nie zaprzepaścić. Zrobi, oprócz jednej rzeczy, wszystko, czego od niej zażądata i to najlepiej jak potrafi. Dlatego teraz posłusznie drepcze po kamieniach starając się dotrzymać kroku komuś, kogo podświadomie uznała za tymczasowego przewodnika, komuś, kto jako pierwszy mężczyzna w jej życiu potrafił zdobyć jej sympatię i przychylność. O innych uczuciach nie było mowy. Leśniewskiego wprowadzie uważała za szefa całego przedsięwzięcia i usiłowała go słuchać, ale jak każda wysoka dziewczyna nie mogła w człowieku tych rozmiarów uznać autorytetu. Po kolejnym jego poleceniu szukała oczyma aprobaty Norberta, aż się utarło, że to on omawiał z nią szczegółowo każde planowane ujęcie.

Tego pierwszego, popołudnia stanęli u celu, jakim był wylot wąwozu. Widok był istotnie niesamowity Tuż przed nimi wznosiło się strome urwisko, a na jego szczycie tkwiła potężna baszta. Promienie zachodzącego słońca rzucały na ceglane mury krwawe refleksy. Zębate blanki odcinały się groźnie na tle ciemnego już nieba.

Całe wrażenie zepsuł jednak młody Byrda, początkujący aktor, którego Zagrodzki gorąco polecał jako niezwykle talent. Do pierwszego klapsu Byrda wykazał istotnie niezwykle talent do psucia nastroju i zarzynania point w dowcipach.

– Ojej, jakie to przepiękne! – wykrzyknął ze sztuczną emfazą. – Nic tylko wziąć kamerę i kręcić...

Operator, Karol Zdanecki, przykucnął na chwilę i spojrział pod górę na zamkowe fortyfikacje.

– Żeby pan wiedział – mruknął z przekąsem. – Bardzo dobre ujęcie.

Leśniewski spojrział na operatora z zainteresowaniem.

– Tak – poparł go – jutro o tej samej godzinie tu przyjdziemy. Łaskawa pani zorganizuje plan? – zwrócił się do najstarszej w ich gronie osoby, kierownika produkcji Anny Bursztynowicz.

Jak twierdzili znawcy, nie miała sobie równych i potrafiła dokonywać rzeczy niemożliwych. Marta widziała, że Bursztynowiczowa, która mimo przekroczonej pięćdziesiątki energią, wyglądem, postawą i humorem mogła zakasować niejedną nastolatkę, pełniła tę funkcję między innymi przy większości głośnych filmów Bartla. Oczywiście nawet i ona nie byłaby w stanie przygotować wszystkiego, co jest potrzebne do kręcenia plenerów, w ciągu jednej doby, ale czynności wstępne zostały wykonane już wcześniej przez ludzi Zagrodzkiego. Trochę było uraz i animozji przy „przejmowaniu gospodarstwa” przez Annę od uprzednio wyznaczonego kierownika produkcji, ale

główną część pracy miała dzięki temu poza sobą. Nawet pracownicy do robót pomocniczych, wózkowi, oświetlacze, cieśle, elektrycy, mikrofoniarze i wielu innych, bez których nie powstanie najskromniejszy i najbardziej kameeralny obraz, byli już umówieni i wciągnięci na listę płac. Tylko kilku z nich mieszkało w hoteliku „Pod Basztą” koło ruin zamczyska, jako że w całym budynku było zaledwie dwadzieścia miejsc noclegowych, wliczając w to personel. Reszta fizycznych musiała co dzień dojeżdżać z leżących o kilkanaście kilometrów Krzyżowic, gdzie można było liczyć również i na kwatery.

Z początku Martę traktowano oficjalnie, z dystansem i pewną dozą nieufności. Ponieważ jednak minął jeden i drugi dzień pracy na planie, a „pani z resortu” ograniczyła się do paru drobnych, ale rzeczowych i niegłupich uwag, a poza tym starała się „nie plątać pod nogami”, jak mawiał reżyser Leśniewski o wchodzących mu w kadr, szybko doszło do zacieśnienia kontaktów, a nawet do półformalnego, bo nie opitego bruderszaftu z wszechwładną Bursztynowiczową.

– Tylko bez zdrobnień, bo nie cierpię – zastrzegła.

– Jak sobie życzysz, Anno – odparła Marta ze śmiechem. – Ale, ale, taka jesteś ciągle załatana, że nie śmiałam ci głowy zawracać moimi kłopotami... – zawiesiła głos w ten charakterystyczny sposób, po którym druga kobieta poznaje, że tamtej chodzi o sprawy jak najbardziej osobiste i określonego gatunku.

– Mam nadzieję, że to nic związanego z naszym personelem – powiedziała Anna na wszelki wypadek.

– Ależ skąd. I nawet nie wiem, czy w ogóle...

– No, co się certolisz, wał, skoro zaczęłaś. – Pani kierownik była znana ze swego niewyparzonego języka i powiedzonek, o które nikt się absolutnie nie obrażał. Ale też niewielu było takich, którzy chcieliby się narazić na publiczny wygawor w wykonaniu energicznej szefowej.

– Uśmiejesz się, ale mam przeraźliwie zazdrosnego męża.

– Zmień jak najprędzej.

– Dobrze, ale póki co muszę jeszcze cierpieć. Widziałas chyba, jak ciągle do mnie wydzwania. W dodatku ja tu jestem służbowo, a on ma akurat urlop. Mieszkam sama w dwuosobowym pokoju, więc...

– Aaa, tędy cię wiedli, zbereźnico – zaśmiała się Anna.

– Powiedz lepiej, że nie chcesz chłopca samego zostawić, żeby ci się nie puścił, co?

– No wiesz, jak to jest – Marta skwapliwie podchwyciła tę wersję. – Z góry obiecuję, że nie będzie się płatał pod nogami – zaryzykowała aluzję. W końcu była osobą spoza ich kręgu. Ale widocznie zrobiła dobre wrażenie, bo Bursztynowiczowa tylko szturchnęła ją pod żebro.

– Pogadam z kierownikiem „Baszty”.

– Tobie by miał kto odmówić?

– No, no, nie pozwalaj sobie – niby fuknęła, ale oczy jej się śmiały. – A w czym twój robi, może go wykorzystam do czego? Ludzi mam skąpo, jak widzisz, niektórzy

muszą brać na siebie po parę funkcji.

– Mniej taśmy na czołówkę wyjdzie. A mój stary chyba ci się nie przyda. Jest mykologiem.

– Kim?!

– Takim facetem od grzybów, wiesz, rodzaj botanika, tyle że nie na uniwersytecie, tylko w specjalnym instytucie. Do tego się wąsko doktoryzował, w porostach, liszajach i grzybie ściennym.

– O rany, nie rozśmieszaj mnie! Doktorat z grzyba? Nie, no padnę – chichotała szefowa. – Dzwon, niech pakuje manatki i przyjeżdża, przecież ja muszę takie coś zobaczyć. A o formalności się nie martw. Masz to z głowy.

Marta nie wiedziała, czy obrażać się o „takie coś”, czy bardziej cieszyć z pomyślnego załatwienia sprawy. Opracowano kilka wariantów, które równie dobrze uzasadniałyby obecność w hoteliku kapitana Prusaka, lecz sposób „na męża” budził najmniejsze podejrzenia, zwłaszcza że do tej właśnie wersji przygotowywali się oboje od dłuższego czasu. Rzadką specjalizację „pana doktora” wymyślono ze względu na ułatwienie dostępu do pomieszczeń zamku. Kto zwróci uwagę na maniaka łączącego po murach i piwnicach? A penetracji terenu trzeba było dokonywać na bieżąco, choćby w celu wykrycia ewentualnej miny. Wypadek zgoła niewiarygodny, ale skoro zanosilo się na próbę morderstwa i tego nie można było całkowicie wykluczyć. Toteż już następnego dnia uczony mykolog został

czule przywitany przez stęsknioną żonę, a że podczas wspólnej kolacji wyszło na jaw, iż w bagażniku jego trabanta znalazło się nie tylko zapasowe koło, instalacja jeszcze jednej osoby spoza ekipy przebiegła zupełnie bezboleśnie.

Mury hotelu, powstałego w drodze adaptacji zabytkowych spichrzy czy lamusów, były niezwyklej grubości, mimo to „małżonkowie” woleli rozmawiać raczej na otwartej przestrzeni, przechadzając się wzdłuż pozostałości po zamkowej fosie.

– Są nowe ustalenia – mówił kapitan podczas pierwszego spaceru. – Jeżeli sprawca jest już na miejscu, sygnałem do działania będzie dla niego pojawienie się w okolicy Davida Fishmana lub innego człowieka tej profesji. Była mowa o kimś pewnym i wiarygodnym.

– Inaczej mówiąc, dopóki facet nie zobaczy przekręconej „Sowy”, jesteśmy dobrzy? – Marta wymieniła kryptonim, jakim kierownictwo operacji opatrzyło Leśniewskiego. Pruszek spojrział na nią zdumiony. Odkąd ją znał, nigdy nie używała takich wyrażeń. Czyżby była aż tak podatna na wpływy, że w ciągu kilku dni przejęła pełen dezygnoltury styl bycia filmowców?

– Za bardzo to wszystko upraszczasz – mitygował. – To są jedynie przypuszczenia. Z materiałów Rafała wynika, że jeżeli w ogóle coś nastąpi, to raczej pod koniec lipca. Mamy trochę czasu.

Marta przystanąła, żeby odetchnąć. Marian narzucał stanowczo zbyt szybkie tempo ich marszu.

– Ile tu jest osób w ścisłej ekipie? – zapytał, gdy wyszli z fosi na otwartą przestrzeń.

– Ze mną dwanaście – podsumowała. – Wyliczyć?

– Na razie nie. Zorientowałaś się już trochę w okolicy, tak jak mówiliśmy?

– Owszem, okolica jest bardzo ładna. Zielone łąki, gęste bory, pełne leśnej zwierzyny... – nie mogła się powstrzymać od niestosownych żarcików.

– Marta!

– Coś takiego!

– Co znowu?

– Pierwszy raz zwróciłeś się do mnie po imieniu. A wracając do okolicy – szybko zmieniła temat widząc ponure wejrzenie towarzysza – obszar, który nas interesuje, zajmuje, jak sprawdziłam u kierownika „Baszty”, około stu kilometrów kwadratowych.

– Bagatela! – prychnął kapitan. – Zresztą to i my wiemy. Kto to jest ten kierownik?

– Nazywa się Spiczak.

– Jak? – Pruszek zatrzymał się w pół kroku.

– Spiczak. A co?

– Nie, nic – przeciągnął i dał jej znak, żeby szła dalej, bo droga się rozwidła. – Poza tym mów to, co sama miałaś sprawdzić na miejscu, a nie operuj danymi z mapy.

– Tak jest, już mówię. A więc przylegający do ruin kompleks lasów odgraniczają od następnych dwie szosy i jedna droga lokalna. Z czwartej strony – odwróciła się i

wskazała ręką – jak widzisz, pola i łąki aż do samych Krzyżowic. Na tych szosach kursują autobusy PKS, rozkład pokażę ci w pokoju...

– Zapisałaś to? – natarł ostro Marian.

– Tak... – wymamrotała speszona.

– Wbrew wyraźnym instrukcjom? Przecież szef...

– Zapomniałam, nie gniewaj się – zdjęła okulary przecierając szkła. – A kartkę tak schowałam, że na, pewno nikt nie znajdzie. Przyklepiłam od spodu do stolika w hallu. Kto tam zajrzy?

– Choćby sprzątaczką.

– Ela? Nie żartuj. Ledwo ma czas machnąć szczotką po wierzchu.

Kapitan zawahał się, jakby w tej chwili chciał wracać do hotelu i zniszczyć dowód ich działania. Ich? Przecież on dopiero wczoraj przyjechał. Jak można do takiej akcji dawać kogoś tak niedoświadczonego. I w dodatku niezbyt zrównoważoną kobietę.

– No dobrze – machnął dłonią – wal dalej, co ustaliłaś.

Wchodzili między pierwsze drzewa z drugiej strony zamku.

– Niestety, ludzi tutaj cała masa – podjęła temat. – Pełno szlaków turystycznych, obozy harcerskie, z drugiej strony naszego lasu, przy tamtej szosie do Kielc, ośrodek wczasowy, w środku dwie leśniczówki, tylko między nimi mniej więcej stuhektarowy ścisły rezerwat, gdzie raczej

nikt nie chodzi. Część drzew podlega normalnej gospodarce leśnej, a więc trzeba dodać drwali i robotników leśnych.

– Tu pracują, a gdzie mieszkają? Pytam tak ogólnie, trudno, żebyś każdego zdołała poznać.

– Przeważnie w okolicznych wsiach, o ile zdążyłam się zorientować. W jednej z nich, w Sułkowicach, jest gminny ośrodek kultury, w sobotę była tam zabawa tańeczna, widocznie niektórzy jej uczestnicy wracali przez las, bo śpiewy na drodze było słychać aż do rana.

– No tak – westchnął kapitan – czuję, że nawet ludzi Budziszka będzie za mało, żeby to wszystko ogarnąć. Czy Leśniewski chodzi gdzieś sam, na przykład na taki krótki spacer, jak my teraz?

Marta milczała dłuższą chwilę.

– Niestety – powiedziała wreszcie. – Ma irytujący zwyczaj znikania na godzinę lub dwie.

– Jak to „znikania”? Gdzie? Sam? O co chodzi? – dodał widząc wyływające na twarz kobiety rumieńce.

– To moja wina – zaczęła ze skruchą.

– Ale co?

– W żaden sposób nie mogę się obudzić, tak żeby zdążyć. Pierwsza z nas wstaje Anna, bo o szóstej przyjeżdża autokar z Krzyżowic z ekipą techniczną. Wydaje im dyspozycje. Potem jemy śniadanie, a Leśniewski tymczasem jest już po spacerze.

– Taki ranny ptaszek?

– Właśnie. Kiedy on śpi? Wychodzimy od niego czasem niemal o północy, a on jeszcze pracuje. Chyba muszę w ogóle się nie kłaść.

– Dlaczego akurat ty? Dzisiaj przespałaś i śniadanie.

– No właśnie – przyświadczyła potulnie. Zawsze uważała to za swoją największą wadę. Na studiach czy potem do doktoratu uczyła się późno w noc, ale jeszcze nigdy nie udało jej się zerwać skoro świt.

– Ale tak raz albo drugi... – Marian widocznie zmienił zdanie. – To jest myśl. Temat do rozmowy z nim chyba znajdziesz. Jakieś wątpliwości w scenariuszu czy scenopisie. Będziesz za nim szła możliwie ostrożnie. Ja nie mogę, to by było za bardzo podejrzone.

Szli teraz ścieżką przez wysokopienny las pozbawiony zupełnie poszycia. Wyglądało to jak wnętrze gotyckiej katedry o licznych kolumnach. Marta mówiła o poczynionych obserwacjach. Nagle urwała i przystanąła tknięta nową myślą.

– Słuchaj, a właściwie dlaczego ograniczamy się do filmowców? A brygada techniczna? A personel hotelu? Rzemieślnicy, kierowcy?

– Nie my się ograniczamy, tylko ty. To jest twój wycinek. Skup się na tym, resztę zostaw komu innemu.

Po raz pierwszy potraktował ją tak oficjalnie i tak wyraźnie dał do zrozumienia, że została włączona do grupy operacyjnej jedynie jako wąsko wyspecjalizowany ekspert od drobnego fragmentu rozległej całości i że gdyby nie

wyjątkowy charakter sprawy, kto wie, czy otrzymałaby tego typu zadanie. Za to ma teraz okazję do zaprezentowania walorów nie dostrzeżonych dotychczas przez zwierzchników.

– Tak jest – odparła przygaszona. – Ale miałeś mnie ukierunkowywać, a nie robić uwagi.

– Miałem, tylko nie na tym etapie. Gdybym dzisiaj cię zapoznał z życiorysami twoich podopiecznych, mogłabyś się mimo woli zasugerować. Już i tak pewnie na Henkego zwracasz uwagę bardziej niż na pozostałych.

– Nawet gdybym chciała, niewiele mam po temu okazji – starała się, by zabrzmiało to ironicznie.

– Nie rozumiem.

– Po prostu trzyma się z dala od „Sowy”. Przyjeżdża autokarem z Krzyżowic i po skończonej dniówce wraca.

– Nigdy nie został na dłużej?

– Nie. A pracuje tak, że przestają się dziwić Bartłowi, iż zabierał go ze sobą, bo inicjatywa wyszła podobno od niego?

– Takie przynajmniej mamy informacje. – Pruszek przystanął pod potężną jodłą i rozejrzał się wokoło. – Może już wrócimy?

Zrobili pętlę i szli teraz inną leśną ścieżką, która wyprowadziła ich na skraj rozległej poręby. W oddali widać było warkoczące ciągniki, które wywlekały powalone olbrzymy.

– Co to jest?! – wykrzyknął przybysz z Warszawy. – Przecież jodła jest pod ochroną!

– A kto teraz wykracza poza swój wycinek? – odcięła

się Marta. – A na tym zrębie odbywa się najzupełniej legalne pozyskiwanie grubizny w ramach etatu rębego – błysnęła zasłyszonym fachowym żargonem. – Bo trzeba ci wiedzieć, że u nas przy kolacji mówi się nie tylko o głupstwach czy ploteczkach rodem ze Spatifu.

– No dobrze, masz jak zwykle rację – mruzczał Marian w drodze powrotnej. – A propos kolacji...

– Już jesteś głodny?

– To również, przegoniłaś mnie nielecho, ale wczoraj wspomniano o spodziewanym przyjeździe nowego gościa.

– Owszem. Ma tu zajrzeć Krystian Sawnor.

Nazwisko znanego kompozytora i jazzmana nie było oczywiście obce kapitanowi, jak również fakt, że właśnie ten muzyk był autorem oprawy muzycznej trzech filmów Leśniewskiego, w tym debiutanckich, kręconych jeszcze w Polsce „Płazów” oraz głośnej „Córki diabła”. Natomiast w obecnej sprawie wypłynął po raz pierwszy.

– Nawet ja, zupełny laik – zrewanżował się za poprzednią uszczypliwość – wiem, że kompozytor jest podczas realizacji filmu osobą najzupełniej zbędną. Kto go tu ściągnął?

– Chyba nikt. Po prostu zadzwonił i powiedział, że wpadnie.

– Komu powiedział?

– Osobiście Leśniewskiemu. Krzyczał tak, że wszyscy słyszeli. Wiesz, jak to jest z tą słyszalnością.

Wiedział, bo sami musieli zdzierać gardła prowadząc

„małżeńskie” rozmowy. Jednocześnie z niepokojem myślał, że stanęli przed zadaniem właściwie niewykonalnym.” To łatwo powiedzieć: macie wykryć potencjalnego sprawcę bez zwracania uwagi gości z zagranicy. Tylko błąd logiczny tkwi już w założeniu. Ktoś, kto nosi się z zamiarem, nie jest jeszcze sprawcą. Chyba że zamiar ten da się udowodnić czarno na białym. Ale w tym wypadku? Bo przecież nie można czekać, aż padnie cios. Wtedy bezbłędna i najszybsza akcja nie zda się na nic. Nikt nie zabroni zagranicznemu korespondentowi przekazać wiadomości, w dodatku formalnie prawdziwej, bo nie ujawniającej do końca rzeczywistych przyczyn wydarzenia. Jeśli reżyser uznał, że mimo kilku sukcesów jego kariera na Zachodzie zbliża się nieuchronnie do końca i z tego względu istotnie zamierza nawiązać mocno nadszarpnięte kontakty z krajem, to jego sprawa. Ktoś inny, bardziej kompetentny, powinien w tej delikatnej kwestii zająć stanowisko. Nie wnikając w jej sedno ani motywy postępowania Leśniewskiego, cała ekipa pułkownika Bromskiego odetchnęłaby z ulgą, gdyby on sam zdrów i cały jak najszybciej opuścił kraj i poza jego granicami kończył swego „wampira”.

Wieczorem zapanowała odświętna atmosfera, Sawnor mimo otaczającej go sławy okazał się człowiekiem skromnym i trochę księżycowym. Jadł i mówił niewiele, nie palił, nie pił, miał rozbrajający uśmiech dużego dziecka, co przy rozłożystej brodzie i gęstych węsach robiło

komiczne wrażenie. Niemal bez przerwy notował coś na skrawkach papieru, które miał i upychał po kieszeniach obszernej bluzy. Podeszedł nawet do stojącego w kącie jadalni pianina, ale po bezskutecznej próbie wzięcia kilku podstawowych akordów z żalem przymknął pokrywę.

– Panie kierowniku, nie dałoby się tego grata nastroić?
– zawołała Bursztynowiczowa do wchodzącego byłego leśnika.

– Niestety, proszę pani, nawet w Kielcach nie udało mi się znaleźć odpowiedniego fachowca. Przepraszam...

Odwrócił się i nachylił nad Leśniewskim pochłoniętym rozmową z operatorem. Reżyser wysłuchał kilku wypowiedzianych szeptem słów i żywo zerwał się z za stołu. Nikt wprawdzie nie zareagował, bo też nikt nie widział szefa poruszającego się w normalnym tempie, ale kierownik hotelu dodał tonem wyjaśnienia:

– Telefon do pana reżysera.

Marta, która jak zwykle siedziała tuż przy wahadłowych drzwiach prowadzących do hallu, gdzie w boksie recepcji był jedyny w budynku aparat telefoniczny, tym razem nic nie usłyszała.

Kolacja zmierzała już ku końcowi, wszyscy zaczęli się powoli rozchodzić. Bursztynowiczowa zagarnęła ramieniem atletycznego scenarzystę i skinęła na Martę. Bez pukania weszli we trójkę do położonego w korytarzu na parterze pokoju reżysera. W takim składzie co wieczór o stałej porze omawiali treść scen zaplanowanych na dzień następny. Anna musiała wiedzieć, co przygotować.

Wychodziła pierwsza, bo wstawiała najwcześniej. Już o szóstej rano dyrygowała ludźmi przybyłymi autokarem z Krzyżowic. W drzwiach czasem mijała się z Wysoczyńskim, który wpadał na te narady robocze, by upewnić się co do szczegółów kostiumów i kolejności ujęć. Część zebranych informacji przekazywał następnie wraz z zafiksowanym fragmentem scenopisu Krystynie, która bardzo sumiennie i z przejęciem pełniła dodatkowo funkcje sekretarki planu. Na ogół Robert już na nich czekał, bo z powodu dolegliwości wrzodowych wymykał się, z jadalni przed innymi, aby w spokoju zażyć lekarstwa. Ukrywał starannie swoją przypadłość, bo gdy pewnego razu Marta wpadła jako pierwsza, zmieszał się w sposób dla niego zupełnie niezwykły, wrzucił szybko flakonik z pastylkami do szuflady nocnego stolika i poprosił ją o dyskrecję.

Tego, wieczoru pokój był pusty. Anna i Vilsky, zajęci rozmową, prawdopodobnie nie spostrzegli, że gdy przechodzili obok recepcji, wezwanego rzekomo do telefonu reżysera nigdzie nie było widać, a słuchawka spokojnie spoczywała na widelkach. Marta poczuła lekki niepokój. Po raz pierwszy od przyjazdu tutaj wydarzyło się coś nietypowego, nie przewidzianego.

Leśniewski przyszedł po paru minutach.

– Co się stało? – wykrzyknęła na jego widok Anna. – Wyglądasz, jakbyś naprawdę upiora zobaczył!

Ale reżyser już się opanował. W końcu był również absolwentem szkoły aktorskiej, grywał we własnych filmach

epizody, a tym razem objął jedną z głównych ról, owego producenta horrorów, na którego szykuje zemstę stary wampir.

– Może i zobaczyłem – śmiejąc się przyglądał włosy, zawsze nieposłuszenie sterczące we wszystkich możliwych kierunkach. Z profilu istotnie mógł przypominać potargane pisklę sowy. – Nie wiem kto dzwonił, bo nikt się nie odezwał, więc wyszedłem na ganek sprawdzić pogodę. Niebo wygwieżdżone aż dzwoni, znów będzie bezchmurnie.

– Byle tak dalej, to może zdążymy. – Bursztynowiczowa dla pewności odpukała we framugę drzwi. Jak każdy kierownik produkcji nienawidziła chmur i dostawała drgawek na widok deszczu. Nawet w scenach apokaliptycznej ulewy zatrudniano motopompy. Prawdziwe opady wykluczają użycie drogiego sprzętu, przede wszystkim zaś reflektorów. Kropla wody i tysiącwatowa żarówka eksploduje jak granat. Same chmury niby nie przeszkadzają w dobie superczułej taśmy, ale rasowy fabularzysta wie, jak trudno wtedy o złudzenie trójwymiarowości, nasycenie kadru, walorami kolorystycznymi i nośną treściowo głębią ostrości.

– Spiczak nie mówił, kto pana wzywał? Może uszkodzenie na linii? – zapytała Marta wbrew danemu samej sobie solennemu przyrzeczeniu, by nie wdawać się w tego rodzaju przesłuchania. Wystarczająco została skarcona za wyciąganie na słówka Zmorskiego na lotnisku. Na szczęście

Leśniewski zdawał się nie zwracać uwagi na jej dociekliwość.

– Nie, nie mówił – odparł. – Przeszedł mi za plecami, nim zdążyłem go zagadnąć. Nic ważnego Zaczynamy, bo późno.

– No właśnie, co masz na jutro? – Anna przygotowała notes.

– Scenę w krypcie.

– Co za uparciuch! – Bursztynowiczowa pozwalała sobie na takie bezceremonialne traktowanie bądź co bądź gościa zza granicy, ale od dawna nie traktowała ludzi inaczej. Tak samo zwracała się do dyrektorów jak do zwykłego wózkowego i nie dobierała słów. – Słuchaj, Norbert – rzuciła się ku wchodzącemu – dobrze, że jesteś, może ty mu wytłumaczysz, żeby tę cholerną kryptę nakręcił sobie spokojnie w atelier.

– Papier-maché zamiast naturalnej, surowej cegły, omszałej, powleczonej pajęczyną pradziejów? – oburzył się półżartem scenograf, którego bawiło podbechtywanie zacierzwionej szefowej.

– Nie, no ludzie, trzymajcie mnie. Przecież to opadają ręce i spodnie – uniosła dłonie teatralnym gestem. – Jak ja tam wcisnę reflektory, co? Podobno chcecie mieć „noc amerykańską”?

– Aha – przytaknął nieuważnie Leśniewski zajęty werowaniem scenopisu.

– W piwnicy u Murzyna po czarnej kawie? W tej nocy dziesięć na dziesięć?

– Właśnie o to chodzi, Anno – drażnił ją plastik. –

Akuratnie to waćpani ujęła. I jeszcze sobie życzymy za oknem burzy na sto dwadzieścia cztery fajerki z elegancjami błyskawicami na piętnaście tysięcy wat.

– Pan Jurek obiecywał... Oh, he promised, on to zrobi – wtrącił łamaną polszczyzną James Vilsky.

– Tak, tak – uspokajał wzburzoną Anną reżyser – o to się nie martw, lepiej pomyśl, jak po tych zrujnowanych stopniach sprowadzić na dół sprzęt.

– Nie, no co za ludzie! Ja się zabiję – westchnęła dla fasonu, już pogodzona z losem. Od decyzji Leśniewskiego nie było odwołania.

Po jej wyjściu zaczęto omawiać kolejność ujęć. Od pierwszego posiedzenia w tym składzie utarło się, że reżyser mówi z pamięci, jak sobie wyobraża pracę i kąt widzenia kamery, a Marta trzymając na kolanach grubą księgę sprawdza to ze scenopisem. Propozycja takiego układu wyszła od samego Leśniewskiego, który w ten prosty sposób rozwiązał delikatny problem statusu Bednarzówny w ich ekipie. Oczywiście wymagało to doskonałej znajomości scenariusza, ale ten z kolei Marta znała na pamięć. W przypadku kontrowersji głos zabierał Vilsky. Zastrzeżenia Marty reżyser przyjmował na ogół dość potulnie, jakby z góry pogodzony z koniecznością pewnych kompromisów.

– Więc to ujęcie robimy w planie ogólnym – mówi teraz prędko, połykając głoski – rozumiecie, cała trumna

wraz z otoczeniem. Następne, to będzie...

– Dwieście pięćdziesiąt sześć – podrzuca Marta.

– Tak jest, dwieście pięćdziesiąt sześć Dziewczyna w takim samym planie i powolny najazd do planu amerykańskiego, dalej na zbliżeniu panorama po torsie do końca prawej ręki...

– Chwileczkę – zabiera głos Bednarzówna, tym razem jako przedstawicielka komisji scenariuszowej. – Mam pytanie..

– Tak?

– Jak będzie ubrana aktorka w tej scenie?

Obaj mężczyźni wymieniają rozbawione spojrzenia.

– Ja mówiłem – duka atleta. – To on sze uparł.

– Ma pani jakieś zastrzeżenia?

Wbite w jej źrenice spojrzenie reżysera jest tym razem bezczelne i ma przyprawić ją o rumieniec zażenowania.

– Ja nie mam żadnych – mówi spokojnie. – Tylko takie powolne panoramowanie statycznego aktu ze wszystkimi szczegółami byłoby na naszych ekranach pewnym novum O ile oczywiście nadal jest aktualny pana poprzedni zamiar równoczesnej prapremiery filmu na Zachodzie i w Warszawie i eksploatacji u nas w normalnym rozpowszechnianiu.

– Oczywiście, jak najbardziej to podtrzymuję, ale uważam, że najwyższy czas zacząć waszą.... ehm... to

znaczy naszą publiczność uczyć odróżniać artyzm aktu od płaskiej pornografii i w związku z tym...

– Momencik, proszę pana. Po pierwsze, to, co pan na ten temat uważa, to jest pana prywatna sprawa, a po drugie, publiczność mamy ciągle jeszcze różną. Jest coraz więcej znających się na rzeczy kinomanów, ale z drugiej strony chyba nie chciałby pan, żeby frekwencję robili widzowie zwabieni informacją, iż film jest dozwolony od lat osiemnastu i że są w nim pewne... momenty. Więc jak pan uważa...

– W porządku, jeśli pani tak strasznie zależy, przykryjemy Krysi brzuszek jakąś szmatką. Ale biust muszę mieć, niech mnie pani zrozumie! Dla niego została zaangażowana. Przecież zatwierdziliście scenariusz.

– No to wynegocjowaliśmy kompromis – śmieje się Marta, a reżyser i scenarzysta wtórują z ulgą.

Najtrudniejszy punkt sporny za nimi. Wbrew pozorom nie chodziło tu bynajmniej o epatowanie widza golizną. W końcu film miał być rozpowszechniany na Zachodzie, przesyconym już otępiającą nagością i agresywnym seksem o zabarwieniu „sadystycznym”.

Z takim trudem wynaleziona aparycja Krystyny miała pełnić w filmie ważną rolę dramaturgiczną. W połączeniu z dziecinnym pyszczkiem budziła w kolejno napotykanym przez bohaterkę mężczyznach nie tylko banalne żądze, lecz przede wszystkim wyzwalała ich podświadomość,

przyspieszała odkrywanie prawdziwego, starannie tajonego oblicza. Dlatego też przy eksponowaniu ich reakcji nie sposób było ani razu w całym filmie nie pokazać, co ich mianowicie tak wytręcało z równowagi.

Przy czym scenariuszowa postać była jak najdalsza od jakiegokolwiek zalotności. Za każdym razem na nowo zaskakiwana ludzką podłością musi iść dalej, przedzierać się przez bagna i skały, błądzić po lochach i korytarzach dziwnej budowli, ponieważ w jednym z jej licznych pomieszczeń ukryta jest t a j e m n i c a . Tę dziewczyna musi odkryć i zgłębić. Od jej dzielności zawisło bowiem dalsze istnienie dziwnego plemienia, które bohaterkę było zmuszone wysłać w zagadkową misję.

Wątek starego aktora – wampira był tylko jednym z wielu innych.

ROZDZIAŁ VII

Jeszcze tego wieczoru przed północą, zaniepokojony relacją Marty kapitan Pruszek zapukał do położonego obok kuchni hotelowej pokoiku kierownika zakładu. Były leśnik nie spał jeszcze, ale nie było w tym nic dziwnego. Na ogół siedział nad papierkową robotą długo w noc, w dzień zajęty tysiącem czynności. Na widok kapitana uniósł się zza stołu i stał ze spuszczoną głową.

– Poznaje mnie pan, panie Spiczak?

Tamten milczał ponuro.

– Czego pan chce ode mnie? – wykrztusił wreszcie. – Swoje odsiedziałem.

– Zostawmy przeszłość. – Kapitan z braku innego miejsca usiadł na zaścielonym tapczanie. – Nie tylko nie wracamy do niej, ale pomogliśmy panu zacząć nowe życie i na nowym miejscu, prawda?

– Tak. Ale ja przecież od tamtej pory...

– Myśli pan, że o tym nie wiemy? Jak też o tym, że jednak próbowano się z panem kontaktować?

– Wywaliłem na zbity pysk – wybuchnął Spiczak.

– Zgadza się.

– Więc co do mnie macie?

– Po pierwsze, jeśli pan o mnie komukolwiek słówko piśnie...

– Co pan, panie kap... panie doktorze, przecie już od wczoraj mogłem chlapać na prawo i na lewo i co? Wie ktoś?

– W porządku. Kto dzwonił do Leśniewskiego?

Leśnik zmieszał się i spuścił oczy. Swego czasu był sądzony za to, że dał się zwerbować do współpracy z doraźnie przerzuconym do kraju agentem obcego wywiadu i nawet usiłował zbierać informacje o poligonie doświadczalnym graniczącym z lasami, gdzie wówczas był zwykłym praktykantem leśnym. Został ujęty już podczas pierwszej próby przedostania się na teren poligonu. Ponieważ autentycznie żałował swojego postępku i zeznał szczerze o wszystkich okolicznościach przestępstwa,

wyrok otrzymał stosunkowo niewielki. Istotnie, jego zachowanie od wyjścia z miejsca odosobnienia nie budziło zastrzeżeń, ale na samo wspomnienie tamtych lat od razu stawał się małomówny.]

– Nikt nie dzwonił – mruknął po długim milczeniu.

– Słuchajcie no, Spiczak, albo się nie rozumiemy, albo chcecie, żebym to wszystko inaczej załatwił. Zależy wam na oficjalnym przesłuchaniu?

– Ale gdzie tam, panie!

– No więc?

– Kiedy naprawdę... Przyszedł jakiś w porze kolacji i mówi, żebym dyskretnie wywołał pana reżysera.

– Konkretnie, Spiczak. Kto, skąd, co dokładnie powiedział, jak wyglądał?

– Kiedy właśnie wyglądał bardzo, bardzo elegancko, poważnie, tak jakoś...

– Spiczak, zaczniecie wreszcie mówić po ludzku?

– Przecież mówię. To był starszy mężczyzna, tak po sześćdziesiątce, w ciemnym garniturze, pod krawatem. Nawet byłem zdziwiony, że jak na dansing.

– Co miał w ręku? Płaszcz, parasol?

– Nie, nic zupełnie. Chyba był wozem, bo jak pan Leśniewski wrócił...

– Jeszcze nie wyszedł i już wrócił? Po kolei, panie Spiczak. A więc wszedł ten człowiek... którydy?

– Normalnie, przez ganek. Ela mówiła potem, że czekał

tam dobre parę minut, aż przyjdę do hallu. Zaczepił ją, jak niosła tacę. Nawet prosiła, żeby wszedł, noce są chłodne, ale on grzecznie podziękował. Gdy otwierałem drzwi boksu, podszedł do mnie, powiedział kto i skąd...

– Pamięta pan?

– Owszem, bo jakoś tak wyraźnie podał nazwisko, nie jak zwykle ludzie mamrocą.

– Jakie?

– Takie śmieszne. Kustosz. Henryk Kustosz. Z Łodzi. I mówi: „Specjalnie przyjechałem, bo mam ważną sprawę do pana Leśniewskiego. Osobistą. Chodzi o jego ojca”. No to jak on do mnie w ten sposób, to dlaczego miałem nie wyświadczyć drobnej przysługi, nie? A coś nie tak? – dodał szybko, widząc minę kapitana.

– Jeżeli pan mówi prawdę, to w porządku. Ale na drugi raz niech pan obcych nie wpuszcza cichcem.

– Jakże to tak? To jest placówka PTTK-u, każdemu wolno wejść przez całą dobę, taki przepis. Zjeść coś, napić się, nawet jeśli miejsca noclegowe zajęte.

– Oczywiście. Ale takich gości, zwłaszcza do reżysera Leśniewskiego, będzie pan wpuszczał głośno, z wypytywaniem i przy świadkach. Żadnych dyskretnych zleceń, bo to może pana kosztować o wiele więcej niż to, co dają w łapę. Rozumiemy się?

– Tak jest.

– I w razie czego, jakby ktoś odmawiał odpowiedzi

albo kręcił, da mi pan znać i to jest jedyna rzecz, którą pan musi wykonać naprawdę dyskretnie. Sprawa jest poważna i osobiście bardzo mi na tym zależy, by nie nadawać jej żadnego rozgłosu. To na razie wszystko, czego od pana oczekuję. Jasne?

Rozpytana nazajutrz Ela, wielofunkcyjna kelnerka, pokojówka i pomoc do wszystkiego, potwierdziła rysopis nocnego gościa.

– To żaden dowód – stwierdziła trzeźwo Marta podczas porannego spaceru. Tym razem szli w górę do nie istniejącej bramy zamkowej. – Spiczak mógł ją poinstruować.

– Po co miałyby zmyślać? O wiele prościej byłoby zgłębić, że ktoś dzwonił i się rozłączył. Kierownik przecież nie wie, że nie podejmiemy do głównego świadka i nie poprosimy o potwierdzenie. Nie może wykluczyć konfrontacji.

Przystanęli pośrodku drogi, bo w resztkach murów zaroiło się od ekipy technicznej poganianej stentorowym altem Anny, a z ganku „Baszty” wychodzili już ucharakteryzowani aktorzy.

– No popatrz, co za piekielny pech! – zdążył jeszcze mruknąć kapitan Pruszek. – Nie dość, że mamy szukać igły w stogu wielkim jak Everest, to w dodatku jestem spalony. Jedno chlapnięcie Spiczaka i żegnaj, operacja.

– Może to i lepiej – Marta zniżyła głos do szeptu. – Specjalnie każ mu rozgadać, sprawca się wycofa.

Marian sprawdził wyraz jej twarzy. Po ściągniętych w

pewien szczególny sposób wargach nauczył się poznawać, kiedy jego towarzyszka usiłuje go „podpuszczać”. Ale tego ranka nie było mu do śmiechu.

– A jeżeli nie? – powiedział poważnie. – Rafał ostatnio...

Urwał, bo grupa z „Baszty” była już zbyt blisko. Na czele kroczył dostojnie Melvin Price, podszykowany przez charakteryzatorkę tak, że nawet w pełnym świetle słonecznego dnia budził lekki niepokój. Za nim dreptała Krystyna. Szła jak na ścięcie, potykając się na równej, choć gruntowej drodze. Na szczęście do średniowiecznych ruin nie prowadził asfaltowy podjazd dla wygody wycieczek. Dziewczyna mimo zapowiadającego znów upału owinięta była szczelnie w obszerny prochowiec, a jej powleczonej podkładem twarz zastygła w dziwny grymas. Sunący za nią długimi krokami scenograf od czasu do czasu usiłował ją zagadywać, może dodawać otuchy, a nie widząc żadnej reakcji znów puszczał ją przodem. Pochód zamykali Flip i Flap, czyli stąpający z godnością mastodonta Vilsky i uwiłający się wokół niego reżyser.

Pruszek przyjrzał się uważnie każdemu z osobna, a gdy małownicza grupa doszła do wyrwy w obwałowaniach, rzekł do milczącej Marty.

– Zwróciłaś uwagę na tę małą?

– Tak. Albo trema, albo...

– No?

– Nie wiem. Wyobrażam sobie, że tak wyglądają ludzie po zażyciu narkotyku, ale nigdy tego nie widziałam.

W każdym razie była zupełnie wyizolowana, nic do niej nie docierało.

Weszli na zamkowy dziedziniec. Wrażenie dawności psuł prychający spalinami agregat oraz rozstawione wokół zejścia do krypty reflektory i ekrany. Stanęli w bezpiecznej odległości.

– Na ile jesteś z nimi zaprzyjaźniona? – pytał kapitan.
– Od wczoraj nazbierało się już parę kwestii, a ja nie mogę się ujawnić.

– Trudno mówić o przyjaźni czy zażyłości – odparła Marta. – Nawet Anna jest miła, ale do czasu. Rozmowy na temat innych osób ucina z miejsca.

– W każdym razie próbuj. Nigdy nie wiadomo, co może okazać się ważne. Tobie łatwiej będzie wychwycić zmianę nastroju, jakiś fałsz, nietypowość.

– No, nie przesadzaj – bąknęła zażenowana. Nie jestem wykrywaczem kłamstw. Kiedy wrócisz?

– Pan nas opuszcza?

Za ich plecami wyrósł niespodziewanie operator Zdanecki. Jego kroki prawdopodobnie zagłuszył warczący agregat.

– Pan nie przy kamerze? – zaripostowała zaskoczona Marta.

– Muszę pojechać do Krzyżowic na pocztę – wyjaśnił Marian z uśmiechem. – Miał nadejść przekaz na poste restante.

– Szkoda – przeciągnął Zdanecki. – Myślałem, że dalej. Ja niestety nie mogę się stąd wyrwać nawet na godzinę.

– Ależ bardzo proszę – pochwycił Pruszek. – Chętnie pojedę choćby do Kielc, to przecież nie tak daleko. Coś panu przywieźć?

– No wiesz, Maniek! – Marta postanowiła wystąpić w roli typowej żony. – Do Kielc? Czemu nie od razu do Warszawy? Lepiej powiedz, że cię ciągnie do...

– Nie, nie, po co pan ma się fatygować. Przypomniałem sobie, że jedzie dziś do Łodzi mój asystent, przepraszam państwa najmocniej.

Operator odszedł, z trudem ukrywając niesmak. Kapitan zrobił oko do swej podwładnej.

– Gratuluję – szepnął – Nie ma dla ciebie czego w scenariuszu? – Kiwnął głową w stronę podnóża baszty.

– Nie wygłupiaj się – fuknęła dotknięta do żywego. Mogła być jak najlepszym pracownikiem, ale to nie przeszkadzało czuć się pokrzywdzoną przez naturę kobietą o wyglądzie, przynajmniej w jej mniemaniu, mocno nieciekawym: zwalista postura, włosy w mysim odcieniu, oczy wylbrzymione przez grube szkła.

Pożegnali się zdawkowo. Bednarzówna zacerpnęła powietrza, zła sama na siebie. To był jej słaby punkt. Obdarzona poczuciem humoru, w tej jednej sprawie nie umiała zdobyć się na niezbędny dystans. Nieco uspokojona rozejrzała się po horyzoncie. Na pogodne od kilku dni niebo zaczynała wypełzać niepokojąco czarna chmura. Martą szybkim krokiem ruszyła w kierunku krypty. Na szczęście nie musiała schodzić w dół i narażać się na uwagi

kogoś z ekipy, bo z jaskrawo oświetlonego otworu wychy-
nęła jak na zawołanie Anna Bursztynowicz. Zwykle dość
pogodna, tym razem była zgaszona i przybita.

– Popatrz na niebo! – powiedziała Marta.

Anna rozejrzała się po firmamencie zrazu niezbyt przy-
tomnie. Po chwili dotarła do niej zmiana w krajobrazie, a
może zwróciła uwagę na wirujący po dziedzińcu obłok
kurzu.

– *Ño* tak, tylko tego brakowało – rzekła ponuro i za-
wróciła do podziemi, nasilające się podmuchy przynosiły
już pierwsze krople. Ktoś wyłączył agregat. W zapadłej
raptem ciszy słychać było wyraźnie zdwajany echem pod-
niesiony głos Leśniewskiego. Poszczególnych słów nie
dało się rozróżnić, ale nie ulegało wątpliwości, że twórca
tym, razem stracił panowanie nad sobą. Jakby wypychani
kolejnymi porcjami wrzasków, w otworze zaczęli się uka-
zywać wszyscy dotychczas zajęci pracą na dole. Członko-
wie brygady technicznej przejawiali beztraskie rozbawie-
nie, ale artyści mieli miny jak szefowa i nosy na kwintę.
Najbardziej zmieszany był scenograf. Tylko z oblicza sta-
rego Anglika niewiele można było wyczytać.

Prawdopodobnie przyczyną awantury była eks-
striptizerka, bo wyszła na powierzchnię dosłownie zalana
łzami, które częściowo rozmyły szminki i mazidła. Reży-
ser widocznie już się wyparskał, a może uznał, że niezbyt
zręcznie postąpił, bo w milczeniu przebiegł do zachowa-
nych pomieszczeń zamkowych, gdzie pospiesznie przeno-
szono sprzęt i aparaturę.

Zaledwie ostatni jupiter ulokowano w bezpiecznym miejscu, gdy zaczęło padać. I to w denerwujący sposób, bo nie była to letnia gwałtowna, lecz krótkotrwała ulewa, „tłumiąca kurzawę”, jak mówi wieszcz, lecz złośliwa kapania, bezpożyteczna i jątrząca. Na dobrą sprawę ludzie mogli bez przeszkód wrócić do hotelu czy iść na spacer. Mimo to nikt chwilowo nie opuszczał nieprzytulnego wnętrza, wprawdzie „zadaszonego”, jak to określił brygadzi- sta, ale pozbawionego drzwi i okien. Zgromadzono się przy pustych otworach, jakby w oczekiwaniu na słońce, ale w gruncie rzeczy ciekawie popatrywano za wciąż szlochająca, opatuloną w swój płaszcz Krystynę, sprowadzaną w dół przez Bursztynowiczową. Tymczasem Leśniewski pociągnął scenografa w głąb, za grubą kolumnę. Marta starała się podejść jak najbliżej z drugiej strony.

– Co ci do głowy strzeliło? – syczał wciąż rozgniewa- ny reżyser. – Po tylu tygodniach nie umiałeś znaleźć niko- go innego, tylko jakąś zwariowaną histeryczkę?

– Przejdzie jej – bagatelizował scenograf. – Jeśli chce zagrać do końca, musi się wziąć w garść.

– Dobrze, tylko po co te hece? – ściszył głos Leśniew- ski. – Żeby mi tu taka... wyrzaskiwała, że od siedmiu lat nikt jej tknął?

Obaj rozmówcy widocznie musieli przejść za następną kolumnę, bo głosy stały się ledwo słyszalne. Marta dopie- ro teraz rozejrzała się dookoła. Napotkała utkwione w niej

czujne spojrzenie szefa oświetlaczy. Henke patrzył na nią uporczywie, jakby chciał coś przekazać, gdy jednak zachęciła go lekkim uśmiechem, szybko odwrócił wzrok i sięgnął po papierosy.

Powoli opuszczano pełne przeciągów komnaty. Marta szła za innymi. Z daleka dostrzegła znajomego trabanta. Marian czekał na nią w pokoju.

– Załatwione – powiedział. – Adam też ma głowę nie od parady.

Major chwilowo wcielił się w skromnego turystę, przemierzającego oznakowane szlaki Gór Świętokrzyskich w okolicy Krzyżowic, gdzie wynajmował pokój u emerytowanego kolejarza. Spotkania miały być pozorowane zamiłowaniem obu panów do, pieszych wędrówek. Poza tym kontaktowali się również w inny sposób. Tego dnia omawiali szczegóły techniczne działań podjętych na wypadek zdemaskowania sprawcy czy sprawców.

Zgodnie z poprzednimi ustaleniami zaczęto przekazywać do centrali regularne meldunki o rozwoju sytuacji. Marta miała teraz dodatkowe zadanie. Nie tylko musiała o każdej porze być zorientowana, gdzie przebywają i co w danej chwili robią poszczególni członkowie tej części ekipy, którą miała się „opiekować”, ale też powinna zadbać o stworzenie pewnych pozorów. Prawdopodobnych i przekonujących. Tak, by Marian mógł o ściśle określonych godzinach, dwa razy dziennie, nadawać sprawozdania za pomocą niewielkiej przenośnej radiostacji. Oczywiście te seanse łączności z natury rzeczy nie mogły trwać długo.

Wystarczyłoby, żeby ktoś wścibski raz tylko, choćby z daleka, zaobserwował poczynania nie mające nic wspólnego z nauką o grzybach, a kapitan wraz ze swą „małżonką” zostaliby zdekonspirowani.

Dlatego też na obu szosach, opasujących najbliższy zamkowym fortyfikacjom kompleks leśny, o stałych porach i w miejscach różnych, ale też z góry umówionych, przystawały na moment wielkie, podobne do setek innych, ciężarówki PKS. Ich kierowcy otrzymywali gdzieś na uboczu, z dala od niepowołanych oczu, obszernie meldunki, sporządzone przez Pruszaka lub Budziszka na piśmie bądź też częściej nagrane na minifon.

Łączność była więc wszechstronna, tyle tylko, że chwilowo nie dysponowano jeszcze konkretami.

– Cały paradoks polega na tym – kończył kapitan swoją relację – że na razie brak kandydatów. Odwrotnie niż w powieściach sensacyjnych: nikt nie jest podejrzany. Zebrałiśmy już sporo danych naszymi kanałami i nie tylko naszymi. Kogokolwiek bierzemy pod lupę, czysty jak łezka... No a co się tutaj działo? Przerwa w zdjęciach?

– Przerwa, ale nie tylko z powodu deszczu. – Pokrótce zrelacjonowała przebieg wydarzeń i zapamiętane rozmowy.

– No tak, wobec tego jeszcze jedna osoba zaczyna nam odpadać – podsumował kapitan.

– Kto? Wysoczyński?

– Dlaczego akurat on ci przyszedł do głowy? – spojrzał

na nią badawczo. – Czyżbyś ty też...

– Co też? No? Jakie też? – natarła groźnie.

– Też była... powiedzmy, nieco zaangażowana emocjonalnie? Chyba to nic złego?

– Wypraszam sobie – rzuciła odruchowo, już zajęta inną myślą. – Dlaczego powiedziałaś „też”?

– No chyba to jasne. Gdyby był tej małej absolutnie obojętny, przylałaby mu, owszem, może nawet mocniej, ale zapomniałaby do rana. A musiała to mocno przeżyć, skoro...

– Tylko co, u diabła? O ile istotnie nie próbował jej zgwałcić...

– Żoneczko, cóż za słownik – zażartował Pruszek. – Nie sądzę, bo wtedy z punktu postawiłaby cały hotel na nogi. O której to mogło być?

– Chyba koło wpół do jedenastej, widziałam, jak od niej wychodził.

– No właśnie, a nic nie słyszałaś. Ale to by mi do niej pasowało.

– Może szanowny znawca niewieściej psychiki zechce wyrażać się jaśniej? – nie pozostawała dłużna.

– To proste. Podsumuj, co o niej wiemy. Prawdopodobnie miała jakąś przykrą przygodę w młodym wieku. Stąd ta mowa o siedmiu latach. Pozostał uraz. Niechęć do mężczyzn, do spraw płci. W każdym razie jest infantylna, ma mentalność zahukanej dziewczyny z małej osady. Podejrzewam, że byłaby zdolna zadać cios w afekcie, może

nawet zbyt mocno. Ale zgodzić się na udział w historii podejrzaney nawet dla takiej naiwnej gąski jak ona, lecz w dodatku trzymać to w tajemnicy, potem uderzyć tak skryjcie, by pozostać w cieniu... Nie, to nie ona.

– Motywy by się znalazły – podsunęła Marta.

– Tak, ja też o tym myślałem. Żądza kariery, może sławy. Zrób nam drobną przysługę, a pojedziesz do Hollywoodu.

– Prawda? Nie sądzisz, że ktoś z zewnątrz mógłby tak ją kusić?

– Otóż wyobraź sobie, że już odparła taką pokusę. Parę miesięcy temu jakiś Szwed proponował jej występy w nocnych klubach, angaż do telewizji, wtykał jej do ręki harmonię pieniędzy i nic. Nawet słowa z nim nie zamieniła.

ROZDZIAŁ VII

Tej nocy Marta, zgodnie z daną sobie uprzednio obietnicą, wcale się nie położyła spać. Naparzyła mocnej neski i zaczęła czytać świeżo przywiezioną przez Prusaka książkę. Ocknęła się z czołem na stole i zdrętwiałym karkiem. W popłochu zerknęła na zegarek. Na szczęście nie spała nawet godziny. Spojrzała na pochrapującego Mariana. Jak to on powiedział? Element notowany w kartotekach? Wczasowiczów nie sposób było sprawdzić w tak krótkim terminie, ludność osiadła już prędzej, ale to też wymagało czasu. Było paru notowanych, lecz za wykroczenia

raczej drobne. Jakieś burdy po pijanemu, spory o miedzę, bójki na weselach. Nic specjalnego. Gdyby reżyser siedział na miejscu, sprawa byłaby prosta. Anna potrafiła uchronić plan od inwazji ciekawskich, których nawet tu, w lesie, nie brakowało. Trudno, żeby wieść o tym, że tu film kręcą, nie rozniosła się po okolicy. Ale turyści, dzieciarnia z kolonii czy miejscowi tkwili posłusznie z daleka, poza linią wyznaczoną przez Annę. Na teren zamku nikt z zewnątrz nie miał prawa wstępu.

Swoją drogą ciekawe, gdzie Robert tak się wymyka po rannej rosie. I ani słówka nikomu. Mało się cały dzień nabiega, ma jeszcze siły na spacer? A może, wbrew pozorom, nie chodzi daleko? Może chce pobyć po prostu chwilę sam?

Senność odleciała. Zaostrzona ciekawość nie pozwalała już zasnąć. Wyszła cicho na korytarz, żeby przemyć twarz w łazience. Po powrocie do pokoju rozwarła szeroko połówki okna i zaczerpnęła czystego niemal mroźnego powietrza. Noce tego lata były bez wyjątku chłodne. Niebo na wschodzie poróżowiło z lekka. Jeszcze godzina i wszędzie słońce. Czy tak jak wczoraj znów po pogodnym ranku nadciągną ciężkie chmury?

Nagle usłyszała niezbyt głośne kroki. Wychyliła się przez okno i ledwo zdążyła zobaczyć skręcającą za węgiel charakterystyczną sylwetkę. Ostrożnie zbiegła po schodach. Zanim znalazła się na podjeździe przed budynkiem, reżyser już zniknął między pierwszymi drzewami. Na szczęście znała tutejsze ścieżki. Ta, w którą wszedł,

musiała go wyprowadzić na porębę. Innej drogi nie było. Tylko że do poręby godzina marszu. Nie, lepiej nie ryzykować. Trzeba iść za nim, trop w trop. A nuż skręci na jakąś polankę lub zacznie iść na przełaj.

Rozgarniając mokre od deszczu gałęzie posuwała się po miękkim podłożu w miarę cicho. Leśniewskiego nigdzie nie było widać. Tak doszła do „katedry” prześwieczonej ukośnie padającymi promieniami słońca, które mimo wczesnej pory już zaczęło grzać. Nie zwracając uwagi na otaczającą ją przyrodę zmierzała najkrótszą drogą w stronę poręby. Gdy wreszcie zdyszana przystanęła na jej skraju, zobaczyła w oddali tropioną postać. Błogosławiła się teraz za pomysł wzięcia lornetki od Mariana. Śpi sobie snem sprawiedliwego, myślała, a ja tymczasem... Spojrzała przez szkła. Reżyser był już przy przeciwległej pierzei lasu. Nachylał się nad czymś, co leżało wśród wysokich traw, nieopodał przygotowanych do zwózki okorowanych pni jodłowych.

To coś było płowoszare i nie wyglądało na człowieka. Bo i nim nie było. Wielki twórca miewał czasem zupełnie prywatne, wstydliwie ukrywane przed otoczeniem ciągoty. Dlatego wymykał się tak rano i sam. Uzbrojony w malutką amatorską kamerę uwieczniał to, co lubił mieć w swoim osobistym archiwum: perłoworóżowy wschód słońca, białe chmurki na intensywnie niebieskim niebie, sarenkę u wodopoju... Wodopoju nie odkrył, ale sarenka była. Delikatna, płochliwa, o ślicznie wygiętej szyi. Nie dawała się

podejść, a teleobiektywę nie chciał używać. Polował na zbliżenie. Upatrzył odpowiednie miejsce za porębą, koło starej, rozsypującej się „ambony” myśliwskiej. A teraz płowa piękność leżała martwa. Musiała się długo męczyć, trawa pognieciona, jeżyny połamane. Wnyki były silniejsze. Schował kamerę do futerału i rozejrzał się za sposobnymi gałęziami, którymi chciał przykryć padlinę.

Uratował go przypadek.

Sięgał po ściętą jedlinę i na sekundę skrył się za sągiem. Najpierw zagrzecotało po pniach, potem usłyszał huk. Znieruchomiał.

Marta dostrzegła napastnika. Właściwie zarys postaci pomiędzy gęstwina, błysk słońca na lufie. Nie myśląc o sobie, biegła ciężkim truchtem na miejsce zajścia. Widocznie tym spłoszyła strzelca, bo nie ryzykował po raz drugi. Tylko trzask uschłych gałęzi świadczył o jego ucieczce.

– Nic się panu nie stało? – wydyszała dobrnąwszy do sągu.

Leśniewski uniósł na nią zdumione spojrzenie.

– Co pani tu robi? O tej porze?

– Ale...

– Nie, jestem zdrow i cały – próbował bagatelizować.

– Chciałam... to znaczy zobaczyłam, że pan idzie do lasu i pomyślałam... – jąkała beładnie. – Jednym słowem, w związku z dzisiejszym dniem zdjęciowym przyszło mi do głowy...

– A to – wskazał na lornetkę – miało pani pomóc w pracy?

Ironia była łatwo wyczuwalna. Marta czuła, jak pod kpiącym wejrzeniem małego reżysera płoną jej policzki.

– Nie, to tak, przy okazji. Może wrócimy do hotelu?

Nim dotarli na miejsce, minęła dalsza godzina. Łóżko Mariana było puste, porządnie zasłane. Na stole kartka „siedź na miejscu, zaraz wrócę”. Czując, że pokpiła sprawę, siedziała bez ruchu na zmiętej pościeli. Nawet nie zeszła na śniadanie, choć wszędobylska Anna wypukiwała ją z korytarza.

Dopiero gdy Pruszek wszedł, kompletnie ubrany, ze śladami rosy i igliwia na butach., zaczęła powoli się domyślać.

– Poszedłeś za mną – mruknęła.

– Musiałem. To nie zabawa w chowanego. I tak ludzie Adama, którzy obserwowali porębę, spóźnili się z interwencją.

– Kto to był? Kto strzelał?

– Już go mamy. Daleko nie uciekł. Zresztą i ty się na coś przydałaś. Polowałby aż do skutku.

– Na „Sowę”? Tak go pilnujecie?

– Nie „wy”, tylko my – powiedział z przekonaniem tak szczerym, że nie miała siły przypominać mu jego poprzednich odzywek na ten temat. – Poza tym to czysty przypadek. Facet skłusował sarnę i szedł jak po swoje, obrzynek miał pod kapotą. Nie możemy zatrzymywać każdego, kto przechodzi lasem. Kamera w rękach Leśniewskiego wzbudziła nieufność kłusownika. Wygarnął z obu luf, chcąc zlikwidować świadka. Świadoma próba morderstwa, co nie ulega wątpliwości, ale na razie nie

nadajemy sprawie urzędowego biegu. Ekipa Budzisz ma go już na oku, wie, kim jest, gdzie mieszka i co robi. W odpowiednim czasie zajmą się tym facetem. Wniosek płynie stąd jeden: musimy być ostrożniejsi.

– Jak sobie to wyobrażasz? Otoczyć cały teren kordone-
nem?

– Nie. Po prostu ani na chwilę nie możemy spuszczać z oka naszego „obiekta”. Będziemy pełnić dyżury na zmianę. Oczywiście w rozsądnych proporcjach, nie jesteśmy tu tylko we dwójkę, jak widzisz. Zresztą – kapitan Pruszek wyjrzał przez okno – znowu się chmurzy. Podczas takiej pogody mamy ułatwioną robotę.

Pokapujący deszczyk przerodził się w typową trzydniówkę. Goście hotelu „Pod Basztą” snuli się po budynku z ponurymi minami. Wieczory były puste i ciche. W ciemnym pokoju Marty trwała cicha rozmowa.

– Żeby tak chciało padać do końca – mruknął głos męski. – Siedzą na miejscu.

– Co Rafał miał za rewelacje? – Marta nie mogła się doczekać zapowiedzianych wieści, które jej towarzysz przywiózł z kolejnego, spotkania z wysłannikami Centrali.

– Wyobraź sobie, że Leśniewski prawdopodobnie jeszcze przez następnych piętnaście lat nie pomyślałby o kontakcie z krajem. Ktoś go zaczął gorąco do tego namawiać.

– Kto?

– Zgadnij.

– Znam go? Jest tutaj? Mężczyzna? – strzelała jak w grze w „20 pytań”, otrzymując kolejne potwierdzenia. – Osobiście namawiał? To znaczy na miejscu, w San Francisco. Tak? No to albo Vilsky... Trafiłam?

– Kulą w płot. Może czasem wspomniał, że warto by odwiedzić stary kraj, jak każdy Polonus. Ale żeby gorąco namawiał? Wręcz nalegał? What for, czyli po jakiego grzyba, jak mawiał pewien mykolog.

Marta należycie doceniła poczucie humoru swego szefa, ale powstrzymała się od śmiechu. Po co ktokolwiek ma wiedzieć, że jeszcze nie śpią?

– Zostaje tylko brodacz – powiedziała półgłosem.

Na korytarzu coś się poruszyło, Marian ostrożnie podszedł do drzwi. Ktoś stojący po przeciwnej stronie ujął za klamkę.

– Kto tam? – zapytał Pruszek.

– To ja... – tchnęło ledwo słyszalnie.

– Zapal światło – polecił Marcie kapitan. – Co się stało? – zapytał wchodzącego Spiczaka.

– Telefon do pana.

Gdy Pruszek wrócił po paru minutach, siedząca na łóżku Marta uniosła oczy w niemym pytaniu.

– Ostre pogotowie – szepnął. – Musimy spać na zmianę. Kładź się pierwsza, już późno.

– Nie wiesz, o co chodzi?

– Jeszcze nie. Z samego rana kontakt przez Adama. Pomyśl tymczasem, co powiesz, gdy ktoś cię zagadnie, gdzie to mąż zniknął o świcie.

ROZDZIAŁ VIII

Ciemna wysoka postać szła tuż przed nią. Chwilami ginęła z oczu. Wystarczyło wtedy podbiec kilka kroków, by znów dostrzec zarys sylwetki w perspektywie kolejnego korytarza. Tylko jakim cudem cokolwiek widać, podziemia zamku nie mają oświetlenia. Może w przodzie jest jakieś silne światło. Chyba tak, bo sunący przed nią cień był coraz wyraźniejszy. To... tak, to człowiek w obszernej czarnej pelerynie. Porusza się tak bezszelestnie, jakby był zjawą. Teraz idzie o wiele wolniej. Przystaje. Powoli rozpościera ramiona, a spływająca z nich szata czyni go podobnym do olbrzymiego nietoperza. W głębi widać jakieś pomieszczenie, zupełnie puste, o nagich ścianach i niewielkim zakratowanym okienku. Na kamiennej posadzce leży drobny niepozorny człowieczek. Głowę ma nienaturalnie skręconą i odgiętą do tyłu, a w obnażonej szyi widać dwa krwawe ślady. Postać w pelerynie nachyla się, upiornie błada twarz jest tuż przy obliczu leżącego. Jeszcze chwila i...

Nie, nie można zwlekać. Szybko, do tyłu, do pierwszego zakrętu. Dalej, korytarzem. Ale co to? Zamiast korytarza ślepy mur. Dołem ciągnie piwniczne tchnienie. Jest jakiś otwór. Z ledwością może tam wpełznąć, ostre kamienie drą ubranie, kaleczą skórę. Brak tchu. Pot zalewa oczy. To nie pot, lecz zimne oślizgłe błoto. Podchodzi coraz wyżej, wlewa się do gardła...

Marta budzi się przerażona. Serce bije mocno. W pokoju jest już jasno, sąsiednie łóżko puste.

Słyszc szum deszczu. Która godzina? Trzeba zejść do jadalni.

Powoli gromadzą się w niej wszyscy. Jest nawet Krystyna, która po ostatniej scysji przez okrągłą dobę nie opuszczała swego pokoju. Nie ma tylko reżysera.

– Zagładałeś do niego? – pyta scenografa Anna Bursztynowicz.

Wysoczyński śmieje się z przymusem.

– Dlaczego ja? Azali jestem stróżem brata mego? – próbuje starego dowcipu, kory grzęźnie bez echa w zakisłej atmosferze. – W ogóle na co ci on, spójrz, jaka chlapa.

– Mnie? Mnie na nic – mówi Anna jakby sama zdziwiona poprzednim pytaniem. Mimo to wszyscy odczuwają brak człowieka, który w ten ponury czas jako jedyny z nich wprowadzał wigor i ożywienie. Zebrani wymieniają nieco zaniepokojone spojrzenia. Dopiero teraz uświadamiają sobie, że odkąd tu są, jeszcze się nie zdarzyło, aby Leśniewski nie witał ich w pustej sali jako pierwszy stolownik. Wstawał tak wcześnie, że budziło to lekką zawiść Marty, której zawsze było mało snu. Czy ma teraz wstać i pójść do pokoju reżysera? Nikt inny, tylko ona? Jako kto? A jeżeli wbrew zapewnieniom Mariana coś się wydarzyło? Że też akurat go nie ma... I ten dziwny sen, tak wyraźny, aż namacalny. Na szczęście nie musi działać. W tym towarzystwie najbliższy nieobecnemu jest Krystian Sawnor. On też unosi się zza stołu. Mijają, minuty obojętne dla innych, pełne napięcia dla Marty. Wreszcie w hallu słyszc

jakieś głosy. W drzwiach staje muzyk, za nim wsuwa głowę kierownik hotelu.

– Nie ma go – informuje brodac.

– Jak to?

– Niemożliwe!

– Co się stało?

Kierownik kręci się za kolejnymi pytaniami, wreszcie napotyka spojrzenie kobiety mieszkającej w jednym pokoju z kapitanem. Podchodzi bliżej.

– Widział pan go dzisiaj? – słyszy jej głos.

– Nie. Naprawdę nie, pani... – nie wie, jak dokończyć – pani doktorowo – dodaje niezręcznie.

– A w ogóle kto Roberta widział ostatni? – Bursztynowiczowa przejmuje pierwsze skrzypce, jak zawsze w ich gromadce w momentach odbiegających od powszedniej rutyny. Wysłuchuje różnych wyjaśnień, wreszcie wyciąga palec w kierunku Sawнора.

– Wynika z tego, że ja – przyznaje muzyk. – Robota nie goni, zagadaliśmy się trochę.

Rozczesuje palcami gęstą brodę, w której migocą nieznaczne srebrne nitki. Raptem jak człowiek tknięty nową myślą, uderza dłonią w czoło i przemierzając wzdłuż całej sali podchodzi do uchylonego okna. Kiwa głową, w niektórych z licznych kieszeni swojej kurtki wsuwa dłonie, po innych tylko uderza sprawdzające – Chyba niepotrzebnie się martwimy – mówi głośno. – Po prostu wziął mój wóz i gdzieś wyskoczył. – Przeciskając się między stolikami – wraca pod drzwi. – Jeszcze sprawdzę z drugiej strony

budynku – dodaje.

Jednak beżowy volkswagen „garbus” rzeczywiście zniknął. I to chwilowo wszystko, co wiadomo na pewno.

– Chyba nie sądzisz, że go porwano – docieka Marta w godzinę później. Idą z Pruszkami zwykłą spacerową trasą do poręby.

– Na razie nic nie sądzę – odpowiada kapitan. – Ale jeśli skojarzymy to z nocną wizytą starszego pana... Zresztą tak jak przypuszczałem, nazwisko podał zmyślone. Nie tylko w Łodzi, ale w całej Polsce nie istnieje żaden Henryk Kustosz.

– Rysopis nic nie dał? – wrywa się Marta, speszona po niewczasie.

– Po pierwsze, to dopiero trzy dni a po drugie, szczupłych, dystygowanych sześćdziesięciolatków jest więcej niż ci się wydaje. A teraz przejdź się trochę, zobacz, czy nikt nas nie obserwuje, za tymi grubymi drzewami łatwo znaleźć schronienie.

Bednarzówna posłusznie zatacza krąg depcząc po mokrym igliwiu. Widzi, jak jej towarzysz rozciąga antenę małej radiostacji, szybko wywołuje odbiorcę, rzuca kilka zdań, wysłuchuje odzewu.

– Dobrze zapamiętałaś numer rejestracyjny tego volkswagena? – upewnia się w drodze powrotnej.

– Przecież sobie zapisałam wszystkie tu parkujące. A dlaczego pytasz?

– Jeśli to ten, to stoi sobie spokojnie nie opodal stacji

kolejowej w Zagnańsku. A pociągów od rana do tej pory było już kilka, w różnych kierunkach.

– Widział go ktoś?

– Owszem, zwrotniczy. Leśniewski podobno przyjechał sam. Kolejarz był zdziwiony, że facet zostawia wóz na łasce losu, w pewnej odległości od budynku stacyjnego. Dlatego zapamiętał. Ale tu ślad się urywa:

– Jak to?

– Po prostu. Biletu nie kupował. Kasjerka go nie widziała. Prawdopodobnie wyszedł na peron. Ale którym pociągiem odjechał i czy w ogóle wsiadł? Byłem tam niedawno. Można przejść przez tory i wyjść z drugiej strony na ulicę. Tak wcześniej i przy tej pogodzie mogło być puisto dookoła. Dziś jest środa, nie ma targu.

Gdy wynurzyli się z lasu, Marian przystanął na skraju niewielkiej łąki, jakby pragnąc odwlec moment ponownego zetknięcia się z mieszkańcami hotelu „Pod Basztą”. Obejrzał się na zasapaną Martę, która z trudnością nadążała za długimi krokami zwierzchnika.

– A więc wszystko w porządku – wydyszała. – Był sam, nikt wobec niego nie stosował przemocy. Zobaczysz, że niedługo wróci.

– Oby – mruknął Pruszek. – Jeżeli jeszcze żyje. Ale chyba wiesz, co się stanie w przeciwnym razie.

Szli w niewesołym milczeniu. Ścieżka przez łąkę była ledwo widoczna i wąska, a trawa po czerwcowych sianokosach mocno znów wybujała i ociekała wodą. Chcąc

nie chcąc kapitan puściwszy kobietę kurtuazyjnie przodem musiał zwolnić tempo marszu.

– Jeszcze jedno – odezwał się po chwili. – Mam tę informację, o którą prosiłaś. – Widocznie rzecz była ważna, bo Marta przystanąła i odwróciwszy się uniosła twarz obramowaną kapturem skafandra. – Nie mamy stuprocentowej pewności, ale wszystko wskazuje na to – kontynuował – że Leśniewski nikomu przedtem nie wspominał o zamiarze „wypożyczenia” tej ekipy. Po raz pierwszy wyjechał z tym wtedy, przy tobie. Bartel podobno jest wkurzony do ostateczności. Właśnie mu pasuje deszczowa pogoda. Specjalnie w tym celu przerwał pobyt za granicą. Wczoraj wrócił. Zagrodzki go z trudem ubłagał, żeby tu nie przyjeżdżał i nie robił awantury.

– No to jesteśmy w domu – aż klasnęła w dłonie.

– Uważaj, bo znów się zagalopujesz – hamował ją Pruszek.

– No, dobrze – ochłonęła po krótkim namyśle. – Nauka nie idzie w las. Jednak wydaje mi się, że z osób przeze mnie obserwowanych tylko jedna wiedziała o wiele wcześniej o tym, że weźmie udział w tej imprezie. Oczywiście oprócz Price'a i Vilsky'ego, ale tych niemal wykluczaliśmy.

– To raczej ty ich wciągnęłaś na swoją listę – przypomniał kapitan.

– A ty Krystynę – odparowała.

– Poza tym zostaje jeszcze Sawnor = uzupełnił. – Jest na tyle niezyciowy i zajęty wyłącznie muzyką, że sam nie

mógł wpaść na taki pomysł, by nakłaniać przyjaciela do powrotu. Ktoś go musiał nieźle nakręcić i puścić w ruch. Zauważyłem, że dość łatwo przejmuję cudze poglądy i po kwadransie uważa je za swoje.

Zza zasłony mgły i deszczu wychynęły kształty znajomego budynku. Widząc, że młodsza koleżanka idzie przyciszona, oficer dodał niemal już u wejścia na ganek:

– Ale ogólnie biorąc masz rację. Ten, kogo wytypowałeś, zaczyna wysuwać się na pierwszy plan. On miał aż nadto czasu, żeby się przygotować. Co najmniej pół roku...

Korzystając z okazji, że scenarzystą, z którym dzielił pokój, jeszcze nie wrócił, szybko wrzucił do ust dwie żółte pastylki i popił wodą ze szklanki. Wsunął się pod koc nie gasząc światła. Ostatnio nie umiał inaczej zasypiać.

Ruina, strzęp człowieka. Ma za swoje. Ale czy mógł się nie zgodzić? Jak konający przebiegł myślami całe swoje życie. Bo wiodło konsekwentnie do dnia dzisiejszego, gdy drży z lęku i ma wszystkiego dosyć. Załączki tkwiły już w atmosferze domu rodzinnego. Ojciec... Zawsze daleki i groźny. Chętnie sięgający po solidny rzemienny pas. Przedwojenny. To było słowo – mit. Najczęściej słyszane, gdy stojąc obowiązkowo na baczność musiał przyjmować w milczeniu wielogodzinne pouczenia. „Za moich czasów”. „Gdyby nie wojna”.

Gdyby nie wojna, świat nie stanąłby na głowie. Każdy byłby na swoim miejscu. Rozwielmożniło się chamstwo, powtarzał ojciec. Przynosił do domu nędzne grosze. Matce nie pozwalał pracować. W domu się nie przelewało do tego stopnia, że Marek zazdrościł kolegom bułki z szynką, której sam prawie nie oglądał na oczy aż do matury. Obwarowany jak zasiekami mnóstwem zakazów, najchętniej zaszywał się w kącie i stosami pochłaniał książki, jakie tylko w ręce wpadły, bo to była jedyna dozwolona rozrywka. Ze szkoły prosto do domu. Koledzy? No wiesz, synku, gdyby znalazł się ktoś na poziomie...

Na poziomie. Kulturalne towarzystwo. Teoria. W praktyce nikt nie był godzien. Przez długie lata. Dopiero w gimnazjum. Posadzono Marka Byrdę w jednej ławce z Olkiem Ebnerem. Szybko znaleźli wspólny język, obaj po tych samych lekturach i fascynacjach. Olek nie mógł zrozumieć, że po lekcjach muszą się rozstawać. Marek nie może do niego przyjść? Dlaczego? Odpowiadało mu towarzystwo nieśmiałego nieboraka o dziecinnej buzi, a że do tej pory zawsze miał wszystko, czegokolwiek zapragnął, postawił na swoim. Wysłał z poselstwem swojego ojca. Stary Ebner był nie tylko wziętym adwokatem, ale i uroczym causerem i gawędziarzem. Szybko wymacał słaby punkt Byrdy seniora. Po paru minutach rozmowy obaj panowie zaczęli się prześcigać we wspominkach, jak to, panie, drzewiej bywało. Odkryli nawet wspólnych znajomych. Co za kulturalny człowiek, mówił ojciec po wyjściu

gościa. Oczywiście, możesz chodzić do Olka, chociaż... Przed wojną taki pan ręki nie chciałby mi podać, musiałbym u niego grzecznie czekać w przedpokoju, ale teraz, w dzisiejszych czasach, nawet i on uznał, że trzeba zmienić front.

Zaczęto się od zachwyty. Naprzód budziły podziw sprzęty. Mechaniczne zabawki, made in Japan, Hong-Kong, West Germany. Potem była era fonografii. Olek jako jeden z pierwszych już nie w szkole, ale chyba w całej dzielnicy, miał hi-fi zestaw stereo Philipsa. Dostał toto na siedemnaste urodziny. Tak właśnie mówił: toto, ta kupa śrubek i sprężynek. Bo on był już na innym etapie. Są przecież sprawy ważniejsze niż jakieś tam rzeczy. Należy umysłem szybować wzwyż, oderwać się od przyziemnej krzątanimy, dobrej dla prostaków, dowodził Ebner junior w upalny dzień, gdy z rozległego placu za oknem dochodził gwar milenijnej defilady.

Marek wracał do domu półprzytomny. Tam był inny świat. Z odrazą patrzył na odrapane meble, na kapiący kran nad przerdzewiałym zlewem. Matka nachylona wiecznie nad balią, siostry handryczące się nad wyplamionymi zeszytami. Jakie to płaskie, szare, bez polotu.

Gorączka maturalnych dni zbiegła się z wybuchem wojny na Bliskim Wschodzie. Olek po raz pierwszy przyjął go błady, dramatycznym gestem wskazywał nastawione radio. Walki na Synaju, bomby lecą na Tel-Awiv! Marka niewiele to obeszło. Coś niecoś dotarło do niego; kto sprowokował konflikt. Ważniejsze były nadchodzące

egzaminy. Jakoś przez nie przebrnął. I znowu byli razem. Na filozofii. Już we trójkę, odkąd przyjęli do swojej paczki ciemnooką Bibi Derfel. Chodzili na zebrania dyskusyjne lub prywatki tym różniące się od naturalnych, że nie gaszono na nich światła w wiadomych celach, natomiast, gadano aż do ochrypnięcia.

Marek początkowo trzymał się na uboczu. Bibi, czyli Bibianna, bo takie imię wyszperała jej matka, docent specjalista od epoki Żmichowskiej i entuzjastek, usiłowała go zachęcać, ale po chwili rezygnowała, wciągnięta w kolejną wymianę zdań. Czuł się wtedy mały i znikomy, nikomu niepotrzebny, śmieszny, wręcz prostacki. A to była ich największa obelga, powiedzieć komuś, że jest ograniczony, po prostu ciemniak. Potem wracali wyludnionymi ulicami i wtedy Marek ożywał, donośnie perorując przytaczał argumenty, których nie wyjawiał wobec liczniejszego gremium.

Kiedyś Ebner był chory, szli we dwoje. Odprowadził ją pod dom. Mieszkała w eleganckiej, tuż – przedwojennej kamienicy przy cichej ulicy Bartoszewicza. Zaprosiła go na górę. Rozległy metraż onieśmielił go, w dodatku w tych wszystkich pokojach byli zupełnie sami. Starzy za granicą, wyjaśniła, a służąca ma wychodne. Bibi była tolerancyjna. Nie wyśmiała go. Przeciwnie, ładnie uogólniła jego przypadek, osłodziła gorycz kompromitacji. Wzruszyło ją, że to właśnie ona była jego pierwszą dziewczyną. Potem jeszcze kilkakrotnie dawała mu okazję do rehabilitacji. Bez rezultatu. Więc dali spokój poufałościom, zwłaszcza

że łączyło ich tyle innych spraw. Tak dużo przecież było w tym kraju do zrobienia. Znów rozprawiali, co by tu zmienić, na lepsze oczywiście. I znów chodzili wszędzie we trójkę. I tak doszli aż pod pomnik wieszczki w lutowy wieczór.

Później usiłował zrozumieć, jak to się właściwie stało. Poczucie krzywdy powoli ustępowało. Krzywdy podwójnej, bo został sam z całej trójki. Bibi przysłała jedną kolorową pocztówkę z widokiem morskiej zatoki koło Jaffy, serdeczny druh Ebner nie odezwał się już nigdy. Z tej młodzieńczej przygody Marek wysnuł wniosek podsunęty mu zresztą przez ojca: jak najdalej od wszelkiego politykowania. W moich czasach też kilku znajomych skrzyłło na tym kark, przypominał z przewrotną satysfakcją. Więc po co ryzykować? Oczywiście nie ma mowy o powrocie na uniwersytet. Dobrze, że się upiekło i skończyło tylko urlopem dziekańskim. Co dalej?

Rzucił ten pomysł dla kawału. Istotnie, ojciec płakał ze śmiechu. I może ten ironiczny śmiech spowodował, że Marek zawziął się. Postanowił udowodnić, że ma rację, że upór zostanie nagrodzony. Wygimnastykowany w pamiętnych dyskusjach umysł chłonał zaciekle teorię dramatu, historię teatru, treść klasyki światowej. I coś z tej zaciekłości i uporu musiało się widocznie udzielić wysokiej komisji, bo ku własnemu zaskoczeniu zdał i został przyjęty. Minał semestr jeden i drugi, a student wydziału aktorskiego PWST Marek Byrda wprawdzie niczym szczególnym nie błyszczał, ale jakoś nie odpadał. Tak bardzo się wtopił

w tło i tak dalece przestano go od tła odróżniać, że w popisie dyplomowym dostał rolę najmniejszą z możliwych, a o mały włos w ogóle by o nim zapomniano przy ustalaniu obsady.

Taki absolwent na ogół nie ma wyboru. Z trudem uzyskuje engagement na zapadłej prowincji, latami tłukąc ogony i czekając, aż podeszły wiek pozwoli grać niewielkie role charakterystyczne. Ale Byrda nie mógł jechać na prowincję. Ojciec w przedśmiertnej erupcji energii postanowił, „nim zamknie oczy”, uchronić syna od mezaliansu. Oczywiście to słowo nie padło. Masz sobie wybrać pannienkę z dobrego gniazda, mówił starszy pan. Ponieważ Marek jakoś nie przejawiał ornitologicznych zamiłowań, postanowiono mu ułatwić wybór. Zaczęto mówić o konkretnej kandydatce. To taka miła, spokojna istota. Z zasadami. Trochę starsza od ciebie, już na posadzie, ale to lepiej. Córka profesora. Prawdziwego, przedwojennego... O ożenku oczywiście nie ma na razie mowy, ale poznać się przecież możecie?

Zawieranie znajomości nieco się przeciągnęło, młodzi nakłaniani przez obie już zaprzyjaźnione rodziny jakoś patrzyli na siebie wilkiem, ale gdy wreszcie poczuli wolę bożą, poczuli ją tak gruntownie, że ledwo zdążono ze słubem, by ukryć odmienny stan panny młodej, wówczas początkującej asystentki dziennikarskiej przy poczytnym tygodniku. I dlatego młody aktor nie mógł jechać na prowincję...

No i tak to się potoczyło, coraz bardziej jałowo i pusto.

Córeczka naprzód nie miała ząbków wcale, potem jeden i dwa. I właściwie tylko tym dzień wczorajszy różnił się od jutrzejszego. Bo poza tym niewiele się zmieniało. Wielotygodniowe wyczekiwanie na jakie takie role na scenach wprawdzie stołecznych, ale coraz odleglejszych od Pałacu Kultury. Niemal bezskuteczne próby złapania jakichś chałtur w radio czy telewizji. Od czasu do czasu niewielki objazd w terenie na przyczepkę do panów artystów estrady i kabaretu. Objazdy, zresztą wkrótce zostały zakazane przez małżonkę, która ze wszystkich cech przypisywanych jej przed ślubem okazała się być w posiadaniu zaledwie jednej: istotnie, była piekielnie zasadnicza. Wyprana z poczucia humoru, ale za to chorobliwie zazdrosna, w czym podtrzymywała ją matka, wszechwładna pani profesorowa, trzymająca dom, męża, zięcia i zmieniające się co miesiąc kuchty żelazną rękawicą. Bo oczywiście Marek musiał się sprowadzić do żony: macie tu wspaniały widny pokój, w dobrym punkcie, i wszystko na miejscu, nawet obiady.

Te rodzinne obiady stawały kością w gardle. Każde wyjście z domu było kontrolowane i ściśle wyliczone, z każdego musiał zdawać szczegółową relację: kiedy, gdzie, o czym, a przede wszystkim z kim. Podczas bezsennych nocy zaczęły go prześladować krwawe wizje. Żona z nożem w wychudłej piersi, teściowa z rozwaloną czaszką, on sam z głową w piecyku gazowym. Rano otrząsał się z koszmaru, potulnie dreptał z małą na spacer, potem znów wydeptywał ścieżki w poszukiwaniu, nowego kontraktu lub szedł na próby, podczas których długo czekał, by w

trzecim akcie wnieść list na tacy lub być jednym z milczącego tłumu za oknem. A wszystko to z coraz większą niechęcią w jakimś apatycznym półśnie.

W takim odrętwieniu jechał kiedyś tramwajem, Dzień był upalny, a tłok coraz większy. Stał przy ciśnięty do szyby na tylnym pomoście, trzymając się dłonią za poziomą poręcz. Nagle poczuł dotyk. Szczupłe chłodne palce musnęły raz i drugi, niby przypadkiem, uciekły spłoszone i znów powróciły na dłużej. W pierwszej chwili chciał cofnąć rękę lub w ogóle wysiąść z przegrzanego pudła. Spojrzał na autorkę dziwnej prowokacji. Jakże różna od tej wąskoustej bladej istoty, zwącej się jego żoną. Uśmiecha się swobodnie, ale bez niestosowanej zalotności. Typ raczej fajnego kumpla niż krwiożerczego wampa czy obłudnej uwodzicielki. Z przerażeniem spojrzął za okno. Minął swój przystanek, a obiad już na stole. Delikatnie wysunął dłoń spod przykrywających ją palców. Zaczął przeciskać się do wyjścia. Zdążyła szepnąć imię i telefon. Uciekł bez słowa, ale numer zapisał.

Oczywiście, że wiem, kto dzwoni, powiedziała w dwa dni później, niech pan wpadnie w wolnej chwili. Jak to gdzie? Do niej. Mieszka sama, zaraz poda adres. Tak, sama, mówiła, gdy przyszedł, ale to nie jej mieszkanie. Po prostu, ktoś wyjechał, ona pilnuje. Że też od razu zwrócił uwagę na jej akcent. Rzeczywiście, nie jest Polką. Tu robi doktorat, studia kończyła w Nanterre. Nie, nie jest Francuzką, lecz Kanadyjką z Quebecu. Skąd zna polski? Matka

jest Polką, z powojennej emigracji. Poznała ojca, gdy pracowała na alianckim lotnisku w Westfalii, już po wyzwoleniu tej części Niemiec przez Brytyjczyków. Ojciec latał w RAF. A matkę Niemcy wywieźli na roboty. Ona sama ma dwadzieścia pięć lat, nazywa się Monika Leybel. Czym się zajmuje? Och, co za dociekliwość, nie za dużo na początek, panie. Marku?

– To pani mnie zna? – zadał sakramentalne pytanie, obserwując jak krząta się zwinnie w niebieskawym półmroku szczelnie zaciągniętych zasłon.

– Właściwie do tej pory nie byłam pewna – odparła stawiając na niskim stoliku kieliszki do wina. – Widziałam pana w teatrze, ale w świetle rampy człowiek inaczej wygląda. No i patrzę w tramwaju, a pan taki zamyślony, taki zupełnie wywrócony do wewnątrz. No i tak jakoś wyszło...

Wymówił się od picia. Pogadali na obojętne tematy. Po paru wizytach okazało się, że czas można spędzać nie tylko na rozmowach. Choć poza czułymi chwilami mówili wiele. Nawet nie zauważył, jak stopniowo wyciągnęła z niego cały życiorys, stosunki domowe, kontakty zawodowe. Wspomnienia ze studiów, pobyt na ćwiczeniach wojskowych. Zwierzał się chętnie, jeszcze chętniej użalał nad sobą. Pocięszała go. Jest młody, życie przed nim. Może wszystko zacząć od nowa. Nie, nie z nią, nie to miała na myśli. Ale może wyjechać zagranicę. Chętnie mu pomoże. Zorganizuje zaproszenie, na przykład do Francji, gdzie ma uczynną rodzinę. Protestował, lecz coraz słabiej. Domowe

piekielko dawało się we znaki. Uciekał do Moniki. Przyjmowała go przyjaźnie. Był na tyle niedoświadczony, że nie wyczuwał jej dziwnego chłodu w chwilach zbliżeń. Były momenty, gdy opanowywało ją jakieś drżenie. Wyprawiała go wtedy pod byle pretekstem. Trapiiony własnymi kłopotami prawie nie zwracał uwagi na jej napady. Może jest chora? Co to ma za znaczenie. Przecież i tak nie zwiąże się na stałe z kobietą, która go pierwsza zaczęła. I to gdzie! W tramwaju!

Tymczasem coraz częściej przyłapywał się na rozmyślaniach o przyszłości. Co go tu trzyma? Rzeczywiście, tam może zacząć od nowa. Na razie zaczął brać pieniądze. Musiał jakoś upozorować skryte schadzki. Wymyślił jakąś cykliczną imprezę, do której go rzekomo zaangażowano. Sumy, które dostawał za „występy”, przekazywał żonie. Sumienie uspokajał wizją przyszłej kariery. Wtedy zwrócił wszystko co do grosza. Bo to oczywiście pożyczki. Skrupulatnie kwitował każdy otrzymany banknot. Wizje nabierały konkretnych kształtów. Panna Leybel miała kontakty również w jego branży. Jej krewny w Paryżu jest znanym producentem filmowym, a w filmie, jak wiadomo, nieznanomość języka nie odgrywa takiej roli jak w teatrze. Z kolei krewny ma wiele znajomości tu, w Polsce. Zna profesora Zagrodzkiego. Kogo? Samego Zagrodzkiego? I co z tego, nie tędy droga, z jego dorobkiem nie ma co startować. A jednak... Niech spróbuje. Wystarczy list polecający od producenta znad Sekwany.

Nie wierzył. Brzmiało to zbyt bajkowo. Mimo to po paru tygodniach Monika powiedziała, że sprawa załatwiona. Możesz zadzwonić i umówić się z Zagrodzkim. Istotnie, stary reżyser przyjął go niebawem. Wypytywał o dotychczasowe role. Marek bąkał speszony, zdając sobie sprawę, że jest właściwie nikim. Ku swojemu zdumieniu usłyszał, że to nawet dobrze. Ludzie mają dość wiecznie tych samych twarzy w kinie, w telewizji, na estradzie. Dobrze jest od czasu do czasu wprowadzić kogoś nowego. Wprawdzie znajomy z Francji napisał niezobowiązująco, że może coś kiedyś, ale właśnie nadarza się świetna okazja, bo do pewnego filmu poszukiwany jest młody aktor mniej więcej o jego aparycji.

– Jednakże zdaje pan sobie sprawę z tego – dodał Zagrodzki na zakończenie – że znalazłoby się parę osób w pana wieku z nieco większym dorobkiem, prawda?

– Niestety... – spuścił oczy. – Przepraszam za śmiałość.

– Ależ nie, głowa do góry! – Starszy pan uśmiechał się życzliwie, a oczy mu błyszczały. – To ma być ktoś zupełnie nieopatrzonego i pan by się chyba nadawał. Oczywiście trzeba zrobić próbne zdjęcia...

– Tak jest, panie profesorze.

– A w ogóle niech pan sobie zapisze mój domowy telefon, musimy przecież być w kontakcie.

Po próbnych zdjęciach Zagrodzki zaprosił go do siebie. Prawdę mówiąc Marek wolałby, żeby tego wieczoru nie było, żeby móc go wykreślić z pamięci. Ale Monika tak

prosiła. Idź koniecznie, mówiła, i pamiętaj, bądź miły, od tego zależy twoja przyszłość. Jeśli sprawdzisz się, i to od razu w dużej roli, w filmie, który na pewno będzie głośny na Zachodzie, twój start wypadnie zupełnie inaczej. Przyjmą cię tam z otwartymi rękami...

ROZDZIAŁ IX

Właściwie mógł nie jechać. Co by mu stary zrobił? Przecież nic nie jest w stanie udowodnić. Mimo to wtedy wieczorem, gdy Spiczak wywołał go do telefonu, było mu niewyraźnie. Minęło niemal dwadzieścia lat. I tyle ich dzieliło. On, Robert Leśniewski, reżyser może nie na miarę wielkich mistrzów, ale jednak coś tam w życiu dokonał. A tamten co? Starowina przed emeryturą, jakiś buchalter czy inny gryzipiórek, szary przeciętniaczek. A jednak ledwo ukrył przerażenie.

Tamten stał nieco w cieniu, przy drzwiach.

– Pan mnie nie poznaje? – powiedział głosem drżącym od hamowanej pasji.

– Słucham? – zapytał, udając że nie wie, czy o niego chodzi. Ale poznał od razu. I gdy szczerpy siwy mężczyzna sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, skulił się nie mogąc zrobić kroku. Na szczęście to była sekunda, napięcie minęło, bo tamten wyjął tylko wizytówkę.

– Będę na pana czekał – mówił pozornie bez związku, świdrując go przenikliwym spojrzeniem. – Mam nadzieję,

że nie zabraknie panu cywilnej odwagi. Chyba mam prawo do wyjaśnień!

Zaczynał podnosić głos. Robert podszedł bliżej.

– Czy sąd wszystkiego nie wyjaśnił? – szepnął uspokajająco.

– Nim odejdę z tego świata, muszę poznać prawdę – zawołał patetycznie starzec.

Zdziwiona pokojówka wyjrzała zza drzwi korytarza wiodącego do kuchni. Leśniewski niemal siłą wypchnął nocnego gościa na werandę, z niej na ganek. Jeszcze tego brakowało, żeby starzec zaczął wykrzykiwać na cały hotel. Wystarczą trzy słowa. Na nic wtedy wyjaśnianie, że to urojenia, że starczy obłąd.

– Obiecuję panu, że przyjadę w pierwszej wolnej chwili – powiedział w mroku hotelowego podjazdu. – Teraz naprawdę nie mogę.

Nie przypuszczał, że przeszłość powróci w takiej postaci. Groteskowe oskarżenie, nieprzyjemna historia. Przez te piętnaście lat tyle przeżył. Powali zapominał, jak wyglądał rodzinny dom, szkoła, przyjaciele młodości. Błądły twarze obu tak niegdyś bliskich kobiet: jego pierwszej szalonej miłości, nigdy nienasyconej Julii, którą odwiedził jeszcze w dniu wyjazdu. A także Grażyny, kobiety godnej osobnego filmu. Pobrali się w tajemnicy przed rodzicami, na studiach, ledwo po osiągnięciu pełnoletności. Nikt nie umiał tak wybaczać jak ona, tak cierpliwie czekać i znosić jego wybryki.

Uciekł od niej bez pożegnania. Do dziś nie mają formalnego rozwodu. Może jeszcze mogłaby go przyjąć?

Pytał Norberta, podobno żyje sama, nie ma nikogo. A Julia? Jaką by miała minę? Musiałby ją specjalnie szukać, nie wiadomo, co się z nią stało. Wolałby się spotkać z którąś z nich, zresztą z kimkolwiek z tamtych czasów, niż z tym starym, Franciszkiem Salickim. Jego nazwiska też zapomniał, widniało na wizytówce.

A jak miała na imię ta mała, córka Salickiego? Poznał ją przypadkowo. Z całą swoją bandą jak zwykle okupował dwa połączone stoliki w „Casanovie”. Bawiła go służalczość kelnerów, pokornie podnoszących z posadzki brunatne banknoty. Bawiła go karność kumpli, zwykłych cwaniaczków z Bałut, którym imponował pieniędzmi i pozycją ojca. Ten miał słabość do jedynaka. Chcesz się, syneczku, bawić w film? Ile ci trzeba? Sto, dwieście tysięcy? Nie dociekał pochodzenia tych sum. Podczas procesu był już od dawna w Stanach. Tylko etykiетка została: syn aferzysty. Ale kto o tym wie? Po tylu latach...

Następnego dnia znów spotkali się skacowani kumple. Postanowili zacząć od kawiarni. On stawiał, on płacił. Byli już po paru koniakach, gdy ją zobaczył. Raczej jej ogromne ciemnobłękitne oczy, wpatrzone w niego poważnie, bez cienia zalotności. Poważnie, ale czy niechętnie? Do tej pory wystarczało jedno kiwnięcie palcem. Tym razem czuł podświadomie, że ona jest zupełnie inna. Mimo to podszedł do niej, nachylił się, coś wybełkotał. Suchy trzask odbił echem o sklepienie. Poprawiła z drugiej strony.

Kumple zamarli ze zgrozy. Już rwali się zza stolika. Powstrzymał ich krótkim warknięciem. Pozwolił jej odejść.

Od tego dnia oszalał. Wkrótce wiedział o niej wszystko: kim jest, ile ma lat, gdzie mieszka i do jakiej szkoły chodzi. W świetle prawa była już pełnoletnia. Mógł ją zwabić do swojej kawalerki i wziąć choćby siłą. Ale nie chciał tak. Zrobi wszystko, żeby ona sama do niego przyszła, żeby pierwsza spojrzała przychylnie. Był znany. Pół miasta śledziło jego zabiegi. Zmienił się wówczas, ściął, na serio zaczął studiować. Nakręcił dwie błyskotliwe etiudy. Powoli zaczął rozumieć, że nie wszystko można mieć za pieniądze. I wreszcie po roku wytrwałych starań wygrał. Może pośrednio zawdzięczał to również jej ojcu. Drobny urzędnik poczuł się bohaterem. Jest biedny, ale swój honor ma. Pokaże tym krezusom, co to znaczy podnieść oczy na jego jedyny skarb. A skarbu trzeba pilnować. Zamykał ją na klucz. Odprowadzał do i ze szkoły. Zakazał wszelkich kontaktów. Trzeba dziecko chronić od pokus. I dziecko pewnego dnia wyrwało się z zamknięcia. Biegła ulicami, aż oparła się w garsonierze Roberta, którą miał niezależnie od połówki willi zajmowanej wspólnie z żoną. Stary Salicki stawał na głowie, słał skargi do wszelkich możliwych instancji, nachodził milicję i redakcje czasopism. Był bezsilny.

Potem w sądzie twierdził, że to było z góry ukartowane. Zasobny w nieswoje pieniądze młokos, pełen pogardy dla ludzi, postanowił wykorzystać dziewczęce zaślepienie,

a na nim, na ojcu, dokonać podłej zemsty za to, że chciał ocalić córkę przed hańbą. Jednakże wnikliwy przewodnik sadowy nie wykazał żadnego związku obywatela Leśniewskiego z przedmiotową sprawą. Krytycznego dnia w ogóle go nie było w mieście Lidia Salicka miała klucze od lokalu numer piętnaście przy ulicy Kaliskiej. A także prawo wstępu o każdej porze. Ale przecież, upierał się jeden z obrońców, Leśniewski powiedział do kolegów „Co tam znajdziecie, to wasze”. Są na to świadkowie. Nie ma żadnego dowodu, utrzymywał prokurator, że mówiący te słowa miał na myśli dziewczynę. Jak również na to, że była z nim tego dnia umówiona. Gdyby ona sama mogła wyjaśnić tę kwestię...

Gdyby...

Bo wprawdzie żyła jeszcze dwa miesiące, ale zeznawać nie była w stanie. Prawie nie jadła, nikogo nie poznawała, nie sposób było z nią nawiązać żadnego kontaktu. Oskarżeni chcą przerzucić część winy na kogoś postronnego. Mniemają, iż ich czyn mógłby być wówczas potraktowany łagodniej. Ale czy przypuszczają, że komukolwiek wolno rozporządzać drugim człowiekiem? Tu oskarżyciel wdał się w naświetlenie sylwetek wszystkich pięciu sprawców zbiorowego zgwałcenia. Najstarszy z nich, Cezary Maksymiuk, jako prowodyr, dostał najwyższy ustawowy wymiar kary przewidziany dla tego rodzaju przestępstwa: piętnaście lat więzienia. Nie więcej. Sąd bowiem przyjął stanowisko, iż nie można ich czynu podciągnąć pod nawet

nieumyślne spowodowanie śmierci. Biegli nie stwierdzili bezpośredniego związku między wydarzeniami owego popołudnia, a zgonem Lidii Salickiej.

Ale ojciec? Nigdy nie pogodził się z taką interpretacją. Strumień pism odwoławczych, jakie słał po całym kraju, został przerwany z powodu wyjazdu sprawcy jego nieszczęść za granicę. Tak, sprawcy Gdyby nie podstępna intryga, jego córka żyłaby do tej pory.

Robert siedzi przed wyniosłym starcem. Są sami w zagraconym pokoiku. Drzwi od kuchni zamknięte.

– Może nareszcie doczekam się zadośćuczynienia – syczy Salicki uderzając dłonią w odrapany stolik.

– Jakiego?

– Że wyzna pan prawdę. Publicznie wyzna.

– Jaką prawdę? Prawda jest jedna: nie miałem pojęcia, że Itka tego dnia do mnie przyjdzie. Byliśmy trochę poróżnieni i...

– Złodzieju! – wybucha tamten. – Ukradłeś mi córkę. Uwiodłeś ją! Zhańbiłeś!

– Sama przyszła – rzuca zdenerwowany gość.

Gryzie się w język. Za późno.

W gospodarza wstępuje furia. Zrywa się na równe nogi. Z całych sił wali pięściami w blat. Spróchniała deska pęka z głośnym trzaskiem. Reżyser wstaje, chce przeczekać atak, przesuwa się w stronę drzwi, łączących pokój z niewielką kuchenką. Stary przeprowadził się tu po śmierci żony. To wyjaśnił na początku. Robert obserwując spod oka miotającego się szaleńca, sięga za klamkę. Ta nagle ustępuje, drzwi stają otworem. A w nich...

– Czarek?

– Aha. Sie masz, szefie, grabula. – Uścisk miazdzy dłoń. – Pilno ci? – popycha go na krzesło. – Siadaj, brachu, pogadamy.

Starzec cichnie, ociera wargi ze śliny.

– Właśnie – mówi. – Oto mój świadek. Pan Maksymiuk odsie... od niedawna jest na wolności. Nie ma powodu kłamać.

Robert intensywnie wpatruje się w obrzękłą, nienaturalnie bladą twarz dawnego kumpla.

– Całą pietnachę odpudliłem, bracie, masz pojęcie? Kopsnij szluga – wyciąga potężną dłoń. Bez pośpiechu zapala podanego sobie papierosa. – Co cię przywiodło w te strony? – pyta ochryple.

– Film kręcę – wyjaśnia reżyser.

Tamten wydaje z siebie krótki rechot.

– Kręcisz, powiadasz? No, do tego to miałeś smykałkę, nie, panie starszy? – obraca głowę do gospodarza. – Cwanny zawsze byłeś. Tak mnie wkopać. Wiesz, co to znaczy? Piętnaście lat...

– Ja cię wkopałem? Czarek, puknij się.

– A kto? Mogłeś powiedzieć, jak było.

– O to chodzi – wtrąca Salicki. – A nie kłamać w żywe oczy, zapierać...

– Pan ma jakieś urojenia – wpada mu w słowo Robert. Wydaje mu się, że przeżywa sen, że za chwilę otworzy oczy...

– Może nie dałeś nam cynku, co? – łapie go za ramiona osilek. – Może nie powiedziałeś „chłopaki, zabawcie się z nią, będę was krył”?

– Czarek, nie pleć! Tobie tak powiedziałem? Tobie? – wstaje, choć i tak jest o głowę niższy. Maksymiuk mruga oczami, ale po paru sekundach, łypnąwszy na Kalickiego, macha ręką.

– Co tu będziesz truł – wygraża. – Ojczulek cię wybronił, sąd odpuścił, ale sprawiedliwość musi być. Mam rację?

– Jak najbardziej – podtrzymuje go starzec.

Leśniewski przypatruje im się uważnie.

– Ile? – rzuca sucho. – Ile za tę waszą sprawiedliwość?

Tamci stropieni nieco tracą na chwilę zapał. Salicki odrycha ciężko.

– Nie! – krzyczy – O nie, mój panie. Tu nie nocny lokal, gdzie można było rzucać pięćsetkami. Pieniężmi ze szwindli aferzysty, który zgnił w więzieniu Tak, niedaleko pada jabłko od jabłoni. Myślałeś, że będziesz bezkarny. Że przeszłość nie wróci – woła unosząc ramiona. – Ale twoja godzina wybiła!

Maksymiuk wyciąga zza pazuchy potężny klucz francuski. Salicki stojąc pod oknem zasłania dojsicie zrujnowanym stołem. Robert sięga po krzesło, ale osiłek jednym kopnięciem pozbawia go tej broni. Jego twarz wykrzywia grymas.

– Za moją krzywdę – szepcze.

Jest coraz bliżej. Nagłym ruchem unosi dłoń zbrojną w żelazo. Potężny zamach. Leśniewski w ostatnim ułamku sekundy uskakuje, ale potyka się o stojącą na brudnej podłodze miskę. Pada jak długi na ziemię. Czuje uderzenie grubego buta w żebra. Widzi, jak dłoń znów się unosi do ciosu...

Lekkie pukanie do drzwi. Potem dzwonek.

– Chwileczkę! – woła z przedpokoju. Otwiera. W progu stoi wysoki mężczyzna.

– Pan Zagrodzki? – pyta.

– Tak. A o co chodzi? Kto...

– Jestem z milicji. – Przybysz okazuje rozłożoną legitymację.

– Z milicji? Do mnie? Proszę... – przepuszcza gościa przodem, starannie zamyka drzwi na skomplikowane zamki. – To do mnie – mówi do kogoś w głębi obszernego mieszkania. – Proszę – powtarza wprowadzając przybyłego do gabinetu.

Na ścianach artystycznie wykonane zdjęcia. Portrety znanych aktorów, przeważnie starszego pokolenia. Fotosy robocze. Grupa zdjęciowa: na pierwszym planie gospodarz tego wnętrza, ze swoją nieodłączną fajką. Teraz też, gdy siadają, po nią sięga. – Czym mogę służyć panu, panie...

– Major Adam Budzisz – przypomina oficer.

Pułkownik Bromski był zdania, że użycie ludzi z jego pionu mogłoby przedwcześnie spłoszyć rozpytywanych, dlatego przystał na pomysł Prusaka, by stworzyć wrażenie fikcyjnej sprawy prowadzonej przez milicję

– Tak jest – grzecznie kiwa głową siwowłosy reżyser.

– A więc, panie majorze...

– Chodzi nam o pewne informacje – zaczyna Budzisz.

– Czy zna pan Marka Byrdę?

Kierownik zespołu „Muza” ucieka spojrzeniem w bok.

– Och, zaraz zna – mruczy. – Owszem, wiem że ktoś taki istnieje.

– Ktoś? Wydawało mi się, że Byrda jest aktorem? Może się mylę? – naciska oficer z celową ironią.

– Ależ jest, jest – przyznaje Zagrodzki. – To znaczy, ściśle mówiąc ukończył wydział aktorski PWST. O ile wiem, raczej z miernymi wynikami.

– Aha. Stąd wniosek, że trudno go nazwać kimś wybijającym się, obdarzonym talentem? – ciągnie Budzisz.

– No nie, tak nie można – starszy pan uśmiecha się nieco odprężony. – Jedno nie przeszkadza drugiemu. Można mieć talent, a jednak nie wybić się przez długie lata. Są na to liczne przykłady.

– Dobrze – pozornie kapituluje major. – Jako fachowiec ma pan z pewnością rację. Przyzna pan jednak, że człowiek, o którym mówimy, jest niezbyt popularny. Zanim tu przyszedłem, zrobiłem mały sondaż. Spośród trzyestu pytanych przeze mnie dyrektorów najlepszych scen polskich znało go z nazwiska tylko czterech, a jedynie dwóch kojarzyło z tym nazwiskiem konkretną osobę. To chyba o czymś świadczy, prawda?

Uśmiech mający podkreślać przewagę znawcy nad laikiem gaśnie z pobrużdżonej twarzy gospodarza.

– Zostałby wobec tego drugi człon naszego rozumowania – przyznaje z ociąganiem. – Nie możemy wykluczyć, że w aktorze dość w końcu młodym drzemią nie ujawnione jeszcze możliwości.

Budzisz czekał na taki wniosek.

- Czy miał pan okazję sprawdzić? – rzuca szybko.
- Co mianowicie? – nasępia się reżyser.
- Talent Byrdy.
- Okazję? – przeciąga celowo. Z dotychczasowej rozmowy domyśla się, że przystojny oficer nie porusza się po omacku. Jeżeli nie blefuje z tym sondażem, pewno wie o wiele więcej niż można sądzić. – No cóż... Owszem; okazję miałem – wyznaje. – Byrda przeszedł pod moim kierunkiem próbne zdjęcia. Nie wypadł najgorzej.
- Czy inicjatywa wyszła od pana? – Major formułuje myśl niezbyt precyzyjnie. Rozmówca wykorzystuje to natychmiast.
- Najmocniej przepraszam – moduluje głos akcentując niewłaściwość kwestii – ale kierownik artystyczny zespołu filmowego nie musi przejawiać takich inicjatyw. Od naboru chętnych są...
- Pan nie odpowiedział na moje pytanie – ucina wywód indagujący.
- Oczywiście, że od niego.
- W jaki sposób? Przyszedł, zadzwonił?
- Wyznaczyłem mu termin spotkania po jego telefonie – cedzi oficjalnie Zagrodzki – ale nie rozumiem, co to ma do rzeczy. W końcu chyba mam prawo...
- Ależ oczywiście, nie kwestionuję pana uprawnień. Chcę tylko uzyskać informację, na jakiej podstawie Byrda jako debiutant dostał od razu dużą rolę w filmie pana Leśniewskiego?
- Na podstawie mojej opinii.
- A przed chwilą twierdził pan, że to mierny a. A

więc? Czy każdemu, kto zadzwoni do zespołu, wyznacza pan próbne zdjęcia? I to pod swoim, kierunkiem? O ile wiem, od tego są inni, sam to słyszałem z pana ust.

Zapada pełne napięcia milczenie. Co oni zdążyli wy-
niuchać, myśli gorączkowo stary reżyser. Wyprzeć się
tamtych kontaktów? A jeżeli ten smarkacz wszystko wy-
gadał? Przecież to histeryk, mało się nie popłakał wtedy,
gdy tu przyszedł.

– Byrda został mi polecony – decyduje się na odkrycie
kart.

– Przez kogo?

– No, właśnie, sam się zdziwiłem, chociaż po tylu la-
tach pracy w zawodzie nic nie powinno już mnie zaskaki-
wać. Zdarzają się bowiem powiązania jeszcze bardziej
nieprawdopodobne niż to, o którym za chwilę powiem.

Urywa, by wystukać o brzeg masywnej popielniczki
wygasłą fajkę. Budzisz czeka cierpliwie.

– Mam wielu znajomych z branży. Nie tylko w kraju.
Wie pan, festiwale, wymiana kulturalna, współprodukcje.
Między innymi znam pana Jacquesa Debrela, paryskiego
producenta. To wyjątkowy człowiek. Swego czasu dofi-
nansowywał zupełnie deficytowe filmy nowej fali, jeszcze
w jej początkach. To, była czysta filantropia z punktu wi-
dzenia ludzi interesu. Zawarliśmy bliższą znajomość pod-
czas realizacji pewnego telewizyjnego serialu. Była to
współprodukcja firmowana również przez mój zespół –
kierownik „Muzy” przybiera ton udzielnego władcy. –
Prowadzimy stałą korespondencję. W jednym z listów

Jacques wspomniał o młodym Byrdzie. Że jest taki aktor, niedoceniany, zdolny, marnuje się i żebym mu dał szansę.

– Zagrodzki odetchnął, jakby zrzucił z siebie spory ciężar.

– I wspomniana rola jest właśnie ową szansą?

– Otóż to.

Major zaczyna zbierać się do wyjścia. Reżyser zbyt żywo jak, na swój wiek podbiega do drzwi, by uchylić je przed kłopotliwym gościem. Ten wstrzymuje go ruchem ręki.

– Chwileczkę, jeszcze jedno. Czy naprawdę nie orientuje się pan, skąd ów Debrel z Paryża zna Marka Byrdę? Może pan wie, gdzie i kiedy mogli się zetknąć?

– Niestety... – Zagrodzki rozkłada bezradnie ręce. – Właśnie to stanowi dla mnie niewyjaśnioną zagadkę.

– Nie próbował pan jej rozwikłać?

– W jaki sposób?

– Choćby pytając o to samego zainteresowanego? Z czystej ciekawości.

– No wie pan... Zresztą chyba nawet coś zagadywałem na ten temat. Debrel nie był już u nas ładnych parę lat, a Marek... to znaczy Byrda – poprawia zmieszany – o ile wiem, nigdy nie wyjeżdżał za granicę. Początkowo zbywał mnie ogólnikami, wreszcie coś tam bąknął, że przez znajomości. I to wszystko. Nic bliższego nie wiem – zapewniał tak gorliwie, że Budzisz jest gotów uwierzyć. W końcu gdyby aktor ujawnił owe powiązania, stary z pewnością

by tego nie tań, choćby po to, żeby na wszelki wypadek odsunąć siebie jak najdalej.

Z takim też wnioskiem zreferował rozmowę pułkownikowi Bromskiemu. Szef wydziału wysłuchał relacji i spojrział na biorącego udział w naradzie porucznika Żywulta.

– Wiesz cokolwiek o tym Debrele?

– Oczywiście – powiedział żywo. – O ile to ten sam. Trzeba sprawdzić. W każdym razie maczał palce w kilku filmach, które utożsamiały komunistów z lewackimi awanturnikami, co miało wywołać dreszcz grozy wśród mieszczaństwa przyzwyczajonego do błęgiego spokoju i sytości. Te filmy szły jak woda za Łabą i w Stanach...

– Czyli mit o „dobrym wujaszku Debrele” bierze zwyczajnie w łeb – skwitował rzeczowo Budzisz. – Skąd w takim razie jego powiązania z „Muzą”, o czym wspominał Zagrodzki?

– Moim zdaniem nic nadzwyczajnego – stwierdził bez namysłu Rafał. – Szukał po prostu wejścia na nasz rynek i jako partner do współpracy nie mógł od razu wyskoczyć z czymś, co mogłoby przekreślić tę szansę. Zastosował kamuflaż, przewidując ewentualne rozwinięcie skrzydeł w przyszłości. Nie wykluczam, że finansowo nawet na tym stracił, ale tylko formalnie. Na pewno ktoś, wiemy chyba kto, wyrównał mu z nadwyżką te niedobory. W takiej grze stawki na ogół są wysokie.

– Podzielam ten punkt widzenia – przerwał pułkownik.
– Od tej strony sprawa jest jasna. Pozostaje jednak otwarty

inny problem: kontakt z Byrdą. Kto go „nadał”, kiedy, jakim kanałem i w jakim celu? Na te pytania musimy znaleźć jak najszybciej wiarygodną odpowiedź. Myślę, majore – zwrócił się do Budzisz – że wy nam w tym pomożecie.

Nie musiał już nic dodawać. Wszyscy pracownicy obu służb, zaangażowani w tę sprawę, wiedzieli, że nie wystarczy uchronić Leśniewskiego przed spodziewanym zamachem. Taka skomplikowana akcja, jak zgładzenie człowieka w obcym „terenie bez pozostawienia śladów, wymaga odpowiedniego przygotowania. Bezpośredni sprawca to tylko ostatnie ogniwo całego łańcucha. Trzeba dojść, kto go inspirował, ustalić wzajemne powiązania, obnażyć mechanizm spisku. A w tej chwili, po wyjaśnieniu sprawy kłusownika, istniał jeden podejrzany i jeden punkt zaczepienia. Najważniejsza była odpowiedź na pytanie: kto z kolei polecił Byrdę Debrełowi?

Ponieważ czas naglił, rzucono do akcji wszystkie siły będące aktualnie w dyspozycji. Wielu ludzi badało skrupulatnie zarówno przeszłość młodego aktora, jak i rozległy krąg jego znajomości. Byrda stykał się z dziesiątkami osób. Koledzy ze studiów, wykładowcy ze szkoły aktorskiej. Pracownicy kolejnych teatrów, które go zatrudniały. Krewni i znajomi spoza środowiska. Objazdowe zespoły estradowe. Trupy, z którymi podejrzany zetknął się sporadycznie, nawet jednorazowo.

To była ogromna robota, niesłychanie trudna i wymagająca pełnej dyskrecji, większej niż w typowych

sprawach o dokonanie przestępstw kryminalnych. Gdyby Byrda znajdował się pod kluczem, ludziom rozwiązałyby się języki. Ale w sytuacji, kiedy nawet nie można było pytać o niego wprost, zdobycie wiarygodnych informacji nastęczało chwilami trudności nie do pokonania. Po kilku dniach rozniosło się zresztą w wąskim światku teatralno-filmowym, że milicja – bo oficjalnie ten pion resortu spraw wewnętrznych zbierał materiały – czegoś szuka, o kogoś wypytuje. Reakcje jak zwykle były różne: jedni sami spieszyli z wyjaśnieniami, nie wiedząc w istocie, o co chodzi, inni spokojnie czekali na rozmowę z pracownikami MO. Nie brakowało jednak i takich, którzy „dla świętego spokoju”, w poczuciu własnej niewinności, zachowywali milczenie, aby komuś niechęć nie zaszkodzić. O niczym ponoć nie wiedzieli, nic poza pracą rzekomo ich nie interesowało.

Mimo tych przeszkód udało się dość dokładnie odtworzyć curriculum vitae sprawcy całego zamieszania oraz jego sylwetkę psychiczną i charakterologiczną. Już pod koniec tygodnia można było zwołać krótką roboczą naradę. Osobne miejsce w zebranych materiałach zajmowała opinia biegłego psychologa.

– Jednak coś się tu nie zgadza – podsumowywał kapitan Pruszek pospieszną relację.

Z powodu ulewnego deszczu nie mogli wyjść na zwykły spacer. Właśnie przed kwadransem wrócił z Warszawy. Siedzieli oboje w kącie oszklonej pustej werandy pijąc coś, co nie wiadomo dlaczego nazywane jest przez

naszą gastronomię „herbatą ekspresową”. Miejsce wybrali z rozmysłem: gdyby ktoś szedł, widzieliby go z daleka.

– Coś się nie zgadza? – Bednarzówna wyjęła z wypełnionej burym płynem szklanki rozmoczoną bibułkową torebkę.

– Z jednej strony jest to, jak na razie, kandydat numer jeden. Tylko jego można było odpowiednio wcześniej zaprogramować i przygotować do działania. – Kapitan zamieszał łyżeczką nie rozpuszczony cukier. – Z drugiej zaś, biegly w zasadzie wyklucza, aby osobnik tego typu był zdolny do popełnienia czynu wymagającego bądź co bądź zimnej krwi, opanowania.

– To przecież aktor – roześmiała się Marta wyglądając przez okno. W perspektywie mającej we mgle drogi dostrzegła jakiś ruch. – Poza tym zakwestionowałabym taką zaoczną opinię. Bez specjalnych testów, bez pewnych złożonych technik psychoterapeutycznych nie sposób określić...

– Czy kurs psychologii również przechodziłaś? – przerwał Pruszek z lekką kpiną w głosie.

– Żebyś wiedział. A te przykłady, które przytoczyłeś...

– Podaliśmy je specjaliście.

– Chciałeś powiedzieć: zasugerowaliśmy. Tendencyjnie.

Marian zacisnął szczęki z całych sił. Tylko spokojnie. Nie każdy wybuch można podciągnąć pod małżeńską sprzeczkę.

– No wiesz, Marta – syknął przez zęby. – Jeżeli

uważasz, że dopasujemy osobę do teorii, to lepiej zmień... – urwał, by nie powiedzieć za dużo.

– Nie to miałam na myśli – broniła się ze zwykłą w takich razach energią. – Po prostu na podstawie waszych przykładów opinia nie mogła być inna. Dziwne, że psycholog w ogóle się wypowiadał w sposób wiążący.

– Dobrze, już dobrze – westchnął kapitan. – Jak zwykle masz rację, zresztą był to tylko zabieg pomocniczy. Trzymajmy się faktów.

– Cherchez la femme – rzuciła Marta nieuważnie.

– Słucham? Kogo tam wypatrujesz? Dlaczego mamy szukać akurat kobiety? – Pruszek stawiał pytania, a nie słysząc odzewu uniósł się i okrążywszy stolik, przy którym siedzieli, podszedł do okna. Już otwierał usta, by udzielić młodszej koleżance odpowiedniego pouczenia, gdy zastygł zaintrygowany. Zrozumiał jej roztargnienie. Niby pedałuający na rowerze wiejski listonosz to widok zwyczajny, ale w taką ulewę? I do tego w tym miejscu?

– Całą pocztę przywozi rano kierowca autokaru – wypowiedziała na głos ich wspólną myśl.

– Telegram? Nie, depesze rozwożą motocykliści. Polecony?

– Kierowca ma upoważnienie do kwitowania tego typu przesyłek – przypomniała.

Listonosz mozolnie wspinał się na hotelowy podjazd, wzdymana wiatrem służbowa peleryna utrudniała ruchy. Oboje jednocześnie ruszyli w kierunku drzwi. Wyszli na ganek. Siwy doręczyciel ostrożnie oparł swój wehikuł

o węgiel i ciężkim krokiem wszedł po schodkach.

– W taką pogodę? – zagadnęła Marta życzliwie. – Nie szkoda zdrowia?

– Ano, co zrobić. Służba – wymamrotał grzebiąc w przepastnej torbie. – Zwlekałem od wczoraj, ale ekspres lotniczy musowo trzeba doręczyć.

– To może my – zaproponowała. – Żeby pan się nie musiał fatygować.

Stary już wyciągnął w jej kierunku charakterystyczną kopertę z niebiesko-czerwonym obramowaniem, ale nagle cofnął rękę.

– E tam, żadna fatyga – mruknął. – Jak już jestem, to doręczę osobiście. Rozgrzeję się przy okazji, herbatki może mnie pan Spiczak da. Dziękuję pani.

Pomaszerował do hallu: Zdążyli zobaczyć, do kogo był adresowany zagraniczny list. Znaczki zdradzały kraj nadawcy,.

– Z kim teraz mieszka Henke, odkąd się tu przeniósł? Z brygadzystą planu? – upewniał się kapitan, gdy wracali do wnętrza budynku. – Musimy koniecznie poznać treść tego pisma.

ROZDZIAŁ X

Gdy powiedział o obietnicy Zagrodzkiego, Monika zawisła mu na szyi całując go i śmiejąc się radośnie.

– Widzisz, widzisz, a nie wierzyłeś! – wykrzykiwała.

Nieco zbity z tropu tym niezwykle jak na nią wybuchem czułości stał w progu biernie poddając się pieszczotom.

– Tak ci na tym zależało? – powiedział, kiedy wreszcie mógł wejść dalej i opaść na ulubiony fotel.

– A jak myślisz, głuptasku? – gruchała uwijając się po mieszkaniu tak jak stała, prosto z wanny. Zaniepokojony rozejrzał się dokoła, jakby w poszukiwaniu czegoś, czym można by ją okryć.

– Zaciągnę zasłony – nie wytrzymał.

W odpowiedzi wybuchnęła śmiechem, lecz nie oponowała, gdy szarpał ciężkie welurowe story.

– Dobrze, ale za to zapalimy światło, zgoda?

I to też było dziwne. Wprawdzie na ogół spotykali się w dzień, wieczory miał zajęte, zresztą nawet w wolne nie mógł wyjść z domu, jednakże do tej pory Monika w chwilach intymnych nalegała na zaciągnięcie zasłon. W pokoju robiło się wtedy niemal zupełnie ciemno. Jakby chciała ukryć wyraz twarzy w momentach największej dla kobiety bezbronności. A dzisiaj włącza całe oświetlenie łącznie z kinkietami na ścianach?

Wkrótce jednak zapomniał o swoich niepokojach. Zwłaszcza że takiej jej jeszcze nie znał. Nawet ogarnął go lekki niesmak. Oczywiście już po wszystkim. Ale tak go prosiła, żeby koniecznie znów przyszedł najszybciej jak będzie mógł, że po trzech dniach zadzwonił i umówił się na następną wizytę.

Tym razem nie była sama. Zatrzymał się zaskoczony w drzwiach pokoju. Z fotela wstał jakiś mężczyzna. Był niski,

krępy, barczysty i całkiem łysy. Pół twarzy zasłaniały ciemne lustrzane okulary.

– Poznajcie się – szczebiotała dziewczyna wpychając Byrdę do środka. – To znajomy mojego ojca. Ma do ciebie ważną sprawę.

Łyson burknął coś nie wyciągając ręki. Usiedli przedzieleni niskim stołem. W ciszy, która nastąpiła, Marek usłyszał trzask zamka w wejściowych drzwiach.

– Monika! – zawołał. Wiedział, że bez klucza nie otworzy od wewnątrz specjalnej zasuw. A klucza nigdy nie miał. Chciał podbiec do okna, ale otrzymał mocne pchnięcie.

– Siadać! – warknął łysy.

– Co... O co chodzi? – wyjąkał. – Niech pan mnie puści!

Od dziecka panicznie bał się wszelkiego zamknięcia, gdyż ojciec za karę kazał mu siedzieć godzinami w zimnej komórcie o kamiennej podłodze. Musi dojść do drzwi, spróbować... Nagle gwałtowny jęk sam wydarł się z głębi płuc. Ostry ból w klatce piersiowej. Coś mignęło przed oczami. Prawe ramię zwisa bezwładnie. Nie może ruszyć nawet palcem. Następny cios kantem dłoni ścina go z nóg. Uderza twarzą w dywanik przed wersalką. Dosyć, dosyć! Znow uderzenie, po którym wygina się w łuk do tyłu, czaszką niemal dotykając butów. Brak tchu. Powietrza! Po chwili długiej jak wieczność łapie oddech z głośnym rżeniem.

– Wstawaj, nic ci nie jest – słyszy jak przez watę. Rzeczywiście. Choć boli każdy mięsień, każda kosteczka,

choć każde zaczerpnięcie powietrza odzywa się kluciem pod łopatką, jakoś gramoli się i siada wprost na podłodze. – Wyżej! – tamten wskazuje fotel. Czeka, aż Marek usiądzie.

– No to się poznaliśmy – mówi typ bez cienia uśmiechu.

– Ale co... co ja! panu zrobiłem – jęczy Byrda Widzi, jak łysina prześladowcy w pewnym miejscu inaczej odbija światło. Laik może by nie zwrócił uwagi. – Po co ta maskarada?

– To? – Tamten klepie się po czaszce. – Na wszelki wypadek. Wiesz, że, mam własne włosy pod spodem, ale nie wiesz jakie. A jak ci przyjdzie ochota skoczyć do Mostowskich, to cię o to zapytają. I co im powiesz? Że cię zbił łysy blondyn? – zaśmiał się chrapliwie. – A jak już jesteś taki bystry, to widzisz, że nos i, policzki też nie moje. No i leżysz, bratku.

– Ale o co chodzi? Jeśli o Monikę, to ja naprawdę... – urywa. Nie wie, kim jest dla panny Leybel ów atletycznie zbudowany mężczyzna. Szef jakiegoś gangu? Takie uderzenia pokazują na filmach, ale żeby w życiu?

– Naprawdę – przedrzeźnia go obcy. – Co naprawdę? Zbroiłem i już nie będę? Trzeba teraz wypić piwo, które się nawarzyło.

Marek z trudem dławi nerwowo chichot. Czyżby sprawa była aż tak przeraźliwie banalna? W jego rodzinnym domu odzywka o piwie w odniesieniu do dwojga ludzi przeciwnej płci miała sens jednoznaczny. Tylko dlaczego tak? Od razu bicie? Nie mogła mu sama powiedzieć?

Jakoś by wykombinował te tysiąc dwieście czy ile to kosztuje.

Atleta jakby nie widząc jego rozluźnienia sięgnął do kieszeni i położył na stoliku rolkę filmu.

– Obejrzyj sobie – nakazał. – Na pewno chętnie takie rzeczy oglądasz, co, świntuszk?

– Co pan... co za pomysły.

– Ale robić to lubisz, nie? No, jazda, bo się pogniwam – ponaglił.

Marek sięgnął po celuloidową taśmę. Kolor? Tak, to diapozytywy. Rozwinął w górze pod światło lampy. Początkowo myślał, że nieznajomy dla siebie tylko wiadomych powodów każe mu oglądać zwykłe porno. Przyjrzał się uważniej. No tak... Opuścił ręce czując gwałtowne łomotanie w skroniach. A to suka... To dlatego zapaliła wszystkie światła. Zacisnął dłonie, jakby chcąc zniszczyć kompromitujące obrazki.

– Nie bądź idiota – dotarł do niego głuchy głos. – To kopia.

– Fotomontaż – pisnął łamiącym się falsetem.

– A to też?

Coś pacnęło o politurowany blat stolika. Fotogram. Kolorowa odbitka dużego formatu. Tak, takie ujęcie absolutnie wykluczało jakiegokolwiek wątpliwości. To jego twarz, jego wargi, dołek w podbródku. Przyłapał się na głupiej myśli: gdzie były ukryte aparaty? Przemknął oczami po tak dobrze znanym wnętrzu. Jak mógł na to nie wpaść! Śmieszne pseudoludowe makatki z jeleniem i nimfami, obciążone na drewnianych ramach.

- Co pan chce ode mnie? – powtórzył.
- Ja? Pomyśl chwilę, zanim coś powiesz. To ty chcesz. Bardzo chcesz. Jak niczego innego w całym życiu – syczał tamten tonem hipnotyzera.
- Czego? – bąknął, choć odpowiedź mógł przewidzieć.
- Żeby zniszczyć filmy, kopie, odbitki, cały komplet. Żeby stąd wyjść, wrócić do domu i żeby wszystko okazało się, przykrym snem. Zgadza się? A przede wszystkim, żeby się żona nie dowiedziała. I szanowna teściowa.
- Przechytrzył pan – spróbował ataku. – Wcale mi na nich nie zależy. Niech im pan to pokaże.
- Im? I komu jeszcze? – ciągnął tamten niezrażony jego słowami. – Kopii mamy dużo. Obsłużymy wszystkie teatry, estrady, a także kuratorium, które wpuszczało na poranki do szkół obywatela pozującego do zakazanych zdjęć. I staruszek Zagrodzki się ucieszy, i cała rodzina po kolei. Starczy?
- Powiedzmy – opanował się na tyle, by mówić spokojnie. – Co jest grane?
- O, widzisz, chłopysiu – ucieszył się grubas. – Tak to możemy rozmawiać. Zwłaszcza że dam ci coś do wyboru.
- Jak w rajcu?
- Nie odgrzewaj starych dowcipów. Teraz poważnie, bo do tej pory sobie żartowaliśmy. – Po raz pierwszy od początku rozmowy nieznajomy usiadł. – Ja gram uczciwie. Zrobisz dla mnie jedną małą rzecz, po czym, tak jak ci Monika obiecała, wyjedziesz na Zachód i zostaniesz dobrze ustawiony. Albo... – wskazał ręką na taśmę filmu

zwisającą po obu stronach stołu. – Przysługa i jesteśmy kwita. Albo będziesz skończony. Masz trzy dni do namysłu.

– Wypuści mnie pan? – zdziwił się Marek.

– A co, myślałeś, że ci będę ucinał po kawałku? – grubas wykrzywił twarz w wulgarnym grymasie. – Zjeżdżaj do domu. Ja cię sam znajdę. I nie próbuj sztuczek.

Gdy znalazł się na ulicy, w pierwszej chwili ogarnęła go ulga i zdumienie. Ulga, że nareszcie jest sam, wolny, może iść, może stanąć i nikt na niego nie krzyczy. Zdumienie, że ciągle jest ten sam dzień, co rano, że minęła zaledwie godzina, dokoła tłumy ludzi, wszystko jak zwykle. W ostatniej chwili zawrócił spod domu. Byłby przyszedł za wcześnie. Skręcił w najbliższą przecznicę. Co teraz? Czy jest jakieś wyjście? Niewątpliwie wpadł. Mógł wcześniej zacząć myśleć. Od początku. Powinien wiedzieć, że żadna dziewczyna nie zaczepi obcego mężczyzny, ot, tak bezinteresownie. Owszem, bywają takie, które się dają podrywać. Ale w ten sposób?

Pójdzie na milicję. Poprosi o dyskrecję. Powie, że... Właściwie co powie? Konkretnie. Szantaż? Ale czego dotyczy? Nie umiałby odpowiedzieć na najprostsze pytanie. Czy Monique Leybel to prawdziwe nazwisko? Gdzie i z czego się doktoryzuje? Na jakiej zasadzie tu przebywa? U kogo? W tych wielkich blokach Za Żelazną Bramą nie ma spisów lokatorów. Zresztą dobrana para prawdopodobnie ulotniła się z, lokalu. No dobrze, więc nie pójdzie na milicję. Ale za to odmówi facetowi i poczeka na skutki.

Albo od razu, nie czekając na skutki, wyjedzie. Tak, tak będzie najlepiej. Zakopie się gdzieś na prowincji. Jakąś pracę zawsze znajdzie. Żona wpadła w histerię, do teściowej trzeba było wzywać pogotowie. Ale przecież nie mógł wyjść bez niczego. To była zima. Fala mrozów niespotykanych od pięciu lat. Musiał wziąć do walizki najniezbędniejsze rzeczy. Wymknął się chyłkiem, za plecami lekarza z pogotowia, bez pożegnania. Dotarł na piechotę do Dworca Centralnego. Jakie to szczęście, że ma jeszcze przy sobie ostatnią pięćsetkę od Moniki. Starczy na bilet i zostanie parę groszy. Najbliższy pociąg odchodzi za pół godziny. Pusty peron o gładkiej, jakby śliskiej nawierzchni, nieprzytulna poczekalnia jak akwarium. Wraca, do głównej hali, gapi się na ekrany telewizyjne, staje przed pulpitem automatycznej informacji o rozkładzie jazdy. W pewnej chwili czuje, jak ktoś wrywa mu walizkę. Odwraca się. Błysnęły lustrzane okulary. Odruchowo zaciska palce na uchwycie.

– Będę krzyczał! Puść pan! – jęczy i rozgląda się. Nikt nie zwraca na nich uwagi.

– Krzycz, bratku – syczy tamten. – Niech się zlecą gliny z całego miasta. A ja tylko zapytam, skąd miałeś pieniądze na bilet? Mamy wszystko zanotowane: ile i kiedy. No?

Marek rezygnuje z oporu. Istotnie, niemal zapomniał o sumach, które dostawał. Bezwolnie wlecze się za prześladowcą, dźwigając bezużyteczny ciężar. Idą podziemnymi jasnymi korytarzami, schodami w dół i w górę. Wreszcie są na remontowanym peronie Dworca Śródmieście.

Grubas, ubrany w kozuch i wielką czapę, poleca mu wykupić bilet. Pierwszym pociągiem podjeżdżają dwa przystanki. Pusty, zaśnieżony peron, owiewany mroźnymi podmuchami. Nie opodał wymarła korona Stadionu Dzieśięciolecia.

– No – mruczy niski po długim milczeniu – tu nam nikt nie będzie przeszkadzał. Teraz ci powiem, że wpadłeś gorzej niż myślałeś. Wiesz, ile wzięłeś od Moniki?

– Nie pamiętam dokładnie.

– Łatwo przyszło, łatwo poszło? Rewersy podpisywałeś?

– Miałem zamiar oddać.

– No to zobacz – rozwija mu przed oczyma jakąś kartkę. Literki skaczą w zapadającym zmierzchu. Ledwie może przeczytać. Rozumie słowa, ale treść nie bardzo dociera. Udzielał płatnych informacji na zlecenie obcego wywiadu? Kto? On, Marek Byrda?

– Co za bzdury! – mówi głośno. – Kto w to uwierzy? Wbrew mojej woli umieszczono podpis pod tekstem dopisanym później.

– Może to nieprawda? Przecież opowiadałeś, gdzie byłeś na ćwiczeniach wojskowych, jakie urzędnienia obsługiwałeś, jakiego typu jednostki stacjonowały w okolicy. A te kawały o dowódcach, z wymienieniem nazwisk i funkcji? A przygody na manewrach? Mam przypomnieć, które jechaliście na poligon, podporuczniku rezerwy?

Marek próbuje ostatniej szansy.

– To jakieś nieporozumienie – bąka bez przekonania. – Gdzie dowody?

– W bezpiecznym miejscu – ripostuje natychmiast grubas. – Ostrzegam cię po raz ostatni. Jeden fałszywy ruch i taśmy z nagraniami zostaną wysłane do odpowiedniej instytucji. Spokojnie – dodaje groźnie, widząc, że młody człowiek z nadzieją patrzy na dwóch sokistów idących sąsiednim peronem. – Już za późno. Jeśli mnie wsadzą, to razem z tobą.

To już koniec, myśli Byrda. Najniższy nawet wyrok oznacza przekreślenie wszelkich życiowych szans. Przy najmniej w jego mniemaniu. Znienawidzony kąk u teściowej wydaje mu się w tej chwili bezpieczną przystanią. A jeśli istotnie ci ludzie pomogą mu wyjechać?

– Powiedzmy, że się zgodzę – zaczyna innym tonem. – Jaką mam gwarancję, że pan... że wy dotrzymacie obietnicy?

– Widzę, że zmądrzałeś – mówi tamten niemal ciepło. – My zawsze dotrzymujemy słowa. Teraz omówimy całą sprawę. Będziesz spokojnie czekał. Pewnego dnia otrzymasz imienne zaproszenie na pobyt we Francji.

– Tylko nie do domu!

– Dobrze, podasz adres. Zaproszenie będzie sygnałem, że wszystko gra. Wtedy przystąpisz do działania. Złożysz podanie o paszport, zaczniesz załatwiać wizy, promesę, przydział dewiz i tak dalej. Przygotuj sobie legendę, skąd znasz zapraszającą cię osobę. Tak na wszelki wypadek. A

najważniejsza robota czeka cię w lipcu. Będziesz miał wtedy za sobą wszelkie formalności i paszport w ręku. Po wykonaniu zadania wsiądziesz w samolot i tyle cię widzieli. To chyba uczciwa umowa? Gdzie tu widzisz możliwość wykiwania?

Byrda słucha uważnie całej przemowy. Tak, to ma ręce i nogi. Chwileczkę, co on powiedział? Kiedy?

– W lipcu? – dziwi się głośno. – Czy to znaczy, że muszę się wycofać... – uświadamia sobie, że obcy może nie wiedzieć o jego kontrakcie. – Dostałem rolę w filmie reżysera Leśniewskiego – wyjaśnia. – Zdjęcia właśnie w lipcu. Tak przynajmniej miałem podane.

– Ależ wszystko w porządku – grubas ze śmiechem klepie go w plecy. – Właśnie chodzi o wymienionego przez ciebie pana. A szczegóły podamy w ostatniej chwili. Żeby ci tymczasem co do głowy nie strzeliło...

Kapitan Pruszek był wzburzony.

– Popełniliśmy chyba jakiś zasadniczy błąd – mówił do Marty. Właśnie przed chwilą wrócił z ruin zamkowych. Z powodu deszczu nie było w nich żywego ducha. Wszelkie wycieczki były na okres zdjęć wstrzymane.

– Ja też? – Bednarzówna usiłowała rozszyfrować zakres odpowiedzialności. – I przestań latać po pokoju.

– Dobrze, niech ci będzie. – Przysiadł na brzeжку krzesła i sięgnął po turystyczną torbę, z którą zawsze tu

chodził, demonstrując ciekawskim zestaw przyrządów do analizy próbek porostów i narośli grzybiastych. – Nie ty, tylko my, tacy niby starzy wyjadacze. Zobacz, co znalazłem. Tylko cicho – uprzedził jej okrzyk na widok przedmiotu wyjętego z torby.

– Co to jest? – zapytała odruchowo, choć wątpliwości mieć nie powinna.

– Nie uczyli cię tego na przeszkoleniu?

– Uczyli. To wygląda jak pistolet z tłumikiem.

– Świetnie. Przy okazji wreszcie jakiś dowód, jakiś punkt zaczepienia.

– Dowód? Na co?

– Obejrzyj sobie.

Nieufnie wzięła broń do ręki, celując lufą w kąt pokoju, potem przybliżyła pistolet do oczu usiłując znaleźć jakiś napis czy znak fabryczny.

– Tak nic nie zobaczysz – uśmiechnął się Pruszek. – Nawet numer został spiłowany, no ale to nie problem, wyjdzie w podczerwieni. Nie poznajesz marki?

Pokręciła głową w niemym przeczeniu i odłożyła broń na stół, wycierając pobrudzone oliwą palce.

– Gdzie to znalazłeś?

– Zaraz ci powiem. To jest włoska „Beretta” z nakręconym tłumikiem, idealna na krótki dystans. A gdzie? Pamiętasz tę sławetną kryptę?

– No oczywiście. Po tylu dniach zdjęciowych...

– Gdzie na ogół stawał Leśniewski?

– Jak zwykle, z tyłu na kamerą. Przy kuble.

– Gdzie?

– No, przy tym dużym reflektorze z filtrem. Koło kolumny – uściśliła.

– No właśnie. Koło kolumny. Tak myślałem - Pruszek schował pistolet do stojącego pod łóżkiem nesesera. – Na razie – dodał – i tak go tu nie zostawię, trzeba przekazać ekspertom.

– Co z tą kolumną? – wypytywała zaciekawiona, oglądając się na drzwi podczas manipulacji kapitana. Na korytarzu panowała jednał niczym nie zmącona cisza.

– Jest pusta w środku.

– Co?

– Tak. Tylko tyle. Wejścia jednak żadnego nie wypatrzyłem, jedynie mały otwór, akurat na włożenie lufy tej zabawki – wskazał ruchem głowy widoczny spod łóżka neseser. – I wąska szpara na wysokości oczu, żeby sprawca widział do kogo strzela. Dojście do wnętrza kolumny musi być gdzie indziej, jakiś podkop, kanał. Nie wiem jeszcze, co i gdzie

– Mój sen... – westchnęła Marta.

– Słucham? A tak, opowiadałaś mi. W sny nie wierzę. Bzdura. Obszedłem cały zamek dookoła. W miejscu, do którego nikt do tej pory nie zajrzał, tam gdzie jest rumowisko po drugie baszcie, tej zwalonej, od strony lasu odkryłem zasypany kamieniami niewielki właz. Gdybym nie szukał właśnie czegoś takiego, mógłbym przejść tamtędy dziesięć razy i nie zauważyć. Deszcz oczywiście dokładnie rozmył wszelkie ślady, ale i tak, jak przypuszczam, nie

byłyby one dość świeże. Broń, jak widziałas, jest nie rozkonserwowana. Prawdopodobnie leżała tam od dłuższego czasu. Pod zamkiem są stare lochy, ale przejście do kolumny musiano przekopać. Sama kolumna też mi wygląda na niedawno spreparowaną.

– Norbert! – wypaliła przerywając kapitanowi.

– Dlaczego?

– On tu był w maju, budował dekoracje.

– Tak, wiem, te słynne blanki, uzupełnienia murów i most zwodzony. Ale przecież nie był tu sam.

– Oczywiście – przyznała.

– No widzisz. Nowa robota. Kto tu wtedy pracował, kto miał dostęp do krypty. Ale, ale, właśnie w tej sprawie... – Pruszek przyjrzał się Marcie uważnie. – Musisz koniecznie coś wymyślić.

– Co mianowicie?

– Leśniewski nie może już więcej zejść do krypty. Oczywiście ten właz, który odkryłem, będzie pod obserwacją, ale nie sposób teraz przetrząsać całych ruin i podziemi. Nie możemy na ślepo zakładać, że dojdzie pod kolumnę jest tylko jedno.

– Wykluczone. Lepiej od razu idź i powiedz, kim jesteś.

– Komu?

– No, jak tylko wróci. Bo chyba wróci?

– Tak, znalazł się. Już go nasi pilotują od samej Łodzi.

Stąd wniosek, że sceny w krypcie nie zostały dokończone?

– Nie. Naprzód była awantura z Krystyną, a potem deszcz. Nic z tego – zasepiła się

– Nie, ujawnić się nie wolno – nawiązał do jej poprzednich słów i wyciągnął neseser spod łóżka. – Idę z tym do Adama, razem coś na pewno wymyślimy. W razie czego od niego porozumiem się z Centralą. Tylko że – spojrzał na zegarek – na ciebie przypadnie seans łączności o dziesiątej. Poradzisz sobie?

– Chyba tak. W końcu robiłam to już pod twoim kierunkiem.

– W porządku. A w ogóle – kapitan zawahał się – właściwie zaczynamy od początku

– Nie rozumiem... – słuchała nieuważnie, wzdrygając się na myśl o konieczności wyjścia w ulewę.

– Teraz już nieteoretycznie musimy wziąć pod uwagę znacznie więcej możliwości. Nóż, łom, kastet, trucizna, upozorowany wypadek, jednym słowem wszystko, co tylko ludzie wymyślili w tej dziedzinie.

– Tak, tak, oczywiście – potaknęła – ale byłoby jej trudno powtórzyć słowa zwierzchnika. – Czy naprawdę muszę iść do lasu? – wypowiedziała myśl w tej chwili dla niej najważniejszą.

Pruszek spojrział na zmoczone deszczem szyby. Pojął jej rozterkę.

– Właściwie nie. To tylko parę słów. Powiesz po prostu, że zaraz się do nich sam odezwę na rezerwowym

kanale. Na wszelki wypadek nastaw sobie radio – wskazał stojący na nocnym stoliku tranzystorowy odbiornik. No to idę.

– Pamiętaj o liście – przypomniała Marta na pożegnaniu.

ROZDZIAŁ KI

„Mein lieber Sohn!

Wybacz staremu ojcu, że naraża Cię na odcyfrowywanie gotyku, ale jak ci zapewne wiadomo, tak mnie kiedyś nauczono i chyba nie potrafiłbym inaczej. Podobno Twoja praca wymaga ciągłych podróży, toteż ponieważ nie wiem, kiedy ten list do ciebie dotrze, piszę już teraz, byś mógł przygotować się odpowiednio na to, co tu zastaniesz. Spędziłeś wówczas u nas zaledwie jeden dzień i chociaż z rzadka pisujemy do siebie, pewne sprawy wymagają dodatkowych wyjaśnień. Otóż po pierwsze, zachowanie się Hildy podczas Twojej wizyty mogło Cię zmylić i wzbudzić niejaki wątpliwości. Bo oto, co mogłeś pomyśleć: z jednej strony stary, schorowany, stojący nad grobem człowiek wzywa Cię, byś przybył, rzucił całe dotychczasowe życie, bliskich, przyjaciół, ciekawą pracę i był z nim, aby gdy odda ducha Bogu, zamknąć mu powieki. Z drugiej zaś zastajesz przy nim stosunkowo młodą jeszcze, bo zaledwie o dziewięć lat starszą od Ciebie żonę, osobę energiczną i pełną życia, na pozór troskliwą, czułą i oddaną. Takie

przynajmniej mogła na Tobie, mój Synu, wyrzucić wrażenie Niestety, z bólem serca muszę Ci wyznać, że zagrała przed Tobą komedię. Jak wiesz, niedługo, jeśli oczywiście dobry Bóg pozwoli doczekać tej chwili, minie ćwierć wieku naszego małżeństwa. Trzecia żona jest więc ze mną najdłużej. O wiele za długo wedle jej mniemania. Nieraz w gniewie krzyczała, że wreszcie mógłbym się wynieść na tamten świat. Piszę to ze wstydem, ale taka jest gorzka prawda. Abyś mógł to pojąć, jestem zmuszony obnażyć przed Tobą korzenie naszego związku, chociaż właściwie mógłbym tego nie robić jako że już złożyłeś prośbę o wyjazd i nie od nas obu teraz zależy, kiedy tu zawitasz. Ja przynajmniej mam tę cichą nadzieję, iż stanie się to niebawem, bo przeszkód natury proceduralnej od marca już nie ma. Atoli całe moje długie życie starałem się iść drogą tak prostą, jak na to pozwalały okoliczności, a uczciwość była mi owym światełkiem w mroku, o którym tak pięknie mówi nasz wielki poeta. Toteż chociaż dłoń odmawia mi posłuszeństwa, przymuszam ją, by wyjawiała Ci to, co dotąd było przed Tobą zakryte. A więc dowiedz się, mój drogi Jerzy (skoro wolisz, bym tak Cię nazywał), że oboje z Hildą doznaliśmy wobec siebie rozczarowania. Ja wziąłem ją dosłownie z ulicy. Nie mogła znaleźć pracy, przy mierzała głodem, była nędznie odziana i wynajmowała jakiś kąt w okropnej portowej melinie W Lubece. Nasze państwo było młode, miało niecały rok i jeszcze nie dla

wszystkich otworzyła się szansa. Ja powolutku zaczynałem dopiero rozkręcać swoją niewielką podówczas firmę. Potrzebowałem zaufanej osoby do prowadzenia ksiąg. Hilda spadła mi jak z nieba. Uwierzyłem bez zastrzeżeń w jej opowieść o zamęczonym w Buchenwaldzie ojcu, czerwonym dokerze z Hamburga, i braciach, którzy przedostali się do „strefy”, jak to wtedy mawiano. Uwierzyłem, że ich działalność zaszkodziła młodziutkiej, bo zaledwie dziewiętnastoletniej dziewczynie. Jej oczy były takie szczerze... Po dwóch latach przestała pracować w biurze mojej firmy. Została moją żoną, a mnie się wydawało, że Pana Boga za nogi złapałem. Przecież dobiegałem już pięćdziesiątki. Jakże gorzko teraz żałuję, iż nie słucałem życzliwych, spieszących z dobrą radą i przestrogą. Dzierlatka nigdy nie wyjdzie za starca bezinteresownie, mówili, a ja śmiałem im się w nos. Ani siebie nie miałem za starca, ani jej za jakąś Zuzannę. Dopiero w wiele, wiele lat później odkryłem ze zgrozą, że mieli rację, że smutne położenie Hildy, w jakim ją znalazłem, bynajmniej nie było spowodowane politycznymi szykanami. Tylko błagam, mój drogi, jeżeli możesz, uszanuj moje siwe włosy i spełnij ojcowską prośbę: nigdy nie daj jej odczuć, że zostałeś przeze mnie poinformowany...”

Drobne, nierówne znaczki migają przed oczyma. Jerzy odkłada cienką szeleszczącą kartkę i wzrusza ramionami. Biedny staruch, który jakimś trafem jest jego ojcem. Robi straszliwą tajemnicę ze sprawy, o której dawno wie cała

rodzina i nad którą dawno przeszła do porządku. Przepędzona z Sankt Pauli przez konkurentki uliczna dziwka? No i cóż z tego, skoro potem nie wróciła do zajęcia być może rzeczywiście zrodzonego z powojennej nędzy. W końcu musiała z czegoś żyć. A że na użytek starszego pana wymyśliła bajeczkę o rzekomych „czerwonych braciszkach”? A co miała mówić? Prawdę... Tylko którą, bo on sam, Jerzy Henke, zna co najmniej dwie wersje, z których w dodatku żadna nie musi odpowiadać rzeczywistości. Pierwszą, że zginęli bohatersko für Führer und Vaterland na gruzach kancelarii Trzeciej Rzeszy, i drugą, szeptaną na ucho, iż żyją sobie, gdzieś nad Amazonką czy w innym zakątku, i to nieźle żyją...

Swoją drogą dziwny człowiek, ten jego ojciec. Żyje już tak przeraźliwie długo, że można by wykroić z jego życiorysu ze trzy, na pierwszy rzut oka nie mające ze sobą nic wspólnego. Do Nocy Długich Noży cieszył się sławą adwokata nie tylko obrotnego i świetnie znającego rozmaite kruczki weimarskiej legislatury, ale i mocno liberalnego. Kto wie, czy nawet nie był cichym sympatykiem komunistów, bo tak zajadle bronił ich spraw po styczniu 1933 w sytuacjach niemal beznadziejnych. A potem, cztery lata po dojściu Hitlera do władzy, słynny mecenas nagle znalazł się na zesłaniu, bo jak inaczej nazwać przeniesienie do jakiejś zapadłej miejsciny w Prusach Wschodnich. W dodatku znalazł się tam samotnie. Trzynastoletni wówczas syn Jochen został w Norymberdze, przy matce. Wkrótce

załatwiono oficjalny rozwód, co było wtedy rzadkością. Rasowy Aryjczyk nie uznawał rozwodów. Ponadto, jakby nie dość było owego zesłania, w przeddzień wrześniowej wojny Henke senior, już jako mężczyzna trzydziestopięcioletni, został wcielony do Wehrmachtu. Zrzucił mundur dopiero po sześciu latach, w randze majora, choć bez żadnych znaczących odznaczeń. Albo mu się rzeczywiście nie wiodło gdzieś na tyłach, albo ciążył na nim fakt, że nie należał do NSDAP. I chyba dzięki temu, powołując się zapewne na swą przeszłość w latach Republiki Weimarskiej, szybko wyplął w Bundesrepublik Nie był już ani prawnikiem, ani wojskowym. Jego firma budowlana robiła kokosy.

„Potem los znów mnie rzucił w okolice Rastemburka Stacjonowałem niedaleko miejsca, gdzie później ulokowano w lasach Wolfschanze. Kwaterę miałem wyznaczoną w domu samotnej kobiety. Była nieco starsza ode mnie. Usiłowałem dociec, kim jest. Tutejsza, mówiła. A więc Niemka? Nie, zaprzeczała gorąco dialektem niewątpliwie niemieckim. Pewnego wieczoru przypadkowo podsłuchałem przez cienką ścianę, jak rozmawia z sąsiadką. To nie był nasz język. Nie rozumiałem ani słowa. Ale następnego dnia na pytanie, czy jest Polką, również zaprzeczyła, po czym wdała się w niezbyt wówczas rozumiałe dla mnie wyjaśnienia, na czym polega jej „tutejszość”. Zresztą nie przywiązywałem do tego wagi. Zwłaszcza że wkrótce byliśmy już ze sobą. Gdy po paru miesiącach odkryła swój stan, wpadła w rozpacz. Z trudem namówiłem ją, żeby dla

dobra przyszłego dziecka podpisała listę narodowościową, co wtedy było jeszcze wyróżnieniem, nie przymusem, jak pod koniec. Miałem spore nieprzyjemności za wzięcie z nią ślubu. Gdy przyszedłeś na świat, już od miesiąca coraz to nowe dywizje ciągnęły na wschód. Musiałem iść i ja. Co było dalej, chyba wiesz”.

Tak, wiedział, chociaż matki nie pamiętał, lecz często odwiedzał jej grób wraz z babką, która go chowała. Początkowo cierpiał niewymownie. W szkole stał na uboczu gromady, odpędzany przez kolegów. Gdyby nie podtrzymująca go na duchu babka, chyba nie skończyłby nawet podstawówki. Oczywiście powiedziała mu, kim był jego ojciec. Musiała powiedzieć. A nuż, mimo że nie daje znaku życia, odezwie się, upomni o syna? Początkowo rozumiał tylko tyle, że ów sprawca jego narodzin jest Niemcem. A z tym słowem kojarzył wszystko co najgorsze. Prawda o przyczynie śmierci jego matki została mu wyjawiona przez okrutnych kolegów tak wcześnie, że nie ogarniał jej grozy. Czuł intuicyjnie, że to coś strasznego, że wycofujący się maruderzy z trupimi czaszkami na czapkach nie dokonali zwykłego zabójstwa. Podobno znaleziono go nazajutrz, jak osłabły z głodu i pragnienia leżał skulony obok obdartego do naga trupa, a sam przeżył tylko dlatego, że na widok nadciągających od łąk obcych kazała mu ukryć się głęboko w drewnitni, za sągami przygotowanymi na opał. Podobno, gdyż nic z tego nie pamiętał, a przebieg zajścia odtworzyli sąsiedzi na podstawie oględzin

miejsca. Niektórzy słyszeli również strzępy rozmowy zawodolonych z siebie sprawców.

Miał już szesnaście lat, gdy po raz pierwszy zobaczył ojca. Wracał ze szkoły, z daleka wypatrzył przed domem babki rzadko wtedy widywany w okolicy samochód osobowy. Nim wszedł do izby, odgadł, ale bronił się przed oczywistością faktów. Stał chwilę w progu ze spuszczoną głową, starając się nie patrzeć na obcego mężczyznę. Ten starszy człowiek ma być jego ojcem? W pewnej chwili nie wytrzymał. Odwrócił się na pięcie i wypadł na podwórze, byle dalej. Ucieknie w świat. Po pięciu dniach miał dosyć głodówki, chłodu, chowania się na widok milicyjnych mundurów. Jakoś nie trafił na braci ze szlaku, wagabundów życie spędzających w ciągłych rajzach, przekazujących sobie adresy melin i bezpieczne trasy. Sam się zgłosił. Trafił na rozsądną kobietę z gwiazdkami kapitana na naramiennikach. Opowiedział jej o sobie wszystko, prosił, by go nie oddawano babce. Ale nie było innej możliwości. Musiał wrócić. Głęboko zapadły w pamięć słowa, które wówczas usłyszał od pani kapitan. Że są różni Niemcy. Zrazu buntował się. Powoli przyszło zapomnienie, dojrzałość, zrozumienie

„Doceniam Twój charakter, mój Synu, i dlatego moja prośba jest jedynie kaprysem starca. Nie będę Cię zachęcał w sposób niegodny ani mnie, ani Ciebie. Nie obiecuję Ci dostatku. Z tym, co przypadnie Ci na mocy testamentu, uczynisz, co zechcesz. Niemniej zechciej mnie zrozumieć. Hilda jest jeszcze młoda i da sobie radę sama. Ode mnie

dostanie niewiele, jako że jej chciwość i okrucieństwo przynajmniej w ten sposób ukarane być muszą. Jochen wędruje własnymi szlakami, których nigdy nie aprobowałem. Nigdy mnie nie potrzebował i nie sądzę, aby coś się w tym względzie zmieniło. Nie mógłbym spokojnie spoczywać w grobie, gdyby to on miał skorzystać z mojego majątku. Każdy, tylko nie on. Tak więc jedynie Ty mi pozostałeś, a mój list ma Cię utwierdzić w powziętej decyzji. Żyję myślą, że wkrótce się zobaczymy...”

Miał ochotę powtórzyć pytanie, które zadała mu żona po powrocie z Bundesrepublik. „Czego ten stary się boi?” Szczwany lis nie napomknął na piśmie ni słowem, ale podczas bezpośredniej rozmowy drżał mu głos, a ręce latały. I tylko wpatrywał się w drzwi, czy Hilda nie wchodzi. Przyjeźdź koniecznie, nalegał z naciskiem, koniecznie, przecież jesteś moim synem. Ale nie jedynym! – krzyknął w zdenerwowaniu. W starego jakby grom strzelił. Posiniał, chwycił ręką za pierś, tchu nie mógł złapać. Już biegł szukać pomocy. Powstrzymany błagalnym gestem nachylił się przełamując niechęć. Nigdy o nim nie wspominaj, usłyszał, został wyklęty i wydziedziczony. Ale za co? Nie było kogo zapytać. Jochena nie pamiętał, babka też nic nie wiedziała. Jedynym łącznikiem był ojciec, a on milczał. O przyrodnim bracie Jerzy wiedział tylko tyle, że szybko awansował w hierarchii HJ, potem jako młody chłopak wstąpił do partii, był w SS, a wojnę kończył jako dwudziestoletni unterscharführer.

– Wiadomo dwie rzeczy – kończył kapitan Pruszak komentowanie tłumaczonej Marcie fotokopii listu. – A mianowicie: Jochen Henke prawdopodobnie żyje, chociaż usiłowano stworzyć wrażenie, iż zginął w ostatnich godzinach walk w Berlinie. I druga pewna wiadomość: w Europie nie ma osobnika o tych personaliach. Stąd wniosek, że albo działa na drugiej półkuli, albo, co bardziej prawdopodobne, od lat nie występuje pod swoim nazwiskiem. Dodatkowo potwierdza nasze ustalenia wzmianka w tym liście.

– Właśnie – przytaknęła Marta – usiłuję wczuć się w mentalność jego autora.

Szli pod znowu pogodnym niebem nową spacerową trasą, wybraną na chybił trafił tylko dlatego, by nie wydeptywać wciąż tych samych ścieżek. Ta, którą przemierzali tym razem, wiodła zakosami i pętlami stopniowo w górę.

– I do czego doszłaś? – kapitan przerwał przedłużające się milczenie. – Coś ci to nie bardzo idzie.

– Jeżeli człowiek starej daty o poglądach niewątpliwie patriarchalnych wybiera na powiernika i spadkobiercę syna młodszego, o którym w dodatku wie niezbyt dużo i z którym przez całe życie kontakty utrzymywał luźne i sporadyczne, jeśli w liście zupełnie jawnie pozwala sobie na gorzkie uwagi pod adresem pierwородnego, to o czymś świadczy.

– Szalenie odkrywczy wniosek – uśmiechnął się zwierzchnik.

– Nie kpij sobie ze mnie – odrzekła porywczo – nie

jestem specjalistą od tych problemów: Usiłuję logicznie myśleć.

– Dobrze, że chociaż usiłujesz – mruknął Marian ledwo słyszalnie i szybko dodał: – Skoro już wepchnęłaś mnie w korytko wąskiej specjalizacji, powiem, co nam wiadomo. Stary Henke w oczach swych przełożonych nie zdołał się ponoć niczym wyróżnić na froncie wschodnim. Siedział ciągle na tyłach, zajmując się sprawami intendentury. Po wojnie nie udowodniono mu zbrodni ludobójstwa, dlatego gładko przeszedł przez komisję denazyfikacyjną.

– Może nie chciano mu nic udowodnić? – podsunęła nieśmiało, przystając pośrodku gliniastej ścieżki.

Towarzyszący jej mężczyzna spojrział z uznaniem.

– Brawo! Punkt dla ciebie – orzekł z zadowoleniem. – Oficer Wehrmachtu, nie należący do partii hitlerowskiej, w dodatku z piękną kartą obrońcy w procesach w latach nagonki na opozycję, to była zbyt cenna gratka. Panowie alianci woleli przymknąć oczy na wojenną przeszłość człowieka, który mógł się przydać.

– Wobec tego co musiał mieć na sumieniu jego starszy syn, skoro aż został wydziedziczony?

– Może nadal ma?

– Może? Nie chcesz mnie wtajemniczać czy nie wiesz? – dociekała kontynuując szybki marsz. W oddali widać już było niewielką polankę.

– Wybacz, moja droga – mówił do jej pleców – ale wojnę przeżyło kilkaset tysięcy osobników tego pokroju.

Zasłużoną karę poniósł, nikły procent tych, którym za cenę ogromnych starań udowodniono winę w sposób bezapelacyjny. A reszta?

– Pytałam nie o tysiące, lecz o jednego człowieka – rzuciła przez ramię nie zwalniając kroku.

– Dopiero niedawno wszedł w pole naszej obserwacji – przyznał zrównawszy się z Martą, gdyż leśny trakt był teraz szerszy. – Kogoś, kto zaraz po wojnie przywdział inną skórę i być może zmienił powierzchowność, nie tak łatwo odszukać. Na razie wiemy, że stary Henke również zgubił ślad. Jochen zresztą mieszkał po wojnie w Polsce.

– I dopiero teraz to mówisz? Jak to „mieszkał”?

– No, po prostu mieszkał. Dwa lata. Potem uciekł i przepadł bez wieści. W archiwach BND * nie figuruje.

* Bundesnachrichtendienst – Federalna Służba Informacyjna, podstawowy organ kontrwywiadu i wywiadu politycznego w RFN.

Stanęli na polance, która okazała się zwieńczeniem rozległego wzgórza. Dopiero teraz spostrzegli, że wspięli się kilkadziesiąt metrów ponad widniejący w dole hotel „Pod Basztą”. I nie tylko hotel. Kapitan rozejrzał się uważnie po okolicy przykładając lornetkę do oczu.

– Zobacz – powiedział w pewnej chwili. Marta przesunęła okulary na włosy i długo regulowała szkła. – Co widzisz?

– Nic specjalnego – odparła. – Zamkowy dziedziniec. Zapalone reflektory. Ludzi przy pracy. O, chyba Zdanecki stoi przy kamerze. Teraz ktoś wychodzi z lochów. To pewnie Price. Poznaję po stroju.

– I nic więcej? – ponagłał. – Żadnych refleksji? Tak sobie tu stoisz, patrzysz i nic ci do głowy nie przychodzi?

– Bo ja wiem? – odjęła od zażawionych oczu solidny ciężar. – Chyba tyle, że gdybym umiała, mogłabym do nich dorzucić kamieniem.

– Kamieniem! – kapitan złapał się za głowę. – No proszę, taka jest między nami różnica, że ty, jako kobieta, widzisz chmurki, drzewka, kwiatki w lesie i kolorowe mury zamczyska, a ja...

– Jako stuprocentowy mężczyzna – docięła nachmurzona.

– Ja widzę zupełnie co innego – ciągnął nie zwracając uwagi na jej słowa. – A mianowicie świetny punkt obserwacyjny zapewniający skryte dojście oraz doskonałe pole ostrzału. Wystarczy debry karabin snajperski z lunetą. A jednak miałem nosa, żeby tu przyjść.

Marta westchnęła cicho. Patrząc na zadowolonego z odkrycia oficera nie miała serca wypominać, że inicjatywa nowej trasy wyszła od niej.

Krzysztof Sawnor z radością powitał powrót przyjaciela z tajemniczej eskapady. Nie przejął się nawet lekkim zadrapaniem lakieru na błotniku volkswagena, Robert

znany był z tego, że jeździł jak wariat; niestety brawura nie dorównywała umiejętnościom. Muzyk był szczerze zadowolony, że Leśniewski dał mu się namówić na przyjazd do kraju. Tylko jak to się zaczęło? Właściwie dlaczego wystąpił z tą inicjatywą?

Podczas kolejnego pobytu w Kalifornii grał w głośnym klubie jazzowym. Oczywiście z kolegami z zespołu rozmawiali nie tylko o muzyce. Bliżej zaprzyjaźnił się z założycielem ich bigbandu. Nie wiadomo, co tamtych kierowało, ale zaczął Sawнора wyciągać na długie rozmowy. Przycacał różne przykłady. Opowiadał historyjki mrozące krew w żyłach, o życiu w slumsach, o opisywanym przez prasę wypadku, kiedy to szczury zagryzły pozbawione opieki niemowlę.

Popularny w kalifornijskim świątku brodaty Polak po kilku przegadanych wspólnie wieczorach zaczął widzieć otoczenie innymi oczami. Istotnie, nowo poznany przyjaciel, leader ich grupy, miał rację. To nie wolny kraj, lecz dżungla, w której wygrywa silniejszy, a słabszy idzie na dno. Owszem, są tacy, którym się powiodło, ale za ich fortuną kryje się zawsze jakaś zagadka, czyjeś pieniądze lub nawet przejściowy kaprys znudzonej publiczności. Oto dyrygent w kraju długo nie dostrzegany tu nagle wypływa na szerokie wody i zbiera laury, aby już po kilku sezonach znowu runąć w przepaść. Oto zupełnie nie znany scenarzysta z Europy przebojem wdiera się na ekran i po dwóch filmach, okrzyczanych za wydarzenia, traci wszystko przy trzecim, nie trafiając do gustu widowni.

Przykładów z tej łączki jest bez liku. Gwiazdy pojawiają się i gasną. Tylko nieliczni, ułamek procenta tych, którzy z ufnością lądują u brzegów Nowego Świata, potrafią utrzymać się na powierzchni, zawdzięczając swe szczęście bogatym mecenasom. A reszta? Przyjaciół wprowadził Krystiana po miejscach przeniesionych jakby żywcem z dziewiętnastego wieku, po ruderach wyglądających jak majaki chorej wyobraźni, gdzie w zaduchu i brudzie, bez światła i wody, wegetowali ludzie o twarzach przeoranych nędzą, obojętni na wszystko, co do nich z zewnątrz docierało, oczekujący chyba na jedno...

Pewnego wieczoru do klubu, w którym grali, zajrzał niepozornie wyglądający człowieczek. Usiadł cicho w kącie czekając, aż skończą. Sawnor przyjrzał mu się uważnie. Rysy jakby znajome, ale ten strój, ten zgaszony wzrok, te zmarszczki... Może to tylko pozorne podobieństwo? Tamten jakby wyczuwając jego wahanie podszedł bliżej.

– Nie poznajesz mnie, stary? – zagadnął najczystszy nadwiślańskim akcentem.

– Mietek Górka? – Był to pseudonim znanego kilka lat temu w kraju utalentowanego saksofonisty tenorowego, urobiony od niezwyklej wirtuozerii w opanowaniu wysokich tonów.

– Tak, ten sam. Cześć, Krystek. – Uścisnęli sobie dłonie. – Wasz leader powiedział, żebyś tu przyszedł – wyjaśnił tonem usprawiedliwienia.

– Jak to? – Sawnor nie pojął podtekstu. – Grasz w

innym klubie? Bez zaproszenia byś tu nie przyszedł?

– Zaproszenie? – były saksofonista wykrzywił wąskie wargi. – A ty nie musiałeś wybulić wpisowego? Tylko że ciebie stać, nie? Pewnie, słynny Sawnor, gwiazda sezonu.

Przejęty Krystian nie zwracał uwagi na sardoniczny ton dawnego kolegi.

– Wybulić? Sto dolarów to taka suma? Czemu wcześniej nie dałeś znaku życia? Pamiętasz...

– Och, zostaw wspominki – zachnął się tamten. – Sto doliczków nie majątek, jasne, ale zrozum, bracie, ja chcę grać. I nie tylko. Odbębnianie standardów przestało mnie bawić. Pewnie, jak tu przyjechałem, przykleiłem się do takiej zbieraniny. Portorykańczyk, Szwed, trzech Murzynów i ja na przyczepkę. To były nawet fajne chłopaki. Trochę się kłóciliśmy, ale w sumie było niezłe. Tylko ile tak można? Łazęga od dziury do dziury rozklekotaną półciężarówką, brudne salki. Czasem pozwalali mi wejść na solówkę. Publiczność gwizdała. Myślałem, że daję z siebie wszystko. Aż wreszcie jeden z tych czarnych mówi mi wprost, tak i tak, bracie, może u siebie byłeś dobry, ale u nas gra się inaczej. Bardziej nowoczesnie. I z wyczuciem swingu. Rozumiesz, co to znaczy?

Sawnor rozumiał. Mietek był przecież okrzyczany przez krytykę, uznany za jednego z najlepiej swingujących jazzmanów. Ale nad Wisłą, a nie w ojczyźnie jazzu. Sam miał trudności z przestawieniem się na modny obecnie styl, występował publicznie bardzo rzadko, ale ratowały

go kompozycje, gdzie tradycyjne motywy bluesowe rozszalała słowiańska liryka.

– Nie próbowałeś czegoś napisać? – zapytał, niepewny czy nie popełnia nietaktu.

– Ja? Człowieku, ty masz pojęcie! Pozwól. – Bezceremonialnie odepchnął go od elektrycznego fortepianu Fendera, który był sprzężony z syntetyzatorem Mooga. Chwilę trzymał długie palce nad klawiaturą, powieki miał w półprzymknięte. A potem nagle spadł na klawisze jak jastrząb na upatrzoną zwierzynę. Widać było, że kontakt z instrumentem jest dla niego czymś więcej niż odegraniem kawałka muzyki. Salę prób zalały grzmoty dźwięków. Muzycy z zespołu zawrócili spod drzwi, zwabieni już pierwszymi taktami. Sawnor, oszołomiony nawałą decybeli dobrą w jakimś hardrockowym koncercie na wolnym powietrzu, starał się wyczuć konstrukcję utworu, jego metrum i motywy melodyczne. Po pięciu minutach skapitulował. To, co słyszał, nie przypominało niczego znanego, choć jeszcze oscyloowało na pograniczu modernjazzu i współczesnej muzyki symfonicznej z jej atonalnością i pozornym brakiem harmoniki. Kakofonia dynamicznie punktowanych szesnastek narastała z wolna w potężniejące crescendo, ale nie opadała, lecz trwała jak tropikalna nawałnica.

Muzyk oderwał palce od instrumentów. Cisza, która teraz nastąpiła, czyniła wrażenie czegoś nierzeczywistego.

– Słuchaj! – Sawnor podszedł do wirtuoza. – To jest... Nie wiem, jak dla was – zwrócił się do pozostałych – ale

dla mnie to było coś rewelacyjnego. – Przetłumaczył swoje słowa na angielski, tamci przytaknęli z entuzjazmem.

Wyszli na ulicę. Wkrótce jechali samochodem Krystiana w strumieniu innych pojazdów.

– Gdzie cię podrzucie? – zapytał nie odrywając wzroku od jezdni. Wciąż czuł się niepewnie w tym sześciopasmowym nieustającym nurcie.

– Chcesz zobaczyć jak mieszkam? – odparł Mietek głuchym głosem.

– No jasne, tylko mów, jak jechać.

Trochę było z tym kołowania i nieudanych prób zmiany kierunku, ale w końcu wysupłali się z grzmiącego pojazdami highwayu i zanurzyli w labirynt przedmieść Los Angeles, które, jak ktoś złośliwie zauważył, składa się z nich wyłącznie. Dotarli do wielkiego placu, w całości pokrytego równymi rzędami przyczep samochodowych. Każda z nich była podłączona do osobnego ujęcia wody, gazu i elektryczności. Było to całe rozległe miasto na kołach, z uliczkami i centralnym skupiskiem placówek usługowych. Na piechotę doszli do „domku” niczym nie odróżniającego się od innych. Szczupła Mulatka z czupryną „afro”, która przywitała ich przy wejściu, ulotniła się po paru konwencjonalnych zdaniach. Zostali sami.

– Nie próbowałaś tego nagrać? – zagadnął Sawnor, gdy ulokował swoją wysoką postać w ciasnym kącie przyczepy.

– Próbowałem, i co z tego? – burknął ponuro muzyk. – Wiesz, ile kosztuje nagranie? Usiłuję zarobić. Tu się

nauczyłem, że żadna praca nie hańbi. Ale spróbuj ją znaleźć. Miejscowi pobierają zasiłki i jakoś wegetują. Ale ja, obcokrajowiec?

– Nie masz zamiaru wracać? – wypowiedział wówczas głośno po raz pierwszy to, co go nurtowało od dłuższego czasu.

Drobny człowieczek ukrył twarz w dłoniach.

– Ty tego nie zrozumiesz – zaczął po chwili. – Ty nie wiesz, co to znaczy zmienić widzenie, kiedy wszystko obraca się o sto osiemdziesiąt stopni i wali na głowę. Tam, w kraju, czułem się niedoceniony. Ja im pokażę, myślałem. Zobaczą, z kim mieli do czynienia. Brzmi to po szczeniacku, ale nie chodziło mi o forszę. Tu wypłynę, nagram parę longów, zamieszam zdrowo i, bracie, odskok. Tak mi się naiwnie marzyło. Ale wracać tak? Bez niczego? Z pustymi rękoma? – Odjął palce od twarzy i przyjrzał im się uważnie. – Nie czekam na mannę z nieba – ciągnął. – Wywoziłem śmiecie. Czyściłem wychodki. Raz nawet udało mi się zaczepić w prosektorium przy klinice w Utah. Oczywiście jako posługacz do wynoszenia pokrajanych trupów. Nieźle płacili. Ale po tygodniu wyniuchał mnie związek zawodowy. Nie mają pracy dla swoich, ja zabierałem miejsce jakiemuś głodomorowi z szóstką dzieciaków na karku. Masz pojęcie? Z pięciu stanów wysiedlano mnie jako podejrzany element. Niby grzecznie, w rękawiczkach, ale spróbuj tam wrócić.

Wygrużali mnie w szczerym polu i cześć, szukaj szczęścia, byle nie u nas.

Sawnor od paru minut zastanawiał się, w jaki sposób wesprzeć kolegę. Kilka wetkniętych luzem w kieszeń zielonych banknotów niemal parzyło mu ciało.

– Nie jesteś sam – przerwał chwilę milczenia.

Mietek zamrugął powiekami, jakby nie pojmował sensu jego słów.

– Ach, Iris! – uśmiechnął się po sekundzie. – Jesteśmy teraz razem, ale przecież nie mogę jej siedzieć na głowie w nieskończoność. To w końcu jej dom. Przygarnęła mnie wprost ze szlaku. Ona też usiłuje sprzedać swój talent. Ma zadatki na dobrą wokalistkę. Ale takich jak ona jest milion. – Znow pogrążył się w niewesołym rozmyślaniu.

Takich obrazków było więcej. Pod ich wpływem Sawnor niezauważalnie sam dla siebie zaczął do beztruskich pogaduszek z często widywanym Leśniewskim wprowadzać nowe tony. Robert początkowo zbywał go półsłówkami, zmieniał temat, chwilami przyparty do muru wywlekał jakieś zadawnione żale, śmiesznie błahe po tylu latach.

Ale wtedy właśnie James Vilsky przyniósł swój nowy scenariusz. W ogniu dyskusji nad kolejnymi rozdziałami narodziła się myśl, by sekwencję związaną tematycznie ze światem demonów i wampirów, nakręcić w naturalnym plenerze, nie w atelier. I tak od słowa do słowa stanęło na projekcie Krystiana, by odpowiedni obiekt znaleźć w kraju. Sam się potem sobie dziwił, dlaczego tak przy tym obstawał. Ale gdy i producent, i zaprzyjaźnieni właściciele

wytwórni filmowych zaczęli go popierać, był dumny, że to on nakłonił przyjaciela do odwiedzenia starych kątów. I zapewne nawet naprowadzony, w żaden sposób nie skojarzyłby rezultatu swojej akcji z napomknieniami lidera klubu jazzowego.

ROZDZIAŁ XII

Wszystko szło zgodnie z planem. Wprawdzie był agentem do specjalnych zadań, ale w istocie nie wykonywał ich zbyt wiele. Jakoby nie umiano wyszukać godnych jego kwalifikacji. Podnosił je i rozwijał w oczekiwaniu na prawdziwą akcję. Ta była dwustopniowa. W pierwszej fazie miał wyszukać odpowiedni materiał ludzki, jak go poinstruował pewny siebie oficer monachijskiej filii amerykańskiego wywiadu.

– Pańscy szefowie z BND – mówił z nogami na biurku – rekomendują pana jako fachowca wysokiej klasy, w dodatku z dużym doświadczeniem.

– O mojej pozycji świadczy chyba fakt, że mam prawo wyboru – zaakcentował z naciskiem.

– Tak, tak, oczywiście, może się pan nie zgodzić – za-bulgotał tamten gardłowym slangiem. – Zresztą dla takiego asa jak pan – ironizował – sprawa jest dziecinnie łatwa.

I on tak myślał. Błahostka, dobra dla szeregowego pracownika lub nowicjusza mającego się dopiero wykazać. Czuł rozgoryczenie, lekko podszyte strachem: czy to

oznacza, że w oczach przełożonych zaczyna się kończyć? Nim zaczął? Trafiały się w historii wypadki, gdy jakiś zamrożony rezydent był wycofywany z obiegu jako nieprzydatny, bo zdiagnozowano mu okazję do działania, ale nie brał tego do siebie. Mimo przekroczonej pięćdziesiątki mógł, dzięki stałemu treningowi, zakasować niejednego młodziaka, a co ważniejsze, umysł miał chyba bardziej sprawny niż dziesięć lat temu, kiedy to był jedynie podrzędnym wykonawcą cudzych pomysłów. I teraz, po tylu latach przygotowań, taka dziecinada? Bo niby jak inaczej nazwać tę całą hecę. Wyszukać atrakcyjną dziewczynę, która byłaby mu bezwzględnie posłuszna, a przy tym miała dobrą legendę, nie rzucała się w oczy. No i jeszcze jedno: nie mogła mieć przy sobie rodziny, krewnych, bliskich, którzy by zbyt prędko zaczęli ją poszukiwać w wypadku, gdyby sytuacja nakazywała natychmiastową rezygnację z jej usług.

To określenie sam wymyślił. Nie cierpiał słów prostaków, słów topornych i jednoznacznych. Takie na przykład tortury. Co za ohyda. Czy nie lepiej brzmi „czasowa presja celem uzyskania niezbędnych wiadomości”? Przecież język, a zwłaszcza język niemiecki, jest tak bogaty w niuanse, tak przy tym precyzyjny, że dowodem braku ogłady jest używanie szczepliwych jednosylabowych potworków w rodzaju „Tod” czy „Krieg”. Szczególnie w dzisiejszych czasach, kiedy niestety nic już nie jest takie proste i jasne, jak ongi, w dniach wzniosłej młodości. Ale precyzja, elastyczność i szerokie horyzonty przychodzą z wiekiem.

Gdy był młodym, niespełna dwudziestojednoletnim unterscharführerem, płakał z bólu i wściekłości prawdziwymi łzami i już przykładał parabellum do skroni. I nie było to jakieś niegodne Germanina mazgajstwo. Gdy zabrakło wodzów, a świat ginął na jego oczach, po co dalej żyć? Wtedy znalazła się dłoń, która wytrąciła mu pistolet z ręki. Nieważne, kto to był. Ktoś w każdym razie spod znaku trupiej czaszki o znacznie wyższej randze. Ważne, co powiedział: „Führer zginął, bo w dniach decydującej próby wszyscy go opuścili, nawet Goering i Goebbels. Ale idea żyje. Walka nie jest skończona. Kto ją będzie prowadził, jeśli ty, tchórze, palniesz sobie w łeb, nie bacząc na naszą przysięgę”. Przypominał sobie te słowa w wiele lat później, w coraz rzadszych chwilach słabości i zwątpienia.

W pierwszym momencie, wszystko się w nim buntowało. Nie po to tyle lat służył wiernie, nie po to w owe straszne dni pod koniec kwietnia był czterokrotnie ranny w otwartej walce twarzą w twarz, by teraz ukrywać się, zrzucać mundur i udawać pokorę. Prawda, pobłądził w oszłomieniu klęską, chciał tchórzliwie pozbawić się życia, ale może hańbę zmyć krwią. Niech zamiast parabellum da-
dzą mu empi, to nic, że od kilku godzin umilkły wystrzały, pójdzie i zginie z bronią w ręku. Co za dzieciuch, mruknął tamten, niewidoczny w mroku. A tyle jeszcze dobrego możesz zrobić, jesteś taki młody, życie przed tobą. Życie, pokiwał głową ze smutkiem, dla kogo? Nie dla tych, co odeszli, dobiegał szept z ciemności rozrywanej seriami

rakiet na wiwat. Nie dla umarłych ludzi, którzy byli tylko ludźmi, omylnymi śmiertelnikami. Ty musisz żyć dla Wielkich Niemiec. Rozumiesz? Nie dla konającej w agonii Trzeciej Rzeszy. Dla Niemiec, które dopiero trzeba zbudować na gruzach. A kto to będzie robił, jak nie wy, młodzi?

Początkowo wierzył. Oczyma duszy widział potężne mocarstwo, lepsze i zdrowsze, nie targane wewnętrznymi skurczami. Wierzył, gdy mówiono mu, że przyjazne Stany Zjednoczone wplątała w wojnę po niewłaściwej stronie barykady nieodpowiedzialna polityka Roosevelta i grupki jego popleczników. Teraz stary Franklin Delano gryzie ziemię, a władzę uchwycili ludzie myślący o przyszłości. O przyszłości całego świata, a nie o swoich stołkach. Wierzył, a wiara podtrzymywana była namacalnymi dowodami. Wrócił do Bremy jako ostatni nędzarz, z brzuchem przyrośłym do krzyża, w okropnych cywilnych szmatach. A zaledwie po pięciu latach miał własne mieszkanie, służbowy samochód, niezłe apanaże i rój ciągle zmienianych kochanek.

Powrót do Bremy odbył się bez zakłóceń. Na szczęście młody podoficer SS-Leibstandarte od lat nosił panieńskie nazwisko matki, do którego powróciła po rozwodzie. Pierwszemu lepszemu truposzowi podrzuciło się dokumenty Johanna Waldecka i sprawa załatwiona. Zajęty swoimi kłopotami ojciec nawet nie zwrócił uwagi, że jego pierworodny przybył do domu jako Jochen Henke. Może nie wiedział? Przepadł gdzieś w Prusach, potem tyle lat

był na Wschodzie. Gdy podczas krótkich urlopów odwiedzał matkę, w ogóle o ojcu nie rozmawiali. Został, zdawało się, wykreślony z ich życia raz na zawsze. Miał chyba piętnaście lat i już nosił mundur HJ-führera, kiedy zadał jej to pytanie, nurtujące go potem w bezsenne noce: jak mogłaś wyjść za t a k i e g o człowieka? Ty, córka junkra z Meklemburgii, za jakiegoś studenta prawa z Heidelbergu? Przecież nawet nie mogłaś przewidzieć, że zrobi tę swoją okrzychaną pseudokarierę kauzyperdy?

Dostał wówczas w twarz. Skamieniał. Obraziłaś mundur, wycedził ze złośliwym uśmiechem. Czuł się znieważony. Ale po jakimś czasie zaczął rozumieć. Był przecież owocem ich związku. Część winy spadała i na niego. Później wracał do tego tematu jedynie wtedy, gdy chciał jej dokuzyć. Zbywała go półsłówkami. Tymczasem ów znienawidzony rodzic na coś się przydał. Pomógł znaleźć pracę. Pracę, która z założenia była kamuflażem. Stary długo nie miał pojęcia, że podróże Jochena nie służą wyłącznie zatrudniającej go firmie. Czasy były niepewne, ciągle wypełzali z zakamarków ludzie, których trzeba było wyeksponować z Europy, przerzucić za Ocean. Zachodu z tym miał co niemiara, ale też nie działał sam. Skrupulatnie wypełniał polecenia. Pomagał wyrabiać fałszywe dokumenty, organizował pieniądze, lokował podopiecznych na odpływających z Hamburga statkach. W uznaniu zasług skierowano go na przeszkolenie. Stopniowo, na raty, niby to w ramach urlopu, uczył się techniki szyfrów, obsługiwania radiostacji, sporządzania tajnopisów.

Pewnego razu przyłapał ojca, jak z jakimś uciekinierem zza Odry usiłuje dogadać się po polsku. Stary początkowo kręcił, że ot tak, przypadkowo poznał kilka słów, ale wreszcie przyznał, że tam, w Prusach Wschodnich, miał żonę. Tylko żonę? No nie, nie tylko... Masz brata. O mało nie podniósł ręki na ojca, tak go wytrąciła z równowagi ta wiadomość. Na wszelki wypadek przekazał ją swoim miodawcom. Nie okazali zaskoczenia. Wiedzieli. Za to on ze zdumieniem słuchał, co ma zrobić z tym fantem. Ma przywdziać owczą skórę i wyciągnąć jak najwięcej informacji. Po czym otrzymał polecenie: opanować język jak najszybciej. I najlepiej, jak potrafi. To rozkaz.

Usiłował wypełnić go sumiennie. Najpierw intensywny kurs, potem długie konwersacje z pewnym renegatem, który tak zasłużył się swoim w czasie okupacji, że nie miał po co wracać. Wreszcie pojechał na miejsce. Legalnie, jako przyrodni brat. Z listem polecającym od ojca. Nie było to łatwe, przybyszów zza Łaby ze zrozumiałych względów traktowano dość nieufnie. Odczuł to nie ze strony władz, które tylko raz przyjęły do wiadomości jego oświadczenie, lecz w ciągłych pytaniach ludzi, nowych gospodarzy tych ziem. Po co przyjechał, do kogo, co robił podczas wojny? Jak długo ma zamiar pozostać? Wydawało mu się, że jest ciągle obserwowany. Ale nie wpadał w panikę. Nie zlecono mu bowiem żadnych zadań wywiadowczych. Żadnych kontaktów, martwych skrzynek

i „pозdrowień od cioci Berty”. Po prostu nic z tych rzeczy. Tylko aklimatyzacja, szlif językowy, podpatrywanie zwyczajów i suche raporty do ojca: „Małego zastałem w dobrym zdrowiu. Zgodnie z Twoim poleceniem nie wyjawiałem łączącego nas pokrewieństwa. Jego opiekunka nie chce przyjąć od Ciebie pomocy materialnej”.

Udał starania o zmianę obywatelstwa na podstawie opracowanej na ten pobyt legendy: jest synem postępowego działacza z okresu Republiki Weimarskiej, był wprawdzie przymusowo w Wehrmachcie, ale na froncie włoskim. W strefach zachodnich nie podoba mu się zajmowanie niektórych stanowisk przez byłych hitlerowców. Ponieważ z jednym z nich doszło do poważnej awantury, obawia się szykan, dlatego woli tam nie wracać. Nigdy się nie dowiedział, czy ktokolwiek dał wiarę tej bajeczce, ale chwilowo go nie niepokojono. Dostał nawet pracę w okolicach Kętrzyna, w gospodarstwie rolnym powstałym na terenie byłego junkierskiego majątku. Po dwóch latach, gdy uznał, że już biegle włada językiem, wykorzystał pierwszy lepszy pretekst i odpowiednio interpretując zawarte w liście od ojca zdania, wystąpił o pozwolenie na kilkudniowy wyjazd do Bremy. Gdy owe kilka dni minęło, a on nie przejawiał chęci powrotu na Mazury, było jasne, że cała jego historyjką była sprytnie spreparowanym kamuflażem. Jako Jochen Henke był już w Polsce spalony, chyba że usiłowałby przekroczyć zieloną granicę, ale nie

do takiej roboty był przygotowywany

Najgorsze było to, że wciąż nie wiedział, do jakiej. Czuł, że będzie to coś zupełnie ekstra, bo po kilku latach posłano go na specjalistyczny kurs do Stanów Zjednoczonych, oczywiście skrycie i z lewymi papierami. I w tym momencie ojciec stracił go, z oczu na dłuższy czas. Usiłował syna odnaleźć, lecz władze były bezsilne. Owszem, widziano go w którymś z miast portowych nad Morzem Północnym, ale tu ślad się urywa. Były adwokat nie dał się zwieść pozorom i nie bardzo wierzył w nagłą przemianę syna. Czuł, że coś tu śmierdzi, dlatego nie występował o oficjalne uznanie potomka za zmarłego czy zaginionego.

Tymczasem Jochen wrócił wprawdzie do Europy, ale w swoim nowym wcieleniu. Istniała już wtedy Bundesrepublika, lecz na jej terenie celowo nie pojawiał się długie lata. Potem, dla sprawdzenia, wykorzystał pobyt w jego nowej ojczyźnie kilku znajomych z Bremy i Hamburga, specjalnie włożył im w drogę i nawijał się przed oczy Nikomu nawet do głowy nie przyszło, że ten pętający się pod nogami natręt to dobrze im znany Henke junior. I gdyby nie to przypadkowe spotkanie w Bazylei... Czuł, że drogi finansistów mających konta i interesy w renomowanych bankach szwajcarskich muszą się kiedyś skrzyżować, ale był pewien swojej nowej powierzchowności. Jeśliby starszek zachował przytomność umysłu, nic by się nie stało. Ale zamiast stulić uszy i przyjąć do wiadomości, że

zaistniała pomyłka, zaczął jak wariat gonić go po ulicy, targać za rękę i wykrzykiwać naprzód prośby, a potem obelgi. Zwierzchnicy zostali natychmiast poinformowani o incydencie i za jego plecami naśladali do hotelu, gdzie nocował przedsiębiorca z Bremy, swoich ludzi. Czy dostali takie polecenia, czy też przekroczyli je z nadgorliwością, o tym się nigdy nie dowiedział. Dość na tym, że poturbowany zdrowo Henke senior zaciął się w jakimś dzikim, uprze. Po powrocie do domu spisał wkrótce testament, w którym wyrzekł się go i wydziedziczył. O majątek mniejsza, niech się stary udławi, ale takie zerwanie stosunków odcinało go od możliwości powrotu do starej skóry. Przez pewien czas istniała nawet obawa, że ojciec zacznie za nim złośliwie węszyć i publicznie zdemaskuje go, ale na szczęście nic takiego nie nastąpiło. Zresztą byli tacy, co pilnowali tej sprawy. W razie czego – ojciec, nie ojciec, musiałby ulec likwidacji. Jak tyłu innych po drodze.

Nie zawsze bezpośrednio. Na nowym miejscu Jochen ustawiony był jako niezależny przemysłowiec z branży maszynowej. A że nie do wszystkich kontrahentów dostarczał zamówione oficjalnie obrabiarki czy – w latach późniejszych – komputery, to już inna historia. Mówiąc zwięźle, handlował zupełnie czym innym, a moralnie objętne oprzyrządowanie stanowiło wygodny parawan. Swego czasu w krajach Maghrebu działała tajną organizacja o kryptonimie „Czerwona Ręka”. Jej zadaniem było torpedowanie i rozsadzanie od wewnątrz ruchów arabskich

walczących z francuskimi kolonizatorami. Potem w Algierii działała OAS. W Brazylii Legion Śmierci. Na Bliskim Wschodzie – reakcyjni falangiści. W Sudanie – Bracia Muzułmańscy. Ponadto nie było takiego roku, kiedy gdzieś, w jakimś zakątku nie toczyłaby się mniej lub więcej jawna wojna. Nawet wyrzynające się wzajemnie w Rwandzie czy Burundi miejscowe plemiona Hutu i Watusi też nie chciały tego już robić tradycyjnymi maczugami czy dzidami. Ostatnie strzały w Berlinie umilkły dość niespodziewanie dla zachodnich aliantów. Rozkręcona machina wojenna wypluła z siebie takie ilości amunicji, sprzętu i uzbrojenia, że nie zdołano z nich zrobić użytku. Ale tyle dobra nie mogło się zmarnować. Toteż przez pierwsze lata upłynniano remanenty. Jochen doszedł do interesu już później, kiedy rosnące wciąż zapotrzebowanie trzeba było zaspokajać nową produkcją. No, nie taką znowu najnowszą. Każdą armię trzeba co jakiś czas przezbrajać, wsadzać do doskonalszych czołgów, na szybsze samoloty i silniejsze okręty. Ale co robić z tą furą żelastwa, którą właśnie wycofano z koszar i poligonów? Ciąć na złom? Po co, kiedy można na tym nieźle zarobić. Zarabiały jednostki, organizacje, całe korporacje. W latach pięćdziesiątych była to żyła złota. Kupowano za bezcen, sprzedawano z kolosalnym zyskiem. Odbiorcy jeszcze się prosili, licytowali, podbijali ceny. Potem w wielu państwach ten proceder oficjalnie został zakazany. Co nie oznacza – zahamowany. Zakaz wpłynął na wzrost cen,

bo i ryzyko, przedtem prawie żadne, wzrosło niepomier-
nie, i niektóre źródła dostaw niema] wyschły.

Wtedy Jochen otrzymał polecenie wycofania się z tej imprezy. Jakiś czas zajmował się wyłącznie swoimi obra-
biarkami. Badał nowe rynki, nawiązywał kontakty, przy-
gotowywał grunt pod umowy. Potem dostał inne zadanie.
Było to już po roku 1960. W nowo powstających pań-
stwach, przede wszystkim na Czarnym Lądzie, gdzienieg-
dzie sytuacja wymykała się spod kontroli zachodnich kon-
cernów. Dopóki nowe władze nie wtrącały się za bardzo
do ich interesów lub przystawały na rozsądny procent w
podziale dochodów, stosowano tylko naciski ekonomicz-
ne, by uzależnić od siebie słabą i jeszcze prymitywną go-
spodarkę. Ale tu i ówdzie powstawały nowe nurty, obja-
wiały się niebezpieczne tendencje.

Jochen z niekłamanym wzruszeniem wspomina taki oto
obraz: Kongo, listopad 1964 roku. Zapyłona droga wiodą-
ca przez płaską sawannę do widocznego w oddali niewiel-
kiego miasteczka nad rzeką.

Żołnierze ich oddziału jadą sobie wygodnie w jeepach i
na ciężarówkach, ale przysłane przez rząd z Leopoldville
siły posiłkowe drepcą na piechotę. Dziś niezwykła okazja,
bo towarzyszą im włoscy filmowcy, którzy koniecznie
chcą nakręcić zdobywanie miasta. On, Jochen, jest tu nie-
oficjalnie, na prywatne zaproszenie starego przyjaciela.
Miał tylko sprawdzić, czy wszystko gra, czy ludzie mają
co jeść i czym walczyć. Byłoby źle, gdyby jakiś wścibski

pismak wyniuchał, że ceniony przemysłowiec macza palce w dość niewyraźnych sprawkach. Dla takiego choćby „Spiegła” byłaby to gratka nie lada. A po niedawnej rzezi w Stanleyville, kiedy to belgijscy spadochroniarze dosłownie roznieśli powstańczy garnizon, nie można było pozostawać na widoku. Miasto chwilowo było odcięte od świata, samoloty regularnych linii nie lądowały, a wyjechać musiał. Nadarzyła się świetna okazja. Ów stary kumpel, kapitan Siegfried Muller, właśnie jechał ze swoim komandem w busz, na polecenie dowódcy, majora Hoare z RPA. Zniknie z oczu reporterom, a i zobaczy chłopców przy robocie. Niebezpieczeństwo? Zasadzki? Muller, zawsze uśmiechnięty, roześmiał się jeszcze szerzej. Quatsch, bracie, bzdura. Tych paru obdartych dzikusów nie stanowi żadnej groźby. Oni w ogóle nie umieją walczyć. A ich wodzowie, tacy jak Gbenye i Soulamiot, siedzą sobie spokojnie w Dar es-Salaam i kłócą się, który jest prawowitym spadkobiercą Lumumby. Tych facetów z kamerą też się nie obawiaj, nie nakręcą ani metra taśmy bez mojej zgody.

Widocznie teraz ją uzyskali, bo jeden z nich wierci się nerwowo przy statywie ustawionym na wolno sunącym drodze jeepie. O kilkadziesiąt metrów w przodzie widać skuloną na poboczu grupkę. Powstańcy? A kto ich tam wie. Niby za młodzi, ot, trzech chłopczków z wełnistymi czuprynami. Mimo to porucznik Brinks, rasowy Afrykaner o sępiem profilu, unosi się z siedzenia i składa do strzału pistolet maszynowy. Jadący za nim filmowcy krzyczą

coś, gestykują, z włoskiego przechodzą na koślawą angielszczyznę, ale ich ruchy są i tak dostatecznie wymowne: ma chwilę poczekać, aż będą gotowi. Jeszcze kilka sekund Już! Terkot kamery zlewa się w jedno z łoskotem serii z peemu. Chłopcy z wyrazem ogromnego zdziwienia w okrągłych oczach padają w czerwony pył.* No i masz swoją zasadzkę, wybucha śmiechem Siegfried i poprawia uwiązany u gardła żelazny krzyż, z którym się nigdy nie rozstaje. Jochen spogląda na ludzi w ciężarówce. Same pogodne twarze. Po wczorajszym popasie nad rzeką zdołał niektóre z nich dopasować do znanych mu nazwisk. Wielu z nich jego staraniom zawdzięcza korzystny kontrakt, tylko żaden nie ma pojęcia o jego roli w skomplikowanej transakcji.

* Autentyczne.

Tak, to były dobre czasy. Klimat wprawdzie ciężki, ale mięczaków nie przyjmowano. Za to praca lekka, prawie cały czas spacerkiem, co parę dni drobna potyczka, w której tamci nie mieli żadnych szans. Stanie taki wojak wyprostowany jak świeca i wali w niebo cały magazynek, palec na spuście, a oczy mocno zaciśnięte. Wierzą, że sam huk powinien zabijać. Niestety, nie zawsze tak gładko szło. Choćby w tej całej Biafrze. Napchał w ręce Ojukwu gromadę ludzi, chłop w chłopca jak nie były żołnierz Legii Cudzoziemskiej czy weteran z Algierii to uczestnik drugiej wojny, tak jak on czy Muller, który tym razem zwietrzył pismo nosem i nie pojechał. Za to, jego kolega, Renard,

dowodził tylną strażą wycofującego się oddziału, ale sam nie zdążył. Został dosłownie rozerwany na strzępy. Tak, przeredziły się wtedy kadry, a i postarzały co nieco. Do następnych operacji trzeba było werbować nowy, niepewny element. Owszem, po forszę łapę każdy wyciąga, ale jak przyjdzie co do czego, to ich nie ma. Pryskają do mamy i jeszcze obszczekują, jak to ich okrutnie nabrano.

Potem przyszły chude lata. Wietnam się skończył i w ogóle było coś nie tak. A on ciągle czekał na swój wielki dzień. Wlepiali mu drobne robótki, ot, tak, żeby nie wyszedł z wprawy. Niby wspólny rynek i wolny świat, ale konkurencja nie śpi. Zarządowi jego koncernu zamarzyło się pozbawienie konkurentów ich głównej broni, czyli elementu zaskoczenia. To już były czasy czwartej generacji komputerów, liczyły się nawet niewielkie ulepszenia, potrzebne specjalistom od software. To była jego trzecia specjalność, której się wyuczył raczej z nudów. Znów jeździł po świecie, zwłaszcza do Japonii, a jego koncern wprowadzał kolejne innowacje jako pierwszy. Za Łabę też jeździł, ale na razie nie wolno mu było robić nic, co by w jakikolwiek sposób wykraczało poza normalne czynności szanującego się byznesmena. Najwyżej może nawiązać kontakt z kimś pewnym i godnym zaufania. Żeby mieć oparcie. Żadnych nielegalnych transakcji. Po prostu rozmowy przy kieliszku. A że ów osobnik będzie prawdopodobnie kontrolowany? Nie szkodzi. Niech tamci przywykną do myśli, że jowialnemu panu z Zachodu mogą wpaść

do głowy najwyżej jakieś machinacje walutowe. Nic poza tym. Przyjeżdża na parę dni, prowadzi rozmowy z przedstawicielami central handlu zagranicznego, czasem da się przez nich zaprosić na lampkę wina, a raz na parę wizyt organizuje niezbyt długie spotkanie z owym znajomym. O czym rozmawiają? Nie mają nic do ukrywania, siedzą w lokalu czy kawiarni, doskonale widziani i słyszani. Takie ogólne rozmówki o tym i o owym. Żadnych szczegółów, czy wyciągania informacji. Poza tym, jak to mężczyźni w pewnym wieku, pogadają sobie o dziewczętach, ale na poziomie. Nic zdrożnego czy zakazanego.

Owszem, jest jedna sprawa. W wyniku tych rozmów wieczorem do pokoju przemysłowca puka umówiona niewiasta. Cóż, to jego słabostka, jest samotny, bez rodziny. Ale władze byłyby w kłopotcie, gdyby chciały tubylczemu znajomemu udowodnić stręczycielstwo. To za poważny człowiek na takie rzeczy. Od tego są inni. Prawdopodobnie jest jakoś związany z półświatkiem, może ma swoich ludzi, przekazuje im polecenia, ale za rękę nikt go nie złapał. Zresztą przebieg ich spotkań miał za każdym razem, tak podobny scenariusz, że w końcu cofnięto, nawet wrywkową obserwację. Do Polski przyjeżdża tyłu cudzoziemców, nie sposób przydzielić stróża im, ich znajomym i znajomym znajomych. Przecież on kręcił się tu już siedem lat.

Był zrozpaczony. Siedem długich lat i nic, żadnego zadania w tym kraju? Wszak kazano mu uczyć się języka, poznawać zwyczaje, opanować sposób ubierania się

i poruszania tak, by nie zwracać na siebie uwagi, uzupełniać i wzbogacać słownictwo o najnowsze idiomy i zwroty potoczne. A inne umiejętności? Czy w tym celu forsował wiotczące mięśnie intensywnymi treningami? Upadł tak nisko, że zaczął wprost błagać aktualnych przełożonych o jakąś konkretną robotę. Tamci milczeli lub zbywali go ogólnikami. Czuł się coraz gorzej.

I wtedy dostał to zadanie. Jechał wściekły. Co to ma być? Próba sprawności? Lojalności? Pocieszała go myśl, że to tylko akcja wstępna. Preludium, po którym nastąpi właściwy koncert. O tym, jaki będzie jego program, zostanie oddzielnie powiadomiony. Ogólną sytuację znał, nie był zdziwiony. Szefowie mają swoje kłopoty. Afera za aferą, trudno coś zaplanować na dalszą metę. Więc dobrze, znajdzie, kogo trzeba. W tym celu spotkał się z „panem prezesem”, jak starego znajomego tytułują kelnerzy i szatniarze. Jest upalny dzień, siedzą na tarasie kawiarni, od ruchliwego skrzyżowania biją fale hałasu, mimo to rozmawiają niemal szeptem.

– W porządku – kiwa głową prezes. – O której ma do pana przyjść?

Jochen śmieje się z przymusem i rozgląda dyskretnie. Nie są przecież sami.

– Nie, nie rozumiemy się – mówi półgłosem. – Tym razem chodzi o kogoś zupełnie innego. Koszty biorę na siebie. Oczywiście w rozsądnych granicach – dodaje z kupieckiego nawyku.

– To znaczy? – najeża się tamten.

– No... Na początek powiedzmy tysiąc... W zielonych – uzupełnia pospiesznie dostrzegając niedobry błysk w oczach rozmówcy. – A jak sprawa zostanie sfinalizowana pomyślnie, zgodnie z moim życzeniem, reszta sumy.

– Ile?

– Słucham pana propozycji – uprzejmy ukłon. I uśmiech.

Prezes wzrusza ramionami. Czuje przez skórę, że cudzoziemiec wplątuje go w grubszą aferę.

– Nie, ja tak w ciemno nie potrafię – szepcze. – Muszę wiedzieć, o co chodzi. Mam nadzieję, że tę damę nie spotka żadna krzywda.

– Może pan być spokojny. Wszelkie ekscesy wykluczone. Szukam stałego zaczepienia. Bywam tu często, co najmniej raz na kwartał. Przygodne znajomości... – zawieszona głos. – Pan wybaczy, ale w moim wieku przychodzi ochota na cichą przystań. Tyle jest samotnie mieszkających niewiast. Pan rozumie? – mruży oko porozumiewawczo.

Prezes rozważa coś dłuższą chwilę. Nagle podnosi głowę.

– To ma być ktoś spoza... tej profesji? – rzuca domyślnie.

– Zgadł pan. Skromna osóbką, zawsze pod ręką. Pod telefonem, mówiąc konkretnie.

– Ale pan przyjeżdża dość nieregularnie, więc...

– Kontakt za pana pośrednictwem lub przez kogoś zaufanego. Proszę liczyć na moją wdzięczność – mówi Jochen z naciskiem.

– Przepraszam, jednak chciałbym wiedzieć, ja mierzyć ową wdzięczność – przymiła się prezes. Już zdecydował. Rzecz nie pachnie chwilowo kryminałem, lecz wszystko musi mieć swoją cenę. Skalkulował ją i teraz czeka na potwierdzenie.

– To, co mówiłem, pomnożone przez pięć – spływa mu do ucha półgłos cudzoziemca. – Zgoda?

– Osoba, której pan szuka, może nie zechcieć żyć samym oczekiwaniem – udaje wahanie.

– Racja, ale ja miałem na myśli wyłącznie pańską prowizję.

– A, jeśli tak... – rozkłada ręce.

Urywanymi zdaniem omawiają szczegóły. Ma to być kobieta samotna, młoda, inteligentna. Koniecznie musi mieć opanowany obcy język. Samodzielne lokum z telefonem. Żadnych przyjaciółek, znajomości. Zawód? Najlepiej wolny. Może jakaś plastyczka? Dużo czasu, ewentualnie praca domowa. Powoli wyłaniała się z tego sylwetka całkiem konkretna. Tyle tylko, że nawet mającemu przeróżne kontakty prezesowi niełatwo było znaleźć kogoś odpowiadającego tym cechom. Prawdę mówiąc, początkowo wyglądało to, że jego działanie nie przyniesie efektów. Powstawały przeszkody, których obaj wcześniej nie przewidzieli.

Samotnie mieszkających kobiet jest w Warszawie sporo. W tym młodych jednak nikły procent. Własna kawalerka przed trzydziestką? Owszem, bywa. Ale żeby wówczas jej właścicielka była pozbawiona rodziny, kręgu kolegów, przyjaciółek wydzwanających o każdej porze dnia

i nocy? To niby skąd wtedy osobne lokum? Za co? I skąd, skoro pieniądze to jeszcze nie wszystko. No, ale pięć tysięcy dolarów piechotą nie chodzi, warto truche ruszyć głową. Mało to ludzi wyjeżdża na rok, dwa i więcej? Byleby wynaleźć kandydatkę pasującą do zapotrzebowania, a o chatę dla niej będzie łatwiej. Wynaleźć... łatwo powiedzieć. Obcy zastrzegł sobie prawo wyłączności. Dziewczyna ma być tylko dla niego. A więc dewizówki odpadają. A poza nimi która przystanie na taki układ? Zwłaszcza że na amanta nie wygląda: niski, krępy, za samo oblicze można wsadzić bez sądu.

Łamał sobie prezes głowę, choć miał ją nie od parady. Przy następnej wizycie zagranicznego dziwaka rozłożył bezradnie ręce. Puste. Nikogo? Niestety... Chyba że... No? Śmiało! Ma pewien pomysł. Trzeba taką panienkę czymś przywiązać. Najbardziej wyszukane prezenty sprawy nie załatwią. W dodatku zwracają uwagę. Nienotowana, samotna, nagle zaczyna błyszczeć. Ten numer nie przejdzie. Więc? Powiedział, co wymyślił. Wpadł na to w ostatniej chwili. Przypadkowo. Cudzoziemiec zrazu zachnął się i oburzył. Ale nie miał wyjścia. Czas naglił. Dziewczynie, której jeszcze nie znali, jego przełożeni już wyznaczyli zadanie. Niby nie naglące, jednak konkretne. A tu, jak w starej piosence podwórzowej: panny młodej wciąż brak. No, niezupełnie. Ma jedną na oku. Na razie nie nawiązywał znajomości, chciał uzgodnić metodę działania.

Prezes manieri miał i prezencję nienaganną. Taki typ

mężczyzny po czterdziestce, który może się podobać. Był szarmancki i delikatny w obejściu, grosza nie liczył. Po paru dniach zgodziła się, ale tylko na małą kawę. Jochen obserwował ich zza sąsiedniego stolika. Tak, prezes miał gust. Klasa dziewczyna, nawet trochę za ładna. Bezpośrednia, żadnych póz i min znudzonej księżniczki. Od razu nazwał ją w myślach Moniką, chociaż prawdziwe personalia były zupełnie inne.

Wieczorem poznał szczegóły. Absolwentka ASP. Chwilowo kątem u koleżanki, bez stałego zajęcia. O pracę dla świeżo upieczonego plastyka niełatwo. Koleżanka ze studiów sama wynajmuje ponurą norę bez wygód, w starym budownictwie. Z chęcią pozbędzie się współmieszkancki, która i tak nie ma z czego płacić przypadającej na nią sumy tysiąca złotych na miesiąc. Tak kształtują się ceny pokoi do wynajęcia w Śródmieściu. Tylko teraz ostrożnie. Nie spłoszyć, bo zdobycz cenna. Delikatnie Proszę pani, mam taki kłopot... Może pani byłaby skłonna pomóc. Znajomi jadą na placówkę. Szukam kogoś pewnego, pani rozumie, co to znaczy wpuścić do mieszkania obcą osobę. Mieszkania eleganckiego, z telefonem, w świetnym punkcie Za Żelazną Bramą. Och, o to niech panią głowa nie boli. Im zależy na człowieku, nie na pieniądzech. Po co ta nieufna minka? Naprawdę, są jeszcze tacy idealisci. No, czynsz, światło i tak dalej, to chyba zrozumiałe, ale nic poza tym. Poważnie. Proszę, oto adres. Wystarczy powołać się na mnie.

Nie byłaby sobą, to znaczy rozgarniętą i trzeźwo myślącą

dziewczyną, gdyby nie sprawdziła, co się za tym kryje. Miała dosyć wspinania się na szóste piętro bez windy, wiecznych awantur z gospodynią o dostęp do kuchenki gazowej i do kranu z zimną wodą. A nie zawsze jest lato, piece kaflowe stoją i czekają, nikt sublokatorom nie będzie palił, nosił węgla, wyrzucał popiołu. No i ten meldunek okresowy. Za którymś razem odmówią osobie nie zatrudnionej w stolicy i cześć, żegnajcie marzenia o samodzielnych wystawach czy choćby kąciku w galerii. Swoją drogą, gdzie rozum, żeby kończyć malarstwo sztalugowe. Koleżanki graficzki też bez etatu, ale przynajmniej coś zahałturzą i jakoś wiążą koniec z końcem. A ona nawet nie ma gdzie wracać. Ojciec zginął, nim przyszła na świat, matka zmarła niedawno. Rodzinne kąty były kwaterunkowe, już ktoś tam mieszka. Rodzeństwa nie miała. I tak została na lodzie... Więc okazja spada jak z nieba. Zbyt to bajeczne. Czego ten facet chce? Bo raczej nie tego, co powiedziała Kunegunda z pokoiku z piecem. Nie, chłop myślący o tych rzeczach inaczej patrzy, inaczej gada i w ogóle. W dodatku nie wiadomo dlaczego nazywa ją Moniką. Zresztą nawet ujdzie, niech mu będzie.

Proszę się nie obawiać, panno Moniko, nic pani z mojej strony nie grozi. Owszem, trafnie pani odgadła, że wiązę z panią pewne plany. Może nie tyle z panią, co z mieszkaniem. Więc jednak! Tak, ale to drobnostka. Po prostu od czasu do czasu wpadnę, posiedzę, odsapnę. Proszę nie robić obrażonej miny, moja panienko, bynajmniej nie zajmę

pani cennego czasu. Może pani wówczas wyjść czy powrócić do swojej pracy. Personalnie nic od pani nie chcę. Tylko wstępu do wspomnianego pomieszczenia. Jeśli uzyskam zgodę, przejmę wszelkie opłaty na siebie. Zaznaczam, że moje wizyty będą niesłychanie rzadkie i zawsze zapowiedziane telefonicznie. Słucham? No, to chyba oczywiste, że muszę mieć własne klucze. Ależ... po co te dąsy? Hallo, panno Moniko! Proszę wziąć mój telefon...

Uciekła w popłochu. Własne klucze? Żeby włąził w byle jakim momencie? Co to za życie. Pomijając już inne kwestie, ale kobieta nie lubi być zaskakiwana. Bo w te zapowiedzi telefoniczne wolno jej nie wierzyć. Niekoniecznie w kąpielni, w ogóle typ może zawitać, na przykład gdy będzie bez makijażu. Albo w starej bluzce. Albo z wałkami we włosach. Nie, do kitu z taką zabawą. Nie ma głupich. Żeby ją potem na językach obnosili. Sprzeda jakiś bohomas, a powiedzą, że ma dzianego kochasia. Bo wypchany portfel sama widziała. Chociaż z drugiej strony... Te opłaty, itepe... Co traci? Taką wilgotną norę z oknem na podwórko-studnię za patyk zawsze znajdzie. Spróbować ostatecznie by można. W razie czego da nogę i po krzyku. Tylko musi mieć jakieś zabezpieczenie. O osobnych kluczach nie ma mowy. A najlepiej, jak taki cwany, to niech jej załatwi meldunek.

Zakrawało to na cud, ale załatwił. I to stały, nie okresowy. Nieprawdopodobna historia! Widocznie miał coś na tych, co wybierali się na placówkę, bo nie stawiali oporu.

Sami koło tego dreptali. Tylko, co rozumiały, nalegali na sporządzenie formalnej umowy. Z cichą klauzulą, że wyniesie się w żądanym terminie. Ale dla osoby w jej wieku pięć lat to niemal wieczność.

Gdy już wniosła na nowe śmieci swój skromny tobołek i jeszcze raz spojrzała na upragniony stempelek w dowodzie, ogarnęła ją radość. Tak wielka, że po raz pierwszy w życiu przestała nad sobą panować. Osiedliny? Proszę bardzo! Koniak? Jeszcze lepiej. Po czwartej kolejce był już drogim Zenkiem, a nie tajemniczym i lekko podejrzanym typem. Prywaciarz? Tacy też muszą żyć. Chciał mieć cichy kąt, niech przychodzi, co tam. Tylko kluczy nie da. Musi ją zrozumieć. Za to może być w określonych godzinach pod telefonem, jej tam bez różnicy, pokój tak widny, że lepszej pracowni nie trzeba.

Pierwsza euforia minęła. Zaczęła się harówka i mozolna biegania, i długie rozmowy z kierownikami galerii. Efekt? Wstyd powiedzieć. Owszem, najładniejsza martwa natura jest dostępna dla publiczności. Wisi sobie na ścianie pewnej agencyjnej kafejki, w towarzystwie trzech innych. Po miesiącu była bliska załamania. Rzucić to w diabły i pójść do biura albo na pocztę? A może jako podkuchenna do baru mlecznego... Właśnie wisi kartka, tam, gdzie jada raz dziennie bułkę z mlekiem. Wolne żarty. Po to się męczyła tyle lat? Trzeba przeczekać, każdy tak zaczynał. Może się gdzie zaczepi. Nawet jeden facet obiecywał ją zatrudnić na umowę przy dekoracji wystaw. Tylko że

patrzył przy tym nie na nią, lecz na jej dekolt, więc dała spokój. Szczęście w nieszczęściu, że Zenek nie jest dokuczliwy. Nawet chętnie go widzi, przynajmniej jest do kogo gębę otworzyć. A że czasem zostaje na noc? Co to ma za znaczenie. Nie był jej pierwszym, nie będzie ostatnim. Poza tym jest cichy, dotrzymuje umowy i dzwoni, nim przyjdzie, nie wtrąca się w jej sprawy. Nie popisuje się nią przed znajomymi, nie wyciąga z domu. Ostatecznie mogło być gorzej.

Kiedyś zadzwonił, gdy ryczała jak dzieciak, bo tak jej już wszystko nadojadło. W dodatku kierowniczka galerii powiedziała, że takie malowidła to może na bazar zanieść. Głupia krowa! Jej pejzażyk nazwać bazarowym landszaftem. Maluje przecież dla ludzi, nie bawią ją formalistyczne wydziwiania. Chce przyjść, niech tam. To co, że ma oczy podpuchnięte, zdąży umyć twarz i przypudrować. Ale przez to sercu nie lżej. I w ogóle cała jest rozdygotana, Jakby w środku miała mrowisko. Chce jej zrobić zastrzyk? Po co? Na uspokojenie? Nie, to bez sensu. A zresztą... Wszystko jedno, byle szybko.

Obudziła się pod wrażeniem czegoś niezwykłego. Co to było? Głowa pęka, w ustach sucho. Chciał ją wykończyć, czy co? Co to za świństwo... A jednocześnie wspomnienie przeżycia jakby w półśnie orgia intensywnych barw, poczucie lekkości i wyzwolenia. Codzienne zmory odpływają daleko, stają się mało znaczące, niemal nierealne.

Za drugim razem sama nadstawiła przedramię. Jeżeli ma to pomóc... Choć na krótko pozbyć się wszelkiej udręki,

śmiać się ze wszystkiego. Wyczuwała, w co się pakuje. Ale to zaledwie raz, dwa razy. Zawsze zdąży powiedzieć „nie”. Tylko na to ma jeszcze czas. Dużo czasu. Po co odmawiać, skoro wiele zyskując nic nie traci?

Potem było niedobrze. Znów seria niepowodzeń, w dodatku malowanie dziwnie nie szło. Próbowwała przenieść na płótno owe barwne wizje, ale pędzel przestał ją słuchać. W końcu wyczerpały się fundusze, nie na farby, ale na chleb nie miała. A Zenek jak na złość nie dzwoni, telefon u niego milczy. Co ma robić? Wziąć kogoś na noc? O nie, na to nigdy nie pójdzie. Zenka też wywaliłaby na zbity pysk, gdyby się wyrwał z pieniędzmi. Kiedy wreszcie przyszedł, zapomniała go ofuknąć, że bez uprzedzenia. Dobrze, że jest, bo już głupie myśli zaczęły jej do głowy przychodzić. I tyle jedzenia przyniósł, po co, czy go o cokolwiek prosiła? Tyle że tak jej jakoś... W ogóle beznadzieja i dno. Małą szprycę? Niech będzie. Trochę odprężenia. Tylko niedogodność, bo lato coś w tym roku wyjątkowo dopisało, babki latają z gołymi ramionami, a ona musi pamiętać o długim rękawie.

No i tak to poszło. Aż do momentu, kiedy dosłownie wyła o zastryk. A ów moment nadszedł prędzej niż przypuszczała. Jeszcze tego samego, istotnie niezwykle długiego lata, bo nawet część września była upalna jak nigdy. Jak nigdy w jej życiu, oczywiście... Zresztą wszystko jedno, wszystko jedno, byle dostać szprycę. Ma przyjąć nowego kumpla Zenka, tego grubego karzełka z paskudnym

cyferblatem? Proszę bardzo, może nawet dziesięciu. Ma go słuchać? A czego on właściwie chce? Nie, nie tego? Nic z tych rzeczy? Aha, że nie z nim, tylko z pewnym przystojnym gościem. W jej wieku prawie. Aktor? No, no, to ci klient. Ojej, no za co dostała po buzi? Co takiego powiedziała? No, już dobrze, w porządku, będzie milczeć jak grób. Zgodnie z instrukcją, szefie. I nie kłuć się, tylko łykać prochy. Tak jest, jak pan sobie życzy. Zrobię, co pan każe. Dobrze, proszę pana, będę się nazywać Monique Leybel. Znam przecież francuski...

ROZDZIAŁ XIII

Wtedy ktoś zaczął walić do drzwi. Nie cicho pukać, ale łomotać twardo i zdecydowanie. Maksymiuk opuścił rękę i łypnął na gospodarza. Salicki wrzucił ramionami, podszedł do niepewnej zapory.

– Kto tam? – zapytał, zdecydowany nie wpuścić natręta. Ale musiał. Zdążył tylko wepchnąć ich obu do kuchni i przykazać milczenie. To był inkasent z elektrowni.

– Panie! – pieklił się. – Naprzód się pan prosisz, żeby osobiście, że przez pocztę nie, a ja już trzeci raz przychodzę. Do czego to podobne?

Musiał dostać więcej, niż opiewał rachunek, bo za drzwiami ucichło. Robert podszedł do nich zdecydowanym krokiem.

– Tylko spróbuj mnie ruszyć – syknął groźnie na

wyciągającego ku niemu dłoń osiłka. Przedefiniował przed nosem zaskoczonego starca i i ulgą zbiegł po schodach. Wpakował się w niezłą kabałę. Teraz współnicy będą sobie wygarniać, który z nich zawinił, że ofiara uciekła. Może pomyślał, że pogna prosto na milicję. Za czynną napaść na obywatela Leśniewskiego. Oczywiście nic nikomu nie powie. Bo niby co? Jeszcze raz wszystko tłumaczyć? Historia w końcu niezbyt wyraźna. Spamiętaj tu, człowieku, po tylu latach. Ten bandzior Cezary miał minę, jakby rzeczywiście przez całe swoje kiblowanie o niczym innym nie myślał, tylko jak mu zdrowia przyrzucić. Tak to brzmi w ich języku? Może teraz inaczej. Byle słońce wróciło, skończy z tym kramem w kilka dni i do domu. I już? Coś z długich monologów Krystiana przecież utkwiło. Jeżeli Grażyna istotnie czeka...

Zadzwoił. Nawet nie była specjalnie zdziwiona. Wiedziała, gdzie jest i co robi. Wyskoczyła z pracy. Zaprosiła do siebie. Na krótko, zaznaczyła. Mieszkanko miała niewielkie, tamto musiała opuścić. Po dziesięciu minutach rozmowa utknęła. Wyczuł, że ona czeka na jakiś cieplejszy odruch z jego strony. Ale nie mógł się przełamać. Siedziała przed nim obca kobieta, z podwójnym podbródkiem i pomarszczoną szyją. Pożegnał się pod byle pretekstem. Do Julii nawet nie próbował dzwonić. Po co? Żeby go spotkało jeszcze większe rozczarowanie? Zajrzeć do matki? Nie, tak nie można. Bez przygotowania, znienacka. Rozplacze się, wzruszy, serce nie wytrzyma, zawsze

miała słabe. Byłby nowy kłopot... Może później, jak skończy robotę. Teraz trzeba wracać. I co potem? Znow do Frisco? Nie, na Filipiny, później postsynchrony i premiera w Paryżu, i tak dalej. Na najbliższe dwa lata terminarz szczerlnie wypełniony. Więc na razie nie ma o czym mówić. A co przyniesie przyszłość? Któż to może wiedzieć...

Tego wieczoru kolacja upłynęła w radosnym nastroju. Po kilku pogodnych dniach do nakręcenia pozostały jedynie dwie sceny. Jeśli znow nie napłyną chmury, do niedzieli będzie można skończyć i zwinąć majdan. Ujęcia rozplanowano, do omówienia pozostało parę drobnych spraw w scenopisie. Anna Bursztynowicz odetchnęła i poweselała. Rozprawiała o czymś żywo z operatorem. Sawnor i Wysoczyński, rozdokazywani jak mali chłopcy, sypali dowcipami i próbowali rozruszać niedźwiedziowego scenarzystę. Ascetyczny Anglik, choć nie rozumiał ani słowa, przysłuchiwał się im odprężony, z powściąglywym uśmiechem na wąskich wargach. Dla niego ten etap zdjęć był zamknięty, następnego dnia wybierał się w drogę powrotną do kraju. Miał powody do zadowolenia. Ten mały Polak pracował szybko, w nerwowym pośpiechu. Nie marnował czasu ani taśmy na duble. Dokładnie omawiał ujęcie już na planie, przy czym w rozmowie z aktorami nie wdawał się w analizy psychologiczne. Dyktował im słowa, ruchy i gesty, narzucał mimikę i intonację.

Zdawać by się mogło, że taki styl pracy dobry jest dla trzeciorzędnego wyrobnika operującego manekinami. Price początkowo był przerażony. Ale dziś, gdy zawieziono go, by obejrzał surowe materiały, zrozumiał, o co chodziło. Reżyser wydobył z niego to, czego nie zauważali inni: wielki talent klasycznego tragika.

Właściwie nie było wśród zebranych człowieka niezadowolonego. Poza jednym wyjątkiem. Marek Byrda siedział z dala od innych, przy oknie, i udawał, że czegoś wypatruje w nieprzeniknionej ciemności. Rano otrzymał umówiony sygnał. Przy drodze wiodącej w górę ku ruinom zamku ktoś ułożył strzałę z polnych kamieni. Obok leżały i inne, zwiezione na budowę lepszej nawierzchni. Ktoś niewtajemniczony nie mógł zwrócić uwagi na znak. Ale on wypatrywał go od wielu dni. Były chwile, gdy mimo spoczywającego w kieszeni paszportu i wykupionego na jeden z ostatnich dni lipca biletu lotniczego chciał stąd uciec lub zgłosić się do władz. Ale zaraz trzeźwiał. Zapytają go o szczegóły. Z kim i kiedy się kontaktował. Jeśli nawet puszcza go wolno, w najlepszym wypadku nie dadzą mu wiary. Nie ma żadnych dowodów. Zaproszenie? Ów francuski wujaszek był na tyle sprytny, że działał przez osoby trzecie. Ani on nie zna państwa Duval, ani oni jego. Jedyne dowód to kilka małych pastylek, niczym na pozór nie różniących się od stale zażywanych przez Leśniewskiego. Miał ich spory flakon i na pewno nie liczył. Co wieczór brał co najmniej dwie właśnie tego gatunku, jak również inne leki.

Ktoś, kto o tym wiedział, przekazał tę informację jego prześladowcy, a ten z kolei jemu.

– Nic nie ryzykujesz – mówił tym swoim chrapliwym szeptem. – Bylebyś nie zostawił odcisków palców. Pamiętaj! – zaśmiał się nieprzyjemnie. – Wiesz, co cię czeka, jeżeli skrewisz. Koniecznie tego dnia, gdy zauważysz sygnał.

Wtedy w zimie wbrew rozsądkowi usiłował tamtego wyśledzić, zobaczyć, gdzie mieszka. Kim w ogóle jest? Wyczułone ucho łowiło w jego mowie obce gardłowe tony, drobne pomyłki w odmianie wyrazów. Ale to może wpływ jakiejś gwary? Czy też celowy kamuflaż, jak u Moniki. Bo zorientował się po kilku tygodniach znajomości, że dziewczyna tylko udawała cudzoziemkę. Potem mówiła już normalnie, wpadając nawet w charakterystyczny młodzieżowo-studencki slang, używała idiomów doskonale mu znanych z okresu jego pobytu na uczelni. To są rzeczy nie do podrobienia i nie do nauczenia. Ale wtedy było mu wszystko jedno. Nie zwracał na to uwagi. Wiedział, że kłamie, mówiąc o rodzinie w Kanadzie i we Francji. Dlatego obruszał się, gdy usiłowała mu imponować znajomościami i chodami nad Sekwaną. Skoro jednak uzyskał potwierdzenie, przestał dochodzić prawdy. Zwłaszcza że po pierwszym spotkaniu z owym brutalem już jej więcej nie widział. Nie chciał, nie starał się o to.

A ów typ zniknął. Dopilnował, by Marek odjechał pociągiem w kierunku Śródmieścia, sam został na peronie. Przy następnych spotkaniach było podobnie. Marek musiał

odjeżdżać autobusem lub tramwajem, tamten przepadał bez śladu. Zresztą, gdy już otrzymał instrukcje, rzadko widywał dręczyciela.

Dzisiaj rano zobaczył pięć kamieni ułożonych w strzałę. Niedaleko przebiegał szlak turystyczny, w okolicy był przecież najstarszy dąb polski, pełno wycieczkowiczów, wędrownie obozy, harcerze. Znak dobrano trafnie. Żadnych listów, telefonów, ledwie parę kamyków. Ale zdjęła go taka niemoc, że z trudem powstrzymywał drzenie łydek. Jak na złość wypadły ujęcia z jego udziałem. Musiał wyglądać nietęgo, bo reżyser, który na planie zmieniał się w oschłego dyktatora nie zważającego na czyjeś nastroje, po kilku bezskutecznych próbach zwolnił go i kazał wrócić do hotelu. W przygotowanych dekoracjach można było nakręcić bez zmiany położenia kamery i świateł coś zapaśowego, dlatego wszyscy zostali na górze, a on wrócił pod „Basztę”. Po drodze, rozglądając się dokoła, niby przypadkiem kopnął ułożone kamienie. Jeszcze komuś wpadną w oko.

Powoli wszedł przez ganek i werandę do skąpo oświetlonego hallu. Nikogo. W kieszeni paperek z pastylkami W porządku. Ciemny korytarz na tyłach jadalni. Które to drzwi? Drugie, sprawdził przedtem. Jeżeli będą zamknięte... Nikt wprawdzie tego nie robił, nie byli normalnymi gośćmi hotelowymi, żeby znosić klucze do recepcji, kierownik nawet prosił, żeby nie zamykać, sami swoi, a pokojowa musi mieć dostęp. Na szczęście były otwarte. Jeszcze jeden rzut oka, czy nikt nie czai się w mroku. Cisz.

Teraz do środka. Szafa, łóżko, stół z krzesłami. Gdzie można trzymać lekarstwa? Chyba w nocnym stoliku. Po-przez chustkę do nosa pociągnął uchwyt szufladki. Jakies papiery. To nie tu. Niżej. Są! Który flakonik? Ostrożnie, żeby nie dotknąć. Ten ciemny, z zieloną nalepką. Postawić na podłodze, odkręcić, wyjąć tampon z waty, wysypać wszystkie pastylki, włożyć swoje, zakręcić. Pot spływa z włosów na kark i plecy. Koszula aż mokra. Jakiś szmer. Za oknem? Jest szeroko otwarte. Wyrzecz? A jeśli... Nie, lepiej nie. On zobaczy, ale i jego zobaczą. Nagły, głośny trzask. Serce staje nia moment, w oczach ciemno. Drzwi! Och, to tylko przewiew. Rozgląda się po podłodze. Rozsypane tabletki, strzępek gazety. Wpycha to wszystko w kieszeń. Wychodzi, wycierając klamkę. Wahadłowe drzwi do hallu. Przez szparę widać wychodzącą z kuchni Elę. Idzie prosto na niego. Przywiera do ściany. Dziewczyna cofa się z okrzykiem. Ciemność ją zaskakuje.

– Panie Stasiu! – woła do kogoś – Znowu żarówka wysiadła, co z pana za majster?

Ale elektryk milczy lub przepadł na zapleczu, bo pokojowa klnąc pod nosem opuszcza hall. Droga wolna. Marek wynurza się z korytarza i jednym susem dopada schodów. Tu jest bezpieczny. W razie czego, właśnie idzie do siebie na górę, wszystko gra.

I teraz siedzi przy oknie, za którym nic nie widać. Kocłacja ma się ku końcowi. Leśniewski jak zwykle za chwilę wstanie i pierwszy wymknie się z sali. Śledzą go uważnie trzy pary oczu.

Uczony mykolog został rano w hotelu. Jego obecność wśród ruin nie była wskazana. Od tajemniczego zniknięcia Leśniewskiego, które uruchomiło ostatnie rezerwy ludzi, roztoczyli oboje z Martą dyskretną opiekę nad młodym aktorem. Wówczas słusznie wywnioskowano, że reżyser będzie szukał wspomnień młodości w rodzinnym mieście. Wysłano wywiadców w okolice instytucji, gdzie pracowała, jak wcześniej ustalono, żona reżysera, a także w pobliże domu matki. Leśniewski kontaktował się z żoną, ale dopiero koło południa. Skoro wyjechał o świcie samochodem Sawнора, miał wkrótce dogodne połączenie z Zagnańska z przesiadką w Skarżysku. Od wizyty u żony był już pod obserwacją. Do pełnego obrazu dnia brakowało dwóch przedpołudniowych godzin. Niestety, na razie nie udało się ustalić, gdzie wtedy był i w jakim celu. W toku były również poszukiwania, kto mógł zainstalować broń we wnętrzu kolumny. Wyjaśnienie mogło dopiero przynieść staranne zbadanie przeszłości reżysera, ale to musiało zająć nieco czasu. Zresztą wydarzenia nie pozwalały chwilowo na rozproszenie sił. Oto dosłownie wczoraj przekazano im z Warszawy wiadomość, na którą czekali. Korespondent „New York News” David Fishman wyrusza dzisiaj w reporterską wędrówkę po naszym kraju wynajętym za dewizy ciemnowiśniowym polskim fiatem. Oficjalny cel: inwestycje na Górnym Śląsku, a zwłaszcza dobiegająca kresu budowa huty „Katowice”. A więc od tego momentu starali się nie tracić z oczu ani reżysera, ani Marka Byrdy.

Marta odholowała go do zamku. Jej uwadze nie uszedł moment wahania aktora przy pryzmie polnych kamieni ani jego bladość i zmieszanie. Gdy Leśniewski kazał mu wrócić na kwaterę, nie mogła opuścić ekipy, ale miała nadzieję, że kapitan będzie czuwał.

Stojący na ganku Pruszek z daleka rozpoznał schodzącego w dół młodzieńca. Cofnął się do hallu. Na ogół aktorzy, nawet nie biorący udziału w danym ujęciu, cały dzień, nie licząc przerwy obiadowej, spędzali wśród ustawionych na dziedzińcu dekoracji. Powrót Byrdy był czymś nietypowym. I to właśnie dzisiaj. Widząc, że okno pokoju Leśniewskiego jest otwarte, drugim wyjściem przedostał się na tyły hotelu. Okna tej części budynku wychodziły na łąki, ale teren PTTK-owski był odgradzony żywopłotem z krzewów ozdobnych, między którymi wystrzelały w górę trzy potężne dęby. Szum ich liści nieraz kołysał mieszkańców do snu. Szybko wspiął się po zwisającym konarze na drzewo najbliższe pokojowi reżysera. Nie tylko widział więc dokładnie poczynania Byrdy, ale uwiecznił je na czułej taśmie miniaturowej kamery. Tylko jak sprawdzić, co to za specyfik został podrzucony do fiolki z lekarstwem? Należałoby dokonać dokładnej analizy. W tych warunkach było to niemożliwe. Zrobić alarm, ujawnić się i zatrzymać sprawcę do dyspozycji prokuratury? Na jakiej podstawie? Zakradanie się do cudzego, lecz otwartego pokoju, to zaledwie pospolite wykroczenie, być może w ogóle nie związane ze sprawą. A więc trzeba...

Tymczasem David Fishman jechał niezbyt szybko katowicką szosą. Nie lubił pośpiechu. Wyruszył za wcześnie, z samego rana. Do Kielc miał niecałe dwieście kilometrów. Trzy godziny. Powiedzmy cztery. I co dalej? W Mszczonowie skręcił z przelotowej trasy w podrzędniejszą drogę na Grójec. Gdyby go ktoś teraz zapytał, co robi na krakowskiej szosie, nie wiedziałby, co odrzec. Może po prostu: wprawdzie ma zamówiony hotel w Katowicach, ale wpadło mu do głowy, żeby odwiedzić starych znajomych, a zwłaszcza Jamesa Vilsky'ego. Wywiad ze słynnym scenarzystą to dobry materiał dla jego gazety. Przy okazji doda trochę o kuchni filmowej: mistrz grozy w akcji. Dobry tytuł? Tyle że dziś wieczorem mistrz grozy ma raz na zawsze zaprzestać wszelkich akcji. A że on akurat przy tym będzie ze swoim fleszem? Kto udowodni, że to nie czysty przypadek? Łut dziennikarskiego szczęścia, o ile w tych smutnych okolicznościach można mówić o cokolwiek szczęściu. Jeśli nie tego wieczoru to jutro. Termin rezerwowy i ostateczny. Jakoś przenocuje, choćby w samochodzie, a nikt go nie wyrzuci ze wschodem słońca. Pokręci się trochę przy ekipie, no i...

Przejechał przez most w Białobrzegach i zatrzymał wóz na poboczu. Jak zgubić zbędny czas? Rozłożył mapę z naniesioną marszrutą. Język sobie można połamać na tych nazwach. W Kielcach odszukać dojazd do lokalnej drogi na Mniów, za Kostomłotami skręcić w prawo w taką niteczkę, pewno jakaś polna dróżka pełna błota po ostatnich

deszczach, ciekawe, czy w ogóle przejedzie. Ruszył w kierunku widniejących w dali zabudowań. Białobrzegi od strony przelotowej szosy nie wyglądały zbyt zachęcająco. Rynek, restauracja czwartej kategorii Ale co o tej porze można dostać? Może w Radomiu? To teraz województwo. Jechał dalej Za mianem, jak i poprzednio, grupki autostopowiczów Słomiane kapelusze, ogorzałe twarze, kraciaste koszule, plecaki, namioty Nie zwracając uwagi na rozpaczliwe sygnały stojących na samym asfalcie, nie na poboczu, ominął ich lekkim łukiem i przyspieszył. Jednego, a zwłaszcza jedną ostatecznie mógłby podrzucić. Ale takie gromady? Nie mają pieniędzy na inną formę turystyki czy co? Wiedział, że choćby najuboższy może w tym kraju uskładać na wakacyjny wypad, ale nie rozumiał, co każe tym, chłopakom leżeć godzinami w rowie i wyskakiwać przed każdy nadjeżdżający samochód. Owszem, na całym świecie ludzie podróżują w ten sposób i są chętnie podwożeni, ale nie takimi stadami! Wpatrzony w migocący w słońcu asfalt nie zwrócił początkowo uwagi na jadącą za nim od samego Grójca furgonetkę. Dopiero gdy przyspieszył i zaczął wyprzedzać kolumnę ciągnących z targu furmanek, dostrzegł w retrowizorze pojazd powtarzający dokładnie jego manewry, warujący za wozem konnym i wyskakujący zza niego, gdy sytuacja na to pozwalała. Dla sprawdzenia włókł się dłuższy czas za kolejną parą gniadoszy. Tamten jednak przejechał mimo i wkrótce zniknął za zakrętem. Przewrażliwienie, pomyślał, notując w

pamięci numer furgonetki. Pogratił sobie w duchu nie zamierzonej, uprzednio rezerwy czasu. Poczekaj w Radomiu, a jak nie, to choćby w samych Kielcach jest to i owo do zwiedzania: pałac biskupi, muzeum, katedra z XII wieku, oryginalny dom drewniany z epoki renesansu, podobno rzadkość niesłychana. Dla niego to i tak jak z ery mezozoicznej. Szesnasty wiek? Bizony pędziły przez Manhattan. No, bez przesady, raczej szczury wodne, bo to była wyspa bagnista. Szosa znów wolna. Prosty odcinak, widoczność doskonała. Poczłł głód. Uświadił sobie, że nic prócz filiżanki kawy nie miał dziś w ustach. Już chciał wcisnąć mocniej pedał akceleratora, gdy spostrzegł stojącą na poboczu postać. Serce drgnęło żywiej. Ta sylwetka, ruchy, ubiór, rudawy zarost, dżinsy. No i w ręku nie jakaś książeczka z bezsensownym znakiem „stop”, ale miniaturowa flaga. Zwolnił jeszcze bardziej, podjeżdżając bliżej. Gwiazdy i paski! Barczysty brodacł o inteligentnym wyrazie twarzy, w rozpiętej kurtce z teksasu, unosi flagę z miłym uśmieclem. Fishman zatrzymuje wóz.

– You're American? – pyta wychylony w prawo ku oknu.

– Sure! – wykrzykuje tamten radośnie. – And you?

– So do I – mówi dziennikarz i odmyka blokadę drzwi.

Krótko podaje, kim jest.

Natomiast autostopowicz to student, który postanowił w ciągu miesiąca właśnie w ten sposób przemierzyć Europę z północy na południe. Był już w Norwegii i Szwecji,

teraz przez Czechosłowację wybiera się na Węgry. Fishman uważnie wsłuchuje się w akcent rozmówcy

– Gdzie pan studiuje? – pyta z jowialnym uśmiechem. – Założę się, że na Zachodzie.

– Zgadł pan – przytakuje brodac. – Nie wszyscy mogą sobie pozwolić na Harvard czy MIT. To taki mały uniwersytet stanowy w Twin Falls

– W Idaho?

– Aha. Studiuje socjologię, stąd ta wyprawa. A pan daleko jedzie? Taka okazja. Na ogół kierowcy nie zatrzymują się.

– Nawet na widok tego? – reporter wskazuje flagę.

– Och, staram się nie wykorzystywać takiego argumentu – mówi z odcieniem jankeskiej wyższości młodzieniec. – Więc dokąd pan zmierza? – powtarza tonem odrobinę mniej pogodnym.

Stary lis czuje czyhające w pobliżu sidła. Nie wypada rodaka w środku obcego kraju wyrzucać w szczerym polu. Nie może podać jako punktu docelowego Krakowa czy Katowic. Leżą akurat tamtemu po drodze.

– Na razie jadę do Kielc – zaczyna ostrożnie. Student usiłuje odszukać na mapie. David na ślepo tka palcem w arkusz. – Gdzieś tu.

– OK. A potem?

– Słucham?

– Powiedział pan: na razie – opięty w teksas Amerykanin patrzy czujnie spod gęstych rudawych brwi.

– No, w tym sensie, że muszę tam coś załatwić. Nie wiem, ile czasu mi to zajmie. – Fishman wdaje się w tłumaczenie wbrew swej woli.

– Och, nie szkodzi. – Socjolog in spe rozpiera się wygodnie. – Ja mam czas...

Idzie wolno leśną przecinką. Chyba nie zaniedbał niczego, wszystko przewidział? Nawet jeśli ten mięczak nawali, on dokończy dzieła. Byleby tylko młodziak nie sygnął. Ale nie. Z biletem w kieszeni kłaść dobrowolnie głowę pod topór? Neurastenik, histeryk, lecz potrafi chyba, przewidzieć, co go czeka. Pięć lat najmarniej, choćby teraz stchórzył. Obciążającego go materiału wystarczy. Będzie skończony jako mąż, jako aktor i jako obywatel. Prezes wie, kiedy ma wysłać przesyłkę. I pod jaki adres. Prezes... Jochen tym razem nie zapowiadał terminu wizyty, zmienił hotel. Tamten musi mieć swoich ludzi, inaczej jakby go odnalazł? Swoją drogą trzeba będzie się nim też zająć, zaczyna być niebezpieczny. Ale to potem. Po akcji.

Owszem, był udobruchany, gdy mu wreszcie powiedziano, w czym rzecz. Obecny przy spotkaniu w Monachium szef służby bezpieczeństwa Radia Wolna Europa zacierał ręce z uciechy. Mają pomysły ci jego zwierzchnicy za Oceanem. Teraz zrehabilitują się za poprzednią kompromitację. Pracownicy polskiej sekcji już wypichcili cały zestaw. Tylko puścić na antenę. „Zastanawiająca niedołność władz reżymowych. W samym środku rzekomo

cywilizowanego państwa...” Nie, bez „rzekomo”... Trzeba delikatnie. Poczul się nareszcie doceniony. Był w swoim żywiole. Nie tyle cieszyła go czekająca nań w Bazylei okrągła sumka, ile sama możliwość działania. Po tylu latach bezczynności. Jeżeli się uda... Dlaczego nie? Ma przecież w zapasie jeszcze jeden wariant. Opracował go osobiście. Lubił samodzielność. Ci z Monachium nie dali szczegółowych instrukcji, bo nie mogli. Miał działać w zależności od sytuacji.

W ostatniej chwili taka niedogodność. Zresztą wzięta wcześniej pod uwagę, jako potencjalna możliwość. Przewidział, że z dziewczyną będą kłopoty. Właśnie w tej sprawie zaalarmował prezesa. Przybiegł roztrzęsiony. Monika jest zdecydowana pójść na kurację, mówił. Podobno ma dosyć. Nie możesz jej odkręcić gazu? Byli już od dawna po imieniu. Oczywiście w cztery oczy. Ja? Tamten zamrugał powiekami. Ja? – powtórzył takim głosem, że Jochen więcej nie nalegał. Musi sam. Wolałby uniknąć takiego rozwiązania. Co innego rozwałać bezkarnie jakichś czarnuchów, a co innego mokra robota w takiej akcji. Fachowiec do specjalnych poruczeń powinien działać w rękawiczkach. Nawet w razie wpadki można liczyć na ocalenie głowy. Dlatego ludzie jego profesji starają się nie uciekać do takiej ostateczności.

Pojechali. Zenon otworzył drzwi. Przytulne niegdyś mieszkanko przedstawiało obraz skrajnego zaniedbania. Przychodziły chwile, gdy było jej wszystko jedno Łaziła po mieście na osłabłych nogach. Przestała zważać na pozory.

Musiała zresztą nieźle wyglądać. Wstąpiła pewnego razu na kawę do „Metropolu”. Kawa to eufemizm. Po prawdzie liczyła na niekrepującego klienta. Odkąd odkryła inne źródło zaopatrzenia, wołała nie brać prochów od Zenona. Mierzyła ją jego opieka. Weszła na salę. Usiadła i zdrętwiała. Przy stoliku koło fortepianu siedziała jej dawna współmieszkanca ze starej kamienicy. Spojrzała raz i drugi. Nie poznała. Z pewnością nie poznała. To można wy czuć. Poszła do toalety. W lustrze obca twarz. Szara cera, włosy w strąkach, ciemne odrosty, worki pod oczyma. Na wargach rozmazana, na wpół zjedzona szminka. To ona? Chwila minęła. Co tam, nieważne, jak wygląda. Teraz wróci do domu. Po prostu nie chce czekać, aż jeleń na delegacji wepchnie pod stół wypchaną tekę i zagrucha: „Można się przysiąc do pani?” Już najbardziej zalany nie powie „do pięknej pani”... Co w domu? Gołe ściany. Tak, pójdzie siedzieć, gdy tamci wrócą z placówki. Meble w zastawie u tapicera. Szafa ogołocona. Futro właścicielki sprzedane za bezcen. Piękne grube zasłony, dywan, nawet makatki wyniesione na bazar. Za makatki zresztą dobrze płacili. Prawdziwe nimfy na nenufarach. Wisiały jako kuriozum, dla hecy. Teraz śpi na gazetach, a całego majątku czajnik i ronderek. Bo faceci z ulicy to ostateczność. Nie mogła się przemóc. Próbowwała kilka razy i nie mogła. Ponadto dostała poważne ostrzeżenie. Panienci z Poznańskiej musiały dojrzeć konkurentkę. Podszedł typ zionący sportami i strażacką. Dostanie mojką po patrzalkach, jak

stąd nie spłynie, wyczarzał. No i dobrze, i tak nie ma ochoty. Kim była? Nie do wiary... Ona miała kiedykolwiek pędzel w ręku? Chyba w innym wcieleniu.

Gdy już wyłączono jej gaz i światło, a co mogła, spieniżyła, wróciła do Zenona. Koledzy ze znanej meliny chętnie użyczali trawy na podróż, ale nie za darmo. Nie miała wyjścia, musiała go przyjąć. Chociaż... Jest wyjście. To znaczy mogłoby ewentualnie być, gdyby... Wykrzyzczała mu to kiedyś w wybuchu rozpacz. Ty i odwyk? Zachichotał. Wiesz przecież, co będziesz czuła bez tego. Potrząsną pięścią, w której ścisnął fiolkę. Skąd brał to świństwo? Nieważne, gorzej, że serce wysiada. Nigdy nie była najlepiej ze zdrowiem, a teraz go nie polepsza. Odda się białym kitlom, niech ją ratują, póki czas. Można rzucić wódkę, można i to.

Pójdzie, a tam wszystko z niej wyciągną, pomyślał Jochen, wstrzymując oddech z obrzydzenia. Ta szmata normalnie cuchnie. Pewno nie widziała wanny od miesiąca. Jest w stanie rozkładu. Idiota Zenon zamiast zgodnie z instrukcją powoli odstawić specyfik, prawdopodobnie zwiększał dawki, żeby móc sobie z nią poużywać. Stary wieprz. No tak, ale istotnie miał powód do niepokoju. Jeśli jej strzeli do głowy, żeby wykonać groźbę, będzie wsypa na całej linii. W pierwszej rozmowie wskaże dawcę. A ten z kolei od razu powie, kto go napuścił. Na szczęście dogodnie miejsce wypatrył wcześniej. Zawiezie ją tam i...

Monika z wysiłkiem unosi głowę.

- Przyniosłeś? – chrypi parszkając ślina.
- Owszem. – Zenon wsuwa dłoń do kieszeni. – Ale przedtem nasz przyjaciel ma do ciebie mały interes. Musisz być grzeczna.
- Ubieraj się – warczy niski cudzoziemiec. – Jedziemy.
- Dokąd? – Chwiejnie wstaje z pośłania nie bacząc na arkuusz, gazety przyklepiony do spoconego ciała. – Nigdzie nie pójdę.
- Jak chcesz Chodźmy, panie prezesie
- Nie! Nie... Ja zaraz... – chwyta rzucone na podłogę dzinsy sztywne od brudu. Jeszcze bluzka, buty, torebka.
- Torba nie potrzebna – powstrzymuje ją obcokrajowiec. – Zaraz wracamy. Musisz tylko zobaczyć, co narozrabiałaś.
- Ja? Ależ...
- Ty, ty! – wypycha ją za drzwi. – Miałaś nam szczeniaka doprowadzić, żeby z ręki jadł, tak czy nie?
- Przecież... – próbuje przystanąć, ale otrzymuje kolejne pchnięcie. Dlaczego w taki upał ten typ nosi rękawiczki? Nieważne, skoro zaraz dostanie to, na co czeka.
- Tak, wiem. Niby się zgodził załatwić pewną sprawę, ale teraz odmawia. Chodź, zobaczysz go.
- Nie! – protestuje zdecydowanie. – Nigdy w życiu! – z niezwykłą siłą wyrywa się i cofa do mieszkania. – Nie pokażę mu się taka...
- Po pół godzinie jest wykąpana, ma na sobie względnie czystą bieliznę, włosy umyte i uczesane. Twarz ozdobiona

dyskretnym makijażem, tylko wargi krzywo umalowane. Ale to z pośpiechu. Teraz może iść. Gdzie jest Marek? Ma urlop? Uciekł z pracy? Na dziką plażę... To i lepiej, będą sami.

– Zrozum, ja nie mogę – tłumaczy niski już w tramwaju. – Jak mnie zobaczy, da nogę. Musisz z niego wyciągnąć, dlaczego się wycofał. Przypomnieć, co mu grozi. Przecież nie chcemy go niszczyć.

Na Rondzie Waszyngtona przesiadają się w autobus. Zenon gdzieś zniknął po drodze; Obcy poci się nieprzyjemnie. W ręku trzyma sporą torbę. Ciekawe po co? Każe wysiadać. Zbiegają z korony wału przeciwpowodziowego. Przed nimi pusta łąka. Są sami. Ubitą zakurzoną ścieżką dochodzą do bagnistego starorzecza.

– Podwiń nogawki – słyszy polecenie. – I cicho teraz. Musimy go zaskoczyć. On jest niedaleko.

– Skąd pan wie? – pyta, niechętnie brnąc przez rzadkie brunatne błoto pod drugim brzegiem.

– Wiem. On tu ma taki kącik do opalania. Rozumiesz...

– Aha – potakuje bez entuzjazmu. Te sprawy od dłuższego czasu są jej najzupełniej obojętne. Ale wspomnienie godzin spędzonych z tym nieporadnym chłopakiem nie budzi w niej przykrości.

Skręcają za łąką w lewo, ścieżka znika, trzeba się przedzierać przez wybujałe zielska podszyte pokrzywami.

– Tam – mówi towarzyszący jej mężczyzna. – Za tą

kępą. Czekaj – chwyta ją za rękę. – Rozbierz się – szepcze

– Jak to? Mam iść bez niczego? A ubranie?

– Popilnuję. Wrócisz za chwilę. Będę czuwał z daleka

Wbrew zapowiedzi słyszy za sobą ciche kroki. Trochę ją to krępuje. Wołałaby nie być obserwowana w takiej sytuacji. Za kępą krzaków niewielka, zewsząd otoczona zaroślami polanka. Świetne solarium, rzeczywiście. Tylko puste. Trawa stoi równo. Ni śladu człowieka. Kroki za nią ucichły. Pierwszy cios spada tak nagle, że nawet nie krzyczy. Po drugim wpada w czarną otchłań bez dna.

Jochen nadśluchuje uważnie. Ciszka. Teraz czeka go najgorsza robota. Ostrożnie, żadnych plam na ubraniu czy butach. Te zresztą wyrzuci, ma w torbie inne, jeszcze nie używane. Zakłada je za odnogą, na środku łąki, a stare ciska z rozmachem do niewielkiego, pełnego żab bajorka.

Witold Zmorski miał pewną słabostkę i byłby w kłopotach, gdyby go na niej przyłapano. Dlatego wybierał miejsca mało uczęszczane. Nikła szansa, że spotka kogoś znajomego. Teren nad Wisłą odkrył kilka lat temu. Nie związany czasem pracy przyjeżdżał tu w upalne dni, zaopatrzone w lornetkę. Krążył po polach i łąkach, nad rzeczną odnogą i po piaszczystej plaży. W powszednie dni mało kto tu przychodził, ale czasem młode pary zwabione ciszą

i spokojem szukały ustronnego zakątka. Polował na nie wytrwale. Lubił obserwować, sam nie będąc widzianym. Właśnie dostrzegł dwoje ludzi. Skryty w gąszczu wikliny nastawił szkła. Dziewczyna, owszem, niczego sobie, ale ten typ... Gruby, toporny, kwadratowe ramiona. Przystają. Oho, a to mu się trafiło. Pierwszy raz, odkąd tu przychodzi. Aż okular lornetki zachodzi mgłą. I nie ma czym przeczeć, chyba że o kąpielówki. Psiakrew, w takim momencie. Dziwne. Dziewczyna zrobiła pełny strip-tease i idzie dalej? A on w ubraniu za nią? Nikną w zaroślach. Którędy podpełznąć, by nie zauważyli. Udawać, że przechodzi mimo i tylko rzucić okiem? Usłyszą wcześniej i nic z tego. Facet schował jej fatałaszki do torby. Schował? Te dłonie... Dłonie w rękawiczkach. W taką pogodę. Rękawiczki do letniej koszuli z krótkim rękawem. Coś tu nie gra.

Pisarz wstrzymuje oddech. Widzi, jak zza kępy krzewów wychodzi niski człowiek. Sam. Oddała się pospiesznie, niemal wlokąc torbę po ziemi. Dziwnie ciężką. Zmorski usiłuje zapamiętać twarz obserwowanego, sylwetkę, ruchy. Opublikował ongi dwie powieści kryminalne, pod pseudonimem oczywiście. Dopiero by sobie koledzy z Krakowskiego używali. On, wielki cierpiętnik, niedocenywany talent, popełnia takie rzeczy. Umożliwiono mu wówczas wgląd w niektóre archiwalne sprawy, gdy zbierał materiały. Ma w notesie numery telefonów do pewnego kapitana z Komendy Stołecznej. Jak on się nazywał? Jakoś

tak pod koniec alfabetu. Dobrze, za chwilę sprawdzi, gdy wróci do ukrytego w zaroślach ubrania.

Teraz trzeba zobaczyć, co z dziewczyną. Najpewniej po prostu pożarła się z grubasem i została na łące. Została? Bez ubrania? Może poszła okreżną drogą? Chyba tak, bo na niewielkiej polance nie ma nikogo. Trawa zdeptana. Mokra? Przecież od kilku dni już nie pada, a i rosa wyschła do tej pory. Samo południe. Dalej wśród zieleni ciemniejszy pas. To przygięte źdźbła. Ślady wiodą nad wodę. Wody zresztą w tym bagnie najmniej. Rzęsa poruszona, jeszcze faluje, jednakże nic nie widać w ciemnym odmęcie. Wejść w to błoto? Biec za tamtym? Bez sensu, już na pewno dochodzi do szosy. A przejście przez odnogę jest w tej okolicy tylko jedno. Zanim wróci po ubranie, zanim przemierzy obie łąki, po grubym ślad ostygnie...

Kapitan Zakrzeński z Komendy Stołecznej MO uspokaja rozgorączkowanego pisarza.

– Dobrze, proszę pana, wszystko w swoim czasie. – Spod oka obserwuje czynności ekipy śledczej. – Dziękujemy panu za postawę i tak dalej, ale udzielanie informacji nie leży w moich kompetencjach. Rozpoznałby pan tego człowieka? – zmienia temat.

– Jak najbardziej. Przypadkowo miałem przy sobie lornetkę i... – urywa zmieszany literat. – A do kogo mam się udać w tamtej sprawie? – z uporem wraca do myśli,

że oto od dawna poszukiwany wątek sam pcha się w ręce. Być naocznym świadkiem morderstwa! – Ja współpracuję również z prasą – wyjaśnia. – Może redaktor naczelny...

– Z jaką prasą? – przerywa zniecierpliwiony Zakrzeński.

Zmorski wymienia nazwę poważnego tygodnika kulturalnego.

– Jestem członkiem rady redakcyjnej – dodaje.

– W porządku. Proszę się zwrócić do moich przełożonych. A teraz mam do pana prośbę. Czy nie zechciałby pan nam pomóc?

– Ależ oczywiście, nie wiem tylko czy...

– Czekają na pana nasi specjaliści od portretu pamięciowego. – Kapitan poleca kierowcy radiowozu odstawić zawiedzonego pisarza do komendy. Sam zostaje na miejscu. Tęgi lekarz dyżurny z zakładu medycyny sądowej ukończył właśnie wstępne oględziny zwłok.

– Żadnych śladów obrażeń czy walki – mówi ocierając pot z czoła. – Jeżeli denatka została ogłuszona, to raczej ciosem w głowę... – rozkłada ręce.

Ślady zostały zabezpieczone, fotograf dokonał niezbędnych zdjęć. Dwaj funkcjonariusze dźwigają nosze przykryte kocem. Czekają ich długa droga w spiekocie do punktu, dokąd mogły dotrzeć ambulans i karetka. Na łące ląduje śmigłowiec, który dowiózł pospiesznie ściągniętych z klubu, współpracujących czasem z milicją pletwonurków

ze specjalnym sprzętem. Zwłoki pozbawione głowy są trudne do identyfikacji. Kim była młoda dziewczyna idąca, według zeznań literata, spokojnie i ufnie na pewną śmierć? Poszukiwania zapowiadają się na dłużej, bagno jest muliste i głębokie, zresztą należy wziąć pod uwagę również i tę możliwość, że zbrodniarz uniósł w torbie nie tylko rzeczy zmarłej. Kapitan Zakrzeński nie czeka na rezultat pracy płetwonurków. Trzeba uruchomić ogromną maszynę, włączyć do akcji setki ludzi, i to prędko. Od momentu przestępstwa nie minęło więcej jak dwie godziny, może sprawca jeszcze jest w mieście.

Zmorski miał dobre oko i pamięć do szczegółów. Portret pamięciowy był tak dokładny, że jeszcze tego dnia przed północą grupie operacyjnej pod kierownictwem Zakrzeńskiego udało się ustalić personalia mordercy. Pracownicy aż dwu warszawskich hoteli rozpoznali poszukiwanego. W „Bristolu” zatrzymywał się zazwyczaj, natomiast w „Forum” zajmował pokój do dzisiaj. Około trzynastej zabrał rzeczy, uregulował rachunek i odjechał. Miał ze sobą coś, co wyglądało na broń myśliwską w pokrowcu z brezentu. Ślad urywał się na Dworcu Centralnym. Kierownik sali w kawiarni „Bristolu” udzielił jeszcze jednej cennej informacji. Holenderski przemysłowiec Piet van den Hertog często spotykał się ze znanym mu z widzenia osobnikiem, zwyczajowo tytułowanym prezesem. Koledzy kapitana z innych wydziałów szybko ustalili, że chodzi o niejakiego Zenona Doliwę. Swego czasu był podejrzany o

nielegalne transakcje walutowe i handel dziełami sztuki, ale nie znaleziono dostatecznych dowodów jego winy. Mimo to od tej pory był pod obserwacją. Wywiadowcy kompletowali materiał, ponieważ przed przekazaniem sprawy prokuraturze należało ustalić powiązania Doliwy i ustalić metody działania grupy, której przewodził obserwowany. Nie było więc żadnych trudności z odnalezieniem „pana prezesa”, zwłaszcza że sam niejako wpadł w ręce funkcjonariuszy, gdy wypytywał pracowników recepcji hotelu „Forum” o znajomego Holendra. Doprowadzony do komendy początkowo zaprzeczał jakimkolwiek kontaktom z cudzoziemcem, następnie twierdził, że poznali się przypadkowo przed dwoma dniami. Kapitan Zakrzeński rozrzucił przed Doliwą plik odbitek dużego formatu. Zennon spojrzął na zdjęcia niechętnie. Nagle drgnął, otworzył szeroko oczy.

– Boże – wyszeptał. – Co on z nią zrobił...

– Rozpoznaje pan denatkę? – zdziwił się szczerze kapitan. – Jakim cudem?

– To była... – prezes przełknął ślinę – no, moja dziewczyna. Te zdjęcia są wyraźne, duże. Są pewne cechy... – niepewnie wyciągnął palec w kierunku błyszczących odbitek.

– Ko to był? – przerwał Zakrzeński. – Imię, nazwisko, adres.

– Monika – odparł bezwiednie siedzący przed nim mężczyzna. – To znaczy on tak na nią mówił – wyjaśnił. – Nazywała się Weronika Biernacka.

– Mam tu – kapitan położył dłoń na arkuszu papieru – orzeczenie stwierdzające, że zmarła miała organizm wyniszczony, najprawdopodobniej na skutek stałego zażywania narkotyków. Co panu wiadomo na ten temat? Poza tym, czy ktoś oprócz pana może oficjalnie rozpoznać ciało?

– Słucham? – doprowadzony usiłuje grać na zwłokę. – Jak to, oprócz mnie? Aha, rozumiem. Nie, nie sądzę. To sierota, krewnych, o ile wiem, nie miała. Plastyczka, malarka. Sam jej załatwiałem mieszkanie, bo ona jest... to znaczy była gdzieś z prowincji – wdał się w szczegóły kwestii meldunkowej i mieszkaniowej.

Oficer słuchał cierpliwie.

– Wróćmy do pominiętej przez pana sprawy narkotyków – przypomniiał, gdy Doliwa umilkł.

– Ja... ja nic nie wiem – wykrztusił prezes. – To on, to tamten, ten Holender.

– Drogi panie – przerwał zdecydowanie Zakrzeński – mamy już dokładne dane. Piet van den Hertog bywał w Polsce przeciętnie raz na kwartał. Chyba nie będzie pan utrzymywał, że za każdym razem przemycał porcję narkotyków wystarczającą na trzy miesiące, prawda?

– Nie wiem – jąka Zenon. – Ja naprawdę... Może miała skądinąd. Przecież ogołociła powierzone jej mieszkanie – zrećnie zmienia temat. – Co ja teraz powiem znajomym, gdy wrócą. A właśnie zapowiedzieli przyjazd na urlop. To ruina, nagie ściany.

– W porządku. Wrócimy do tej kwestii. A teraz niech

pan się skupi – kapitan zawiesza głos.

– Tak?

– Niech pan sobie dobrze przypomni: czy Hertog nie mówił, dokąd ma zamiar się udać? Może wymieniał kiedykolwiek jakieś nazwiska czy miejscowości, gdzie miałby jakieś kontakty?

– Nie, nigdy – zaprzecza energicznie prezes.

Do pokoju wchodzi umundurowany funkcjonariusz i wręcza oficerowi kilka niewielkich paczuszek wraz z opisem. To efekt pracy owczarka Dingo, specjalnie wytresowanego do wyszukiwania preparatów heroiny i pochodnych.

– A co pan na to powie? – pyta groźnie Zakrzeński po zapoznaniu się z dokumentem. – Zapas co najmniej na rok. Znaleziono to w pana willi, w skrytce pod schodami w hallu.

– Jakim prawem! – wykrzykuje zatrzymany. – Kto wam pozwolił?

– Prokurator – cedzi kapitan rozciągając sylaby. – Chce pan zobaczyć nakaz przeszukania? Nazbierało się, panie Doliwa. „Krótki Bill” i „Bekas” już śpiewają.

– Zwiążaliście ich? – prezes bezwiednie przechodzi na grypserę.

– Zatrzymali – poprawia Zakrzeński. – No więc, co pan ma do powiedzenia o owym Holendrze. To pana jedyna szansa.

Załamany „prezes” na wieść o wpadce jego ludzi zaczyna długą opowieść. Pod koniec przesłuchania, około

godziny czwartej nad ranem, gdy już słońce zagląda do okien, wypływa nazwisko Byrdy. Zmęczony oficer operacyjny nie od razu kojarzy je z pewnym poufnym dokumentem rozesłanym niedawno do wszystkich placówek MO i SB w całym kraju. Zawarte w nim było zalecenie, by wszelkie aktualne informacje na temat młodego aktora dostarczać do wydziału kierowanego przez pułkownika Leona Bromskiego.

Po paru minutach Zakrzeński dzwoni pod odpowiedni numer. Mimo wczesnej pory zastaje pod nim jednego z pracowników wydziału. Porucznik Rafał Żywult uznaje przekazaną mu wiadomość za tak ważną, że natychmiast przyjeżdża do pałacu Mostowskich, aby osobiście zadać zatrzymanemu kilka szczegółowych pytań. Po wysłuchaniu odpowiedzi jeszcze raz rzuca okiem na leżącą na biurku kserograficzną odbitkę portretu pamięciowego.

– Nie dałoby rady zdjąć mu tych cyngli? – rzuca półżartem wskazując na szkła ocieniające oczy postaci na rysunku.

– Oczywiście. Chwileczkę – kapitan wydzwania milicyjnego plastyka prosto z pościeli. Po półgodzinie robota, korygowana na bieżąco uzupełnieniami Doliwy, jest gotowa. Żywult wpatruje się z napięciem w twarz o małych charakterystycznych oczkach, pozbawionych niemal zupełnie otoczki rzęs i brwi.

– Muszę jeszcze sprawdzić w naszej kartotece – mówi po chwili. – Mogę to zabrać – raczej stwierdza niż pyta i z

arkusikiem w teczce wychodzi. Poszukiwania w archiwum nie trwają długo. Z przygotowanymi materiałami Rafał puka do gabinetu zwierzchnika. Pułkownik Bromski czekał od kilku minut, powiadomiony telefonicznie o nagłym zwrocie w całej akcji. Uważnie przegląda zawartość skoroszytów.

– Stary znajomy – mruczy pod wąsem. – To brat tego Henkego z ekipy filmowej?

– Przyrodni. Niewykluczone, że Jerzy w ogóle go nie zna.

– Jak to? Z tych starych dokumentów wynika – popycha palcem zakurzoną wytartą teczkę – że Jochen mieszkał na Mazurach prawie dwa, lata. Musieli być w kontakcie.

– Jerzy miał wtedy dziewięć, jedenaście lat. A nasz znajomy jest po operacji plastycznej. W Bremie z pewnością się nie widzieli, ojciec dawno zerwał wszelkie stosunki ze starszym synem.

– Stąd namawianie młodszego na stały wyjazd?

– Właśnie. Chociaż można przecież odwrotnie. Jerzy ma dom, rodzinę i wszystkie warunki, by zaopiekować się starym ojcem.

– Powiedz mu to – zaśmiał się ubawiony pułkownik. – A teraz do rzeczy – spoważniał. – Trzeba błyskawicznie przekazać wiadomość kapitanowi Prusakowi.

– I porucznik Bednarz – wtrąca żartobliwie Rafał. Ich przełożony jest znany z pewnej rezerwy w stosunku do pracowników w spółnicach.

– Przekaż mu moje polecenie – pułkownik udaje, że nie pojął aluzji. – Przy pomocy ludzi majora Budziszta obstawić teren. Jochen Henke może krążyć w pobliżu. Ponadto zdjąć Byrdę tak dyskretnie, jak to tylko możliwe. Mamy do czynienia z twardym przeciwnikiem. Bez żelaznych dowodów i zeznań świadków nic z niego nie wydusimy.

W ten sposób koło się zamknęło. Działalność holenderskiego przemysłowca była znana naszym władzom. Orientowano się z grubsza, że maczał palce w międzynarodowym handlu bronią, jego postać wpływała również przy okazji każdorazowego werbowania białych najemników do walki w różnych częściach świata, przede wszystkim w Afryce. Wpłynęło również ostrzeżenie, pośrednio przekazane przez Japończyków i rozkolportowane w kilkunastu krajach, że niektóre afery z zakresu szpiegostwa przemysłowego należałoby wiązać z osobą van den Hertoga. To też jego kontakty służbowe były pod kontrolą odpowiednich organów. Natomiast nie śledzono zbyt skrupulatnie jego prywatnych znajomości. Nie było podstaw. Każdemu wolno pogadać z kimś w kawiarni czy odwiedzić atrakcyjną dziewczynę w jej mieszkaniu. Ponieważ Holender z niczym się nie wychylił, nie badano u nas jego przeszłości. Wiedzano jedynie, że pojawił się w koncernie przemysłu maszynowego od razu na eksponowanym stanowisku w latach pięćdziesiątych.

Dopiero porucznik Żywult, który w związku z osobą mistrza oświecenia, Jerzego Henkego, skrupulatnie pod tym kątem badał archiwa i kartoteki, skojarzył zdjęcie z zakurzonej archiwalnej dokumentacji z portretem pamięciowym poszukiwanego przestępcy. Żywult był pracownikiem o dużym doświadczeniu, zdobytym w ciągu wielu lat służby nie tylko na terenie naszego kraju. Miał fenomenalną pamięć do twarzy, a swego czasu został specjalnie przeszkolony w rozpoznawaniu ludzi, którzy poddali się operacji plastycznej. W rozpracowywaniu działalności zrzeszającej byłych esesmanów tajnej organizacji o wdzięcznym kryptonimie ODESSA było to niezbędne. Zeznania zatrzymanego Zenona Doliwy dopełniły obrazu. Całość pozwalała na wysnucie wniosku: jeżeli Jochen Henke jest w okolicach Krzyżowic, może to się wiązać z bezpośrednim zagrożeniem reżysera Roberta Leśniewskiego. Może, ale nie musi. Nigdzie nie jest powiedziane, że Henke działa sam. Jego mocodawcy mogli uruchomić kogoś innego zupełnie niezależnie.

A więc chyba niczego nie zaniedbał? Zwłaszcza z tą małą miał świetny pomysł. Do rozpoznania, nawet jeśli ją kiedykolwiek wygrzebią z tego bagna, będzie potrzebna głowa. A ta... Wielkie, stojące na podwórzach pojemniki na śmiecie nie są przecież szczegółowo, papierek po papierku, przetrzāsane. Obsługa wozu bezpylnego po prostu przechyla metalowe pudło, zawartość wpada do wnętrza i

ulega zmieleniu oraz częściowemu spaleniu. I w ten sposób sprawa musi zostać odłożona ad acta. A teraz nadchodzi finał.

Wczorajszy rekonesans wypadł pomyślnie. Po wielu godzinach kluczenia po lesie odkrył kapitalny punkt. Zalesione wzgórze, na szczycie zewsząd osłonięta polanka, a z niej, w perspektywie przecinki leśnej, widok na wzgórze zamkowe. Jak strzelił... Uśmiecha się krzywo i przyspiesza kroku, choć broń obciąża ramię. Sztucer na grubego zwierza... Lekko zdyszany wspina się na upatrzony szczyt. Z nawyku przetrząsa okolice polanki. Sicher ist sicher. Nawet przypadkowo tu zabłąkany turysta byłby niewygodnym świadkiem. Nie, nie ma nikogo. Czeka, aż oddech wróci do normy. Montuje broń, przykręca celownik optyczny i przyłożywszy karabin do ramienia spogląda przez lunetę w dół. Z ust wyrывa się ciche przekleństwo. W skrzyżowaniu linii celowniczych wyraźnie widzi charakterystyczną sylwetkę kręcącego się wśród sporej grupy ludzi reżysera. No tak, to było do przewidzenia. Ten smarkacz stchórzył. Nie wykonał polecenia. Dojście do kolumny też spalone. Z daleka widać ludzi kręcących się u podnóża zamku. Ale czy tylko zaniechał działania? Czy przypadkiem nie polecał z jęzorem na milicję? Trzeba sprawę kończyć. Potem odskok. Byle do najbliższej szosy. Jest wczesny ranek, z powodzeniem może zdążyć na popołudniowy samolot do Amsterdamu. Starając się uchwycić cel, powoli przykłada palec do języka spustowego.

Godzinę wcześniej kapitan Pruszek jest już po rozmowie z Centralą. Nazwisko „Holendra” zelektryzowało go. Nie dalej jak poprzedniego dnia major Budzisz poinformował go, że do leśniczówki położonej o dziesięć kilometrów od ruin zamku przybył dziwny gość. Płacił dolarami, więc leśniczy udzielił mu noclegu, ale nie omieszkał powiadomić o przybyśzu komendanta posterunku. Dewizowe ostrzały są zawsze sygnalizowane z góry, zapowiadane przez odpowiednią komórkę w resorcie, poza tym taki myśliwy nie może zasadniczo poruszać się po lesie sam, a zwłaszcza z bronią. Z reguły towarzyszy mu wtedy pracownik nadleśnictwa w randze co najmniej gajowego. Cała sprawa nie wyglądała wprawdzie na związaną z akcją grupy operacyjnej pułkownika Bromskiego, jednakże na wszelki wypadek postanowiono dziwnego łowcę poddać dyskretnej obserwacji. Jak zresztą wszystkich cudzoziemców w całym rejonie. Meldunek, że obcokrajowiec dotarł na górujące nad zamkiem wzgórze, wzbudził czujność obu oficerów. Ze słów leśniczego, który na własną rękę przejrział paszport gościa, wynikało, że nazwisko uzbrojonego człowieka brzmi Piet van den Hertog.

À teraz okazuje się, że ów rzekomy Holender to przyrodni brat Jerzego Henkego. Pruszek poleca Marcie, aby poszła do zamku i pod jakimkolwiek pozorem ściągnęła do hotelu „Pod Basztą” Marka Byrdę. Młody aktor akurat nie jest potrzebny na planie. Po kwadransie siedzi w pokoju zajmowanym przez Martę i Mariana. Na widok zdjęć

przedstawiających jego poczynania w pomieszczeniu Leśniewskiego nie wytrzymuje. Wprawdzie upiera się, że nie miał pojęcia o skutkach działania podrzuconego specyfiku, ale chętnie i jakby z ulgą ujawnia okoliczności swojego czynu.

Palec na spuście pokonuje pierwszy opór Jeszcze sekunda. Cel musi być dokładnie uchwycony. Już! Cichy szelest nie powstrzymuje Jochena od naciśnięcia spustu, ale pocisk szybuje w powietrze. Wyskakujący z zarośli człowiek podbija lufę broni. Za nim wyłaniają się następni.

– O co chodzi?! – krzyczy „myśliwy” po holendersku.

– Jestem oficerem milicji – mówi szkolną angielszczyzną stojący przed nim mężczyzna. – Czy pan Piet van den Hertog?

– Tak, ale jakim prawem...

– Mamy do pana kilka pytań. Pan pozwoli z nami.

Cudzoziemiec protestuje, ale nie stawia czynnego oporu. Daje się prowadzić na łąkę, gdzie już czeka śmigłowiec. Z daleka widzi Marka Byrdę w towarzystwie paru osób. Wśród nich stoi... Tak, to dziennikarz z Nowego Jorku, David Fishman. Wpatruje się uważnie w wyprowadzonego z lasu człowieka. Jest zły, ale i pełen uznania. Już poprzedniego dnia, gdy w żaden sposób nie mógł się pozbyć natrętnego studenta, czuł, że sprawa nie wygląda najlepiej. Amerykanin tak go zagadywał, tak wypytywał

przyjaźnie, że nie wypadało wyrzucać go z samochodu. No i przyholował go aż na miejsce. W hotelu panował gwar. Zaraz w hallu natknął się na kobietę, którą pamiętał z lotniska. Zapytała o powód przyjazdu.

– Mister Vilsky? – powtórzyła za nim. – Właśnie idę do niego, proszę, tędy.

Wprowadziła go do pokoju, w którym honory gospodarza pełnił mały reżyser, zdrowy i cały. Nadrabiał nieco miną, ale ktoś postronny tego by nie odgadł. Tylko Marcie wcześniej szepnęła na ucho, że ktoś buszował w jego lekarstwach. Zginęła cała fiołka wraz z zawartością. Gdy zaproponowała polski odpowiednik przeciwwrzodowego antidotum, skrzywił się z niesmakiem, ale przyjął jej pomoc. Właśnie wracała z pastylkami uldenolu, gdy spotkała przy wejściu do hotelu dziwną parę podróżnych. Zadyszany reporter sięgał roslemu studentowi akurat pod pachę.

David Fishman obserwował z niepokojem słynnego reżysera, nie rozstając się z przygotowanym fleszem. Chyba zaszła jakaś pomyłka. Tak nie wygląda człowiek po zażyciu tych tabletek. Może symptomy jeszcze nie wystąpiły? Noc przeszła dziennikarzowi na czuwaniu i łowieniu wszelkich odgłosów. Ale w hotelu panowała cisza. Rano również wszystko było w normie. Zaczął się ostatni dzień zdjęciowy. Chcąc nie chcąc Fishman musiał naprawdę zrobić wywiad ze scenarzystą, a przy okazji i ze starym Price'em. A postawny Amerykanin towarzyszył mu krok

w krok; nie spuszczać oka z jego aparatury. Toteż gdy został przez ową kobietę odwołany na bok i powiadomiony, że właśnie ujęto z bronią w rękę zamachowca, który miał zgładzić Leśniewskiego, nawet się nie zdziwił. Umiał przegrywać. Natychmiast się przestawił, usiłując zebrać jak najwięcej informacji. Szykował się, nomen omen, niezły news do jego macierzystego organu. Na szczęście gazeta nie będzie miała nic przeciwko opublikowaniu sensacyjnego materiału, piętnującego promotorów nieudanego zamachu. Stary wyjadacz nie mrugnął nawet powieką, gdy po chwili zobaczył „amerykańskiego studenta” mówiącego najczystszą polszczyzną do grupki kolegów, pracowników polskiej służby bezpieczeństwa... Dziennikarz stanął sobie na uboczu, spoglądając na podeksycytowanego młodego aktora.

– To on! – krzyczy Byrda wyciągając palec w kierunku krępej sylwetki. – To on mi to dał!

Wsiadają razem do śmigłowca, rozdzieleni funkcjonariuszami. Po półtorej godzinie Holender jest już w pokoju przesłuchań, niedaleko gabinetu pułkownika Bromskiego. Pod oknem protokolant, w pobliżu uruchomiony magnetofon, naprzeciwko ów oficer milicji, który go zatrzymał w lesie. Ponadto dwóch innych mężczyzn, jeden z nich to znany mu już z widzenia drań, który opiekował się Byrdą i razem z nim odbył podróż do Warszawy.

– Co pan robił dwa dni temu o godzinie dwunastej w południe? – pada pytanie.

– Nie pamiętam – mówi zatrzymany. – Nie mam

zresztą obowiązku odpowiadać na jakiegokolwiek pytania. Żądam widzenia z konsulem. Królestwa Holandii – powtarza po raz któryś w dniu dzisiejszym.

– Są świadkowie – ciągnie Budzisz nie zmieszany – którzy widzieli, jak udał się pan w kierunku dzikiej plaży nad Wisłą, na wysokości elektrociepłowni Siekierki, w towarzystwie Weroniki Biernackiej. Oddalił się pan stamtąd sam. Ciało ofiary zostało znalezione jeszcze tego samego dnia.

– To niemożliwe. Żadnej... jak pan powiedział? Weroniki? Absolutnie żadnej Weroniki nie znam, a w czasie, o który pan pyta, to jest we czwartek około południa, po prostu byłem w pokoju hotelowym. Jestem w waszym kraju służbowo, na polecenie mojej firmy...

– W lesie też pan był na polecenie firmy? – wtrąca nie znany mu dotychczas oficer. – Tylko której?

– A nazwisko Monika Leybel też nic panu nie mówi? – dorzuca major.

– Nie, nic – wydyma wargi „Holender”.

– Mamy dokładne zeznanie obywatela Doliwy...

– Nie znam – ucina cudzoziemiec.

Kapitan Pruszek jako gospodarz naciska guzik.

Na sygnał drzwi się otwierają, staje w nich w asyście funkcjonariuszy pan prezes we własnej osobie.

– Poznajecie tego osobnika? – pyta Budzisz.

– Tak jest – Zenon usłużnie kiwa głową. – To właśnie

ten pan z Holandii, o którym mówiłem.

– Co pan na to? – major zwraca się do Hertoga.

– Nie znam tego człowieka – odrzeka się zatrzymany nieświadomym cytatem. – To jest podstawiony świadek – dodaje z przekąsem. – A konfrontacja jest zaaranżowana.

Pruszek daje znak, Doliwa znika za drzwiami.

– Marka Byrdy też pan nie zna? – pyta.

– Kogo?

– Niech pan nie udaje. Dostał od pana tabletki zawierające silnie działającą substancję toksyczną. Powoduje zgon z oznakami zatrucia.

– Nic nikomu nie dawałem. Nikogo tu nie znam. Mam jedynie kontakty służbowe – powtarza monotonicznie.

– Chwileczkę, panie Henke – mówi porucznik Żywult. Zatrzymany nie przejawia zaniepokojenia.

– Nazywam się van den Hertog – cedzi z kamienną twarzą.

– Czy konfrontacja z pana ojcem, Hieronimem Henke, oraz z bratem Jerzym też będzie zaaranżowana? – Żywult mówi to z naciskiem, lekko podnosząc głos.

– Mój ojciec nie żyje, a brata nigdy nie miałem – odpowiada Jochen tym samym tonem, co poprzednio.

– Nie żyje, mówi pan? – Rafał uśmiecha się swobodnie. – Więc go wskresimy. A poza tym nie sądzę, aby miał coś przeciwko przyjazdowi do nas. Przecież wyrzekł

się pana nie bez powodu, prawda?

Zatrzymany zacina się w ponurym milczeniu. Nie przerywa go nawet po miesiącu, w czasie konfrontacji ze starszym panem, który mimo zaawansowanego wieku przybył na prośbę naszych władz i był wprowadzony w pewne fragmenty sprawy starszego syna. Spotkaniu wszystkich trzech członków rodziny towarzyszył lekarz i pielęgniarka. To był silny wstrząs, ale Henke senior, doświadczony życiem, dzielnie zniósł wyniosłe milczenie i zimny wzrok pierworodnego. Ze swej strony dowiedział się o kilku nieznanych mu szczegółach z jego powojennego życiorysu. Wyszedł wsparty na ramieniu Jerzego i nie zawahał się złożyć mu wizyty. Przez synową i wnuki został przyjęty nader serdecznie.

*

– I co z Jochenem? – zapytała Marta kapitana Prusaka w kilka miesięcy później, gdy sprawa o kryptonimie „Sowa” w najważniejszej części była już zakończona. Oddelegowana do innego pionu coraz rzadziej widywała swojego byłego zwierzchnika, tym bardziej że znowu znalazła się poza stolicą.

– No cóż... – spojrzał na nią z góry. – W śledztwie przyznał się już do podstawowych zarzutów. Skonfrontowany kilka razy ze świadkami i zaskoczony dowodami potwierdził nasze przypuszczenia. Dokumentację mamy

już skompletowaną i sąd mógłby przystąpić do pracy, ale interesują nas jeszcze niektóre sprawy z ostatnich lat w jego osobliwym życiorysie. Leśniewski miałby gotowy scenariusz do znacznie ciekawszego filmu, lecz to już nie nasz resort. W każdym razie swoje zrobiliśmy. Przeciwnik znowu musiał przełknąć gorzką pigułkę. Sensacyjna bomba okazała się niewypałem. Wyobrażasz sobie, co tam się teraz dzieje, gdy zorientowali się, że główne ogniwo drobiazgowo przygotowanej operacji wymknęło się spod ich kontroli?

– Mnie o to pytasz? – odparła z wyrzutem.

– No, nie gniewaj się – uspokoił ją. – Na oficjalne komentarze jeszcze poczekamy. Ciebie, jak przypuszczam, powinny zainteresować losy pozostałych przedstawicieli rodu Henke...

– Tak sądzisz? Dlaczego? – przerwała zdziwiona.

– Pamiętasz, co mówiłaś o Jerzym?

– O nim? – zastanowiła się na moment. – Aha, rozumiem. Jego decyzja wyjazdu. Więc jak?

– Wycofał prośbę o wyjazd, dokładnie dwa tygodnie temu,

– Niemożliwe! A ojciec?

– Powoli likwiduje interesy w Bremie – kończył kapitan Pruszek. – Pokój w domku Jerzego Już czeka...